Morscy handlarze

Kim byli Fenicjanie?

Pewnego dnia, około 3200 lat temu, mały statek handlowy sunął wzdłuż południowego wybrzeża dzisiejszej Turcji. Nie sposób stwierdzić, czy płynął na wschód, czy na zachód, kiedy wpadł w kłopoty, o jakiej porze roku podróżował ani z jakiego portu wypłynął. Kłopoty jednak nadeszły. Statek zatonął tuż przy przylądku Gehdonya na głębokości około 30 metrów. W 1960 roku dwaj młodzi Amerykanie, George Bass i Peter Throckmorton, którzy od tamtej pory stali się ekspertami w badaniu starożytnych wraków, postanowili zbadać wrak z przylądka Gelidonya, o którego istnieniu poinformowali ich miejscowi rybacy łowiący gąbki. Odkryli, że wrak osiadł na twardym, skalistym dnie, gdzie nie było lub prawie wcale osadów piasku ani mułu, które mogłyby go przykryć i zabezpieczyć. W związku z tym niemal cały kadłub małego statku został dawno temu nadgryziony przez morskie robaki. Pozostał z niego jedynie ładunek, a pod nim kawałki poszycia dna oraz warstwa grubych gałązek i gałęzi. Materiał ten znany jest jako sztauer i był szeroko stosowany w historii żeglugi morskiej jako materiał wypełniający, zapobiegający uderzaniu i obijaniu się ładunku podczas wzburzonych wód. Datowanie radiowęglowe pozwoliło na ustalenie wieku statku – wieku, który ustalono już po tym, jak nurkowie mieli okazję zbadać ładunek. Dla archeologów morskich wrak Gelidonyi ma kluczowe znaczenie. Z możliwym wyjątkiem jednego, znajdującego się w płytkich wodach w pobliżu Marsali u wybrzeży Sycylii, wrak Gelidonyi jest jedynym znanym fragmentem statku, który prawdopodobnie zbudowali Fenicjanie. Powszechna wiedza o Fenicjanach jest równie skąpa, jak szczątki ich statków. Większość ludzi, jeśli w ogóle słyszała o Fenicjanach, wie o nich tylko dwie rzeczy: byli wielkimi żeglarzami i kupcami oraz wynaleźli alfabet. Pierwsze z tych stwierdzeń jest prawdziwe; drugie nie (rozdział 4). To, co jeszcze wiadomo o Fenicjanach, zostaje szybko wyjaśnione. Byli oni rzeczywiście największymi handlarzami morskimi starożytnego świata. Ich początki sięgają wschodniej części Morza Śródziemnego, na terenach dzisiejszego Libanu. Pojawili się na scenie historycznej około 1200 r. p.n.e. i stali się ważnym czynnikiem w handlu, kulturze i historii swojego świata przez prawie tysiąc lat. W tym długim okresie rozprzestrzenili się na zachód, po całym Morzu Śródziemnym, dlatego dla wygody miasta zajmujące wybrzeże Libanu nazywa się Fenicją Wschodnią, a rozproszone osady w zachodniej części Morza Śródziemnego Fenicją Zachodnią. Jednakże, po takim zidentyfikowaniu Fenicją Wschodnią i Fenicją Zachodnią, należy od razu stwierdzić, że nigdy nie istniał kraj ani imperium o nazwie „Fenicja", a jedynie zbiór niezależnych miast bardziej zainteresowanych handlem niż rozwojem imperium. Co więcej, jako kupcy byli dla siebie najgorszymi konkurentami i byli wobec siebie niezwykle zazdrośni, co spowodowało, że choć mówili wspólnym językiem i czcili tych samych bogów, nigdy nie połączyli się w jedno państwo. Mówili o sobie jako o Tyryjczykach, Sydończykach, Byblijczykach, Kartagińczykach, Motyjczykach i tak dalej. Samo słowo „Fenicjanin" było im nieznane; etykietę tę prawdopodobnie przykleili im Grecy i zachowała się dzięki przypadkowi, że to język grecki i jego literatura, a nie fenicka, zostały nam przekazane. Fenicki badacz Donald Harden zauważa, że słowo „feniks" po raz pierwszy pojawia się u Homera, gdzie oznacza ciemnoczerwony lub fioletowobrązowy kolor. Ponieważ Fenicjanie byli niezwykle utalentowanymi farbiarzami, znanymi z produkcji purpurowych tkanin, nietrudno zrozumieć, skąd wzięła się ta nazwa. (Ich nazwa nie ma nic wspólnego z mitycznym ptakiem feniksem, choć oba wywodzą się z tego samego greckiego rdzenia). Fenicjanie od dawna zajmują osobliwe miejsce w historii. Dzięki licznym wzmiankom o nich – w Biblii, literaturze starożytnej i dziełach klasycznych historyków – zyskali reputację wybitnych żeglarzy, kupców, wędrownych rzemieślników, odkrywców i szkutników swoich czasów. Podróżowali wszędzie. Wymieniali towary z Egipcjanami, Grekami, Asyryjczykami, Babilończykami, Afrykanami i hiszpańskimi plemionami. Cały świat śródziemnomorski był ich bazarem. Wyruszyli nawet poza niego, na Atlantyk, daleko wzdłuż wybrzeża Afryki, a być może na północ, do Bretanii i Wysp Brytyjskich. A jednak do niedawna prawie nic o nich bezpośrednio nie wiadomo było, ponieważ zdawali się mówić o sobie tak

niewiele. Pod tym względem znacznie różnili się od swoich bardziej znanych sąsiadów, którzy pozostawili po sobie mity, opowieści, szczegółowe relacje historyczne i niezwykle intymne wglądy w ich codzienne życie. Babilończycy i Asyryjczycy przemawiają do nas dosłownie za pośrednictwem setek tysięcy glinianych tabliczek i inskrypcji na pomnikach.

Egipcjanie mówią z papirusów, z imponującej kolekcji przedmiotów codziennego użytku i dzieł sztuki, z długich przekazów wyrytych na

świątyniach i grobowcach. O Hebrajczykach wiemy ogromnie dużo z Biblii, o starożytnych Grekach od Homera, Herodota i Tukidydesa – od wielu innych poetów, dramaturgów i historyków. Fenicjanie, dla porównania, są dziwnie niemi. To od innych – od ludzi, którzy mówiąc o sobie, mówią o Fenicjanach – pochodzi znaczna część naszej wiedzy. Rzeźby ścienne z Egiptu i Mezopotamii dają nam lepszy obraz

fenickich statków i miast niż jakiekolwiek źródło fenickie. Odkryto tylko dwa znaczące zbiory glinianych tabliczek, które uczeni są skłonni przypisać Fenicjanom lub ich bezpośrednim przodkom. Jeden poświęcony jest polityce, drugi religii. Żaden z nich nie wspomina o codziennym życiu Fenicjan. Nigdy nie odnaleziono żadnej fenickiej opowieści ani pieśni. Dusza ludu objawia się w pieśniach, które śpiewają, w żartach, które opowiadają. Fenicjanie nigdy nie opowiedzieli ani jednego żartu. Nie mogę uwierzyć, że tego nie zrobili. Ale nie ma fenickiego Arystofanesa, który upamiętniłby ich poczucie humoru, tak jak nie ma Ajschylosa, który utrwaliłby ich poczucie tragizmu, ani Homera, który mówiłby o dobrym jedzeniu, dobrych statkach, dobrej walce, doskonałej broni i pięknych kobietach. Fenicjanie byli znanymi postaciami w portach Morza Śródziemnego, gdy Homer pisał Iliadę. Z pewnością pasjonowali się statkami, morzem, wojną i kobietami tak samo jak Grecy. Ale co o nich myśleli i co mówili, po prostu nie wiemy. Nie ma kraju, nie ma zapisów miejskich, nie ma historyków, nie ma poetów, nie ma pieśni, nie ma żartów. Kim więc byli Fenicjanie? I jeśli byli tak dobrze znani współczesnym w starożytnym świecie, to dlaczego później popadli w takie zapomnienie? Słuszne pytania. Fenicjanie zniknęli z powodu szczególnych okoliczności, w jakich się znaleźli, zarówno geograficznych, jak i historycznych – szczególnego współplemieńca, sąsiadów o określonej skłonności – oraz ze względu na szczególny styl życia, jaki potrafili sobie w tych okolicznościach wypracować. Można o nich pisać, ponieważ, choć ich statki wciąż pozostają mniej lub bardziej tajemnicze, odnaleziono rosnącą kolekcję przedmiotów handlowych, które Fenicjanie przewozili, gromadzoną przez lata przez archeologów pracujących w całym regionie Morza Śródziemnego. Niektóre z nich były wyrobami fenickimi, inne towarami innych, dla których działali jako pośrednicy – wszystkie szeroko rozsiane po całym starożytnym świecie, co dowodzi klasycznego założenia, że Fenicjanie byli niezwykle zajętymi kupcami i podróżnikami. Są też stanowiska fenickie, z których wiele to zaledwie ślady opuszczonych faktorii handlowych, ciągnące się na zachód niczym sznur koralików wzdłuż wybrzeża Afryki. Archeolog, znajdując takie miejsce i wiedząc, jak daleko statek handlowy mógł przepłynąć w ciągu dnia (około 30 mil), może dość dokładnie przewidzieć kolejne prawdopodobne miejsce, w którym handlarz mógłby się skusić na nocleg. W ten sposób zlokalizowano wiele stanowisk. Wreszcie powstały osady i faktorie handlowe, które ostatecznie stały się miastami. Lokalizacja niektórych z tych miejsc i ich fenicka tożsamość były dobrze znane w historii. Inne zostały utracone i musiały zostać ponownie odkryte. Jedno z nich, Sarepta, zaledwie osiem mil od Sydonu, zostało odkryte jako bogate stanowisko archeologiczne dopiero w 1970 roku. Dziś, choć zniszczone przez Greków i Rzymian, a także przez wielu Arabów i krzyżowców, korzenie tych fenickich miast są wciąż żywe.

Daleki świat, który podbijali morscy kupcy

Śmiałość Fenicjan jako kupców i odkrywców można dostrzec na tej mapie. Przed rokiem 1000 p.n.e. byli skupiskiem małych miast stłoczonych wzdłuż wschodniego krańca Morza Śródziemnego. Wszystko,

co leżało na zachód od Grecji lub Egiptu, było niebezpiecznie daleko od domu: wszystko dalej na zachód, poza Sycylią, jawiło się jako przerażające pustkowie o nieznanej geografii, dziwnych wiatrach, prądach, przypływach, wirach, sztormach oceanicznych i dzikich ludziach. Fenicjanie stawiali im czoła. Każde miasto na wybrzeżu Afryki – z wyjątkiem Cyreny – było grecką kolonią założoną przez Fenicjan, a Kartagina była ich zachodnią stolicą. Podobnie było z miastami na Malcie, Sycylii, Sardynii, Balearach i w Hiszpanii. Mapa w ramce pokazuje, dlaczego oczy

kananejskich kupców nadmorskich zwrócone były ku morzu; na lądzie byli oni otoczeni pasmami górskimi. Klucz w EFT pokazuje szlaki handlowe i eksploracyjne, choć te pokazane na Saharze są w dużej mierze domniemane. Zatrzymywały się one przy dawno wyschniętych oazach i były wykorzystywane częściej przez tubylców przywożących towary na wybrzeże niż przez samych kartagińskich kupców. Okres objęty mapą rozciąga się od około 1300 r. p.n.e. do 140 r. p.n.e., aby uwzględnić i zlokalizować takie ludy jak Hetyci, których imperium upadło wkrótce po 1200 r. p.n.e., oraz Etruskowie, których potęga zaczęła słabnąć po 500 r. p.n.e. Daleki świat, który podbijali morscy kupcy

Śmiałość Fenicjan jako kupców i odkrywców można dostrzec na tej mapie. Przed rokiem 1000 p.n.e. byli skupiskiem małych miast stłoczonych wzdłuż wschodniego krańca Morza Śródziemnego. Wszystko, co leżało na zachód od Grecji lub Egiptu, było niebezpiecznie daleko od domu: wszystko dalej na zachód, poza Sycylią, jawiło się jako przerażające pustkowie o nieznanej geografii, dziwnych wiatrach, prądach, przypływach, wirach, sztormach oceanicznych i dzikich ludziach. Fenicjanie stawiali im czoła. Każde miasto na wybrzeżu Afryki – z wyjątkiem Cyreny – było grecką kolonią założoną przez Fenicjan, a Kartagina była ich zachodnią stolicą. Podobnie było z miastami na Malcie, Sycylii, Sardynii, Balearach i w Hiszpanii. Mapa w ramce pokazuje, dlaczego oczy

kananejskich kupców nadmorskich zwrócone były ku morzu; na lądzie byli oni otoczeni pasmami górskimi. Klucz w eft pokazuje szlaki handlowe i eksploracyjne, choć te pokazane na Saharze są w dużej mierze domniemane. Zatrzymywały się one przy dawno wyschniętych oazach i były wykorzystywane częściej przez tubylców przywożących towary na wybrzeże niż przez samych kartagińskich kupców. Okres objęty mapą rozciąga się od około 1300 r. p.n.e. do 140 r. p.n.e., aby uwzględnić i zlokalizować takie ludy jak Hetyci, których imperium upadło wkrótce po 1200 r. p.n.e., oraz Etruskowie, których potęga zaczęła słabnąć po 500 r. p.n.e., wciąż przetrwały w postaci starych murów, schodów, cystern, fundamentów świątyń, szybów grobowych, a nawet brukowanych doków dla statków. Duchy kupców wciąż słychać w tych miejscach, szepczące, zmieszane z szumem handlu i skrzypieniem lin, brzękiem metali i pełnymi podziwu westchnieniami ludzi, którzy przybyli z daleka, by targować się o bogate purpurowe tkaniny i lśniące, nowe zabawki. Jakże odległe są te stare fenickie miasta, których nazwy giną w czasie niczym echa uderzeń gongów: Oea, Utica, Hippo – wszystkie położone w śródziemnomorskiej Afryce. Motya, Lilybaeum (Marsala) i Panormus (Palermo) na Sycylii. Sulcis na Sardynii. Alalia na Korsyce. Abdera i Gades (Kadyks) w Hiszpanii. Wreszcie Mogador, znikająco odległy, sen migoczący daleko na wybrzeżu Maroka, ale nie sen, bo wciąż można tam dostrzec rozpoznawalne fenickie korzenie. To tylko kilka z dziesiątek osad, dużych i małych, którymi Fenicjanie upstrzili swój świat, pozostawiając nam tym samym możliwość rozpoczęcia poszukiwań odpowiedzi na niektóre pytania dotyczące tego, kim byli Fenicjanie i czym się zajmowali. Co do pytania „kim": Fenicjanie byli Kananejczykami, jedną z licznych grup ludów semickojęzycznych, które rozprzestrzeniały się po Bliskim Wschodzie od tysięcy lat. Skąd się wszyscy wzięli, trudno powiedzieć, ale wielu uczonych uważa, że reprezentują oni kolejne fale ekspansji plemiennej półpustynnych pasterzy, którzy na przestrzeni wieków przemieszczali się z ogromnych, półpustynnych obszarów północnej Arabii na wschód, do bardziej żyznej doliny Tygrysu i Eufratu, a następnie na zachód, w kierunku Morza Śródziemnego, na obszar obejmujący obecnie Syrię, Liban, Jordanię i Izrael. Tak więc większość ludzi, którzy kroczyli

kartami wczesnej historii Bliskiego Wschodu, była Semitami: Babilończycy, Asyryjczycy, Izraelici, Kananejczycy, Moabici, Amoryci, Ammonici, Amalekici i inni, których tożsamości nie są nawet znane dzisiaj. Byli beneficjentami dwóch niezwykle ważnych ludzkich „wynalazków": rolnictwa (udomowienia dzikich roślin) i hodowli (udomowienia dzikich zwierząt); uważa się, że oba miały swój początek na Bliskim Wschodzie około 10 000 lat temu. Te wynalazki pomogły zmienić człowieka z łowcy-zbieracza — całkowicie zależnego od naturalnego, sezonowego bogactwa owoców, nasion i dzikiej zwierzyny — w kogoś, kto mógł osiedlić się jako rolnik lub kogoś, kto wędrował tylko po to, by zapewnić swoim zwierzętom pożywienie i wodę. Wraz z powstawaniem miast, społeczeństwa stały się bardziej złożone i ostatecznie rozwinęły się potężne imperia. W węższych, górskich dolinach nie było tej zachęty do spotkań; Teren miał tendencję do izolowania ludzi. W ten sposób powstały małe miasta-państwa, a nie imperia, każde z własnym królem. O ile wiadomo, około 5000 lub 4000 r. p.n.e. jedna grupa ludów semickich zaczęła napływać na tereny dzisiejszego Libanu i Izraela, prawie 480 kilometrów wybrzeża morskiego wzdłuż wschodniego brzegu Morza Śródziemnego, z górami i dolinami górskimi za nim. Ten obszar, a zwłaszcza jego części śródlądowe, powinien być dobrze znany czytelnikom Biblii jako Ziemia Kanaan. Wzdłuż wybrzeża znajdują się doskonałe porty. Są tam również dobre nadmorskie tereny rolnicze, ale niewiele ich jest, ponieważ pasmo górskie ciągnie się równolegle do morza zaledwie kilka mil w głąb lądu. Pierwotni kananejscy najeźdźcy, którzy dotarli aż do wybrzeża morskiego, osiedlili się tam, wypierając lub mieszając się z rdzennymi mieszkańcami, którzy żyli z połączenia rolnictwa i rybołówstwa. Kananejczycy zakładali miasta, nauczyli się budować łodzie i wypływać w morze, zaczęli handlować wzdłuż wybrzeża z sąsiadami. To właśnie ci ludzie stali się znani jako Fenicjanie. Po ich zidentyfikowaniu i zlokalizowaniu, należy teraz przejść do drugiego pytania: dlaczego przez tak długi czas tak mało wiadomo było o Fenicjanach? Jednym z powodów jest klimat. Wybrzeże Libanu jest dość wilgotne. Wszystko, co zapisano na papirusie, szybko znika; drewno gnije; gliniane tabliczki, jeśli nie zostaną bezpiecznie zakopane w ziemi, kruszą się. Nawet kamienne pomniki lub inskrypcje, jeśli są wystarczająco długo wystawione na działanie wiatru, deszczu i mrozu, stają się niewyraźne i ostatecznie nieczytelne. Dlatego też, podczas gdy Fenicjanie przez około tysiąc lat niewątpliwie byli bardzo zajęci tworzeniem, przechowywaniem i zapisywaniem rzeczy, żywioły równie intensywnie je niszczyły. Drugi powód wiąże się z położeniem geograficznym kananejskich miast nadmorskich. Były one strategicznie położone nie tylko pod względem handlu, ale także pod względem inwazji. Najpotężniejszymi siłami tamtych czasów były imperia asyryjskie i babilońskie na wschód od Libanu, imperium egipskie na południu oraz imperium hetyckie na płaskowyżu tureckim – lub anatolijskim – na północy. Wszystkie trzy były potęgami lądowymi z dużymi armiami, ale bez flot. Oddzielał je surowy, suchy teren, w dużej mierze będący prawdziwą pustynią. Jedynym sposobem, w jaki mogły się ze sobą zmierzyć, były ustalone szlaki karawanowe przez kilka przełęczy górskich – lub przemieszczanie się wzdłuż wybrzeża kananejskiego. W ten sposób kontrola nad portami kanaańskim stała się niezwykle ważna strategicznie dla imperialnych marzeń babilońskich lub egipskich zdobywców. W rezultacie te porty, każde z nich będące oddzielnymi, małymi królestwami handlowymi, próbującymi samodzielnie funkcjonować, były nieustannie przedmiotem walk, plądrowane, burzone, odbudowywane – ich zawartość tratowana, niszczona, palona, wywożona – ponownie wykorzystywana w nieskończoność. I nie skończyło się to na Babilończykach i Egipcjanach. Centrum Lewantu stało się siedzibą Persów, Greków, Rzymian, cesarzy bizantyjskich, Saracenów, Krzyżowców, Turków, a w czasach nowszych także Brytyjczyków, Niemców i Francuzów. Nic dziwnego, że na początku XIX wieku, kiedy archeolodzy po raz pierwszy zaczęli interesować się tym nieuchwytnym ludem, Fenicjanami, wydawało się, że nie ma prawie niczego fenickiego, co ktokolwiek mógłby zbadać. Jednak gdy uczeni zaczęli grzebać w ziemi, odkryli, że mają ku temu powody. Pięcioma głównymi wschodnimi miastami fenickimi były Arados, Byblos, Berytus (Bejrut), Tyr i Sydon. Wszystkie są nadal zamieszkane, a w podziemnych gruzach na obrzeżach współczesnych miast archeolodzy, niewiele ponad sto lat temu, rozpoczęli powolne odkrywanie fenickiej przeszłości. I oto mamy do czynienia z przerażająco frustrującą okolicznością.

Chociaż Fenicjanie podróżowali i handlowali statkami, w ciągu ponad wieku badań archeologicznych nie odnaleziono ani jednego statku w mule fenickiego portu ani we wraku stoczni. Nie odnaleziono żadnej fenickiej rzeźby ani rysunku statku. Jeśli chodzi o historię samych Fenicjan, niezwykłą działalność handlową, którą prowadzili ci sprytni ludzie, można by z powodzeniem rozpocząć na blaszanych tacach. To właśnie w tej niemal próżni bezpośredniego śladu fenickich statków dwaj archeolodzy morscy, Bass i Throckmorton, dopłynęli do wraku u przylądka Gelidonya w 1960 roku i zaczęli go badać . Oczywiście, kiedy po raz pierwszy zeszli na dół, nie wiedzieli, co znaleźli. Zgodnie z zasadą obowiązującą we wszystkich współczesnych, rzetelnych pracach archeologicznych – niezależnie od tego, czy kopano w prehistorycznych jaskiniach, zrujnowanych miastach, czy głęboko w morzu – Bass i Throckmorton, jako pierwszy krok, zmapowali wrak, odnotowując dokładne położenie każdego znajdującego się w nim obiektu. Naukowcy zdają sobie obecnie sprawę, że dokładna pozycja znaleziska jest często równie ważna, jak sam obiekt. W tym wraku rozmieszczenie przedmiotów na dnie dało jasną wskazówkę co do wielkości statku. Chociaż kadłub niemal całkowicie zniknął, jego zawartość nadal leżała tam, gdzie pierwotnie się znajdowała, co pozwoliło oszacować, że statek miał około 18 metrów długości. Ich mapowanie zostało ukończone. Bass i Throckmorton, wraz z członkami 20-osobowego zespołu archeologów podwodnych, który zgromadzili, przystąpili następnie do usuwania ładunku i pozostałych fragmentów kadłuba, kawałek po kawałku. Prawie wszystko było pokryte grubą, twardą jak skała warstwą, która powoli osadzała się na nim przez organizmy morskie na przestrzeni wieków, uniemożliwiając nurkom identyfikację większości materiału, dopóki nie został on oderwany w kawałkach i wyniesiony na powierzchnię, gdzie można było usunąć skorupę. W trakcie kucia i czyszczenia Bass i Throckmorton szybko zdali sobie sprawę, że znaleźli statek wędrownego kowala lub blacharza i jego załogi. Większość ładunku składała się ze sztabek miedzi i cyny – surowca do produkcji brązu – oraz kilku kawałków złomu brązu, który kowal najwyraźniej gromadził, aby wykorzystać go do wyrobu wszelkich metalowych przedmiotów, na które istniało zapotrzebowanie w portach, do których zawijał. Oprócz surowców kowalskich znajdowały się narzędzia jego fachu: duże, płaskie kamienne kowadło, dwa kamienne młoty, osełka, kilka kamieni polerskich do polerowania metalowych przedmiotów oraz specjalny blok brązu z otworami, używany do wyrobu drutu. Zarówno te narzędzia, jak i sztabki można było rozpoznać po kształcie i znakach, jako pochodzące z pobliskiej wyspy Cypr. Bass początkowo pomyślał, że to cypryjski statek, ale okazało się, że tak nie było. Gdy on i Throckmorton wynieśli więcej na powierzchnię, odkryli, że zaczynają gromadzić małą, żałosną kolekcję rzeczy osobistych. Były one wyraźnie fenickie: kilka rzeźbionych skarabeuszy, pieczęć cylindryczna (do podpisywania glinianych tabliczek), kilka kamiennych moździerzy i młotków, a także kilka odważników do wagi szalkowej — wszystkie pochodzenia kananejskiego. Z tych domowych drobiazgów ukazuje się wgląd w życie kananejskiego kupca-rzemieślnika. Ponieważ zarówno surowce, jak i środki do wytwarzania rzeczy znajdowały się na pokładzie, wydaje się jasne, że był to wędrowny warsztat, albo należący do, albo dzierżawiony przez morskiego rzemieślnika, i że być może cały jego zapas dóbr ziemskich był z nim przewożony. Nie sposób zgadnąć, czy miał wspólników ani jak duża była jego załoga. Wiemy tylko, że jadł oliwki; głęboko w wraku znaleziono ich małą stertę, miąższu nie było, ale twarde pestki wciąż tam były. Kiedy jadł te oliwki? Około 1200 r. p.n.e. Datowanie radiowęglowe i styl przedmiotów znalezionych na pokładzie wskazuje na tę datę. Z punktu widzenia historii Fenicjan jest to data niezwykle trudną. To właśnie mniej więcej w tym okresie historycznym naukowcy są skłonni uznać metamorfozę nadmorskich Kananejczyków w Fenicjan. Żadna rasa, żaden lud, żadna kultura, żaden sposób życia nie pojawia się nagle na historycznej scenie w pełni ukształtowany i schludnie oznakowany. Na przykład, styl życia praktykowany przez kolonialnych osadników w USA nie był „amerykański" dzień po podpisaniu Deklaracji Niepodległości i „nieamerykański" dzień wcześniej. Podobnie jest z miastami wybrzeża Libanu. Tę część ich historii, która rozegrała się przed około 1100 lub 1200 r. p.n.e., naukowcy prawidłowo identyfikują jako kananejską. Po tym okresie naukowcy są skłonni identyfikować nadmorskie ludy Kananejczyków jako Fenicjan. Wydarzeniem, które sprawiło, że

zmiana nazwy stała się stosowna, była w rzeczywistości cała seria wydarzeń, które nie miały miejsca w Kanaanie, lecz w Egipcie, w egejskim świecie Greków epoki brązu oraz na wyżynnym płaskowyżu Anatolii. We wszystkich tych miejscach dochodziło do wielkich wstrząsów politycznych. Władcy powstali i upadli, a imperia upadały. Kananejczycy, dotychczas ograniczeni w zasadzie do własnych granic przez potężniejszych sąsiadów, nagle odkryli, że to ograniczenie zostało zniesione. Zaczęli wypływać na zewnątrz, początkowo ostrożnie, a następnie z coraz większą śmiałością i szybkością, w próżnię pozostawioną przez ich uległych sąsiadów. W zaskakująco krótkim czasie przekształcili się z lokalnych nadmorskich kupców w dalekosiężnych, morskich przedsiębiorczych kupców z siecią faktorii handlowych na całym Morzu Śródziemnym. Istnienie tej sieci handlowej jest kluczem do identyfikacji Fenicjan jako ludu rozpoznawalnego, choć należy ponownie podkreślić, że sami siebie tak nie postrzegali. Dlatego wrak Gelidonyi jest tak interesujący. To niewielki, pozytywny dowód na morskie i kupieckie zwyczaje kogoś z wybrzeża, w momencie, gdy zaczynał zasłużyć na miano „Fenicjanina". Do 1000 r. p.n.e. nie było już żadnych wątpliwości, kim był Fenicjanin. Krewni i potomkowie żelidonijskiego blacharza rozprzestrzenili się daleko. Przebyli drogę na południe, przeskakując deltę Nilu mijając Egipt i zakładając osady wzdłuż północnoafrykańskiego wybrzeża. W ciągu kilkuset lat byli wszędzie. Założono Kartaginę, zabezpieczono przyczółki na Malcie, Sycylii, Sardynii, Korsyce, Balearach i w Hiszpanii. Dokonano nawet ekspedycji na Atlantyk. Moment przejścia z nadmorskiego Kananejczyka na fenicki ma kluczowe znaczenie dla zrozumienia historii Fenicjan. Niestety, wśród ekspertów nie ma zgody co do dokładnego momentu. Niektórzy uważają, że nazwa „fenicki" może odnosić się do roku 1200 p.n.e. lub nawet wcześniej. Inni datują tę zmianę na 1000 p.n.e. i nie przyznają, że wrak Gelidonyi jest fenicki. Akceptuję starszą datę – a zatem fakt, że wrak rzeczywiście jest fenicki – opierając się na założeniu, że kananejscy marynarze handlowi rozpoczęli już znaczącą ekspansję handlową, a wrak Gelidonyi jest tego dowodem. Jest wysoce nieprawdopodobne, aby jedyna lub najdalsza wyprawa kananejskiego kupca zakończyła się katastrofą i aby skutki tej pojedynczej katastrofy zostały zachowane do dzisiejszego odkrycia. Innymi słowy, Gelidonya wydaje się symptomem znacznie szerszej działalności, która już trwała i prawdopodobnie zmierzała w wielu kierunkach. Tak czy inaczej, nie ma absolutnie żadnych wątpliwości, że możliwości otwarte dla kananejskiego kupca po około 1100 r. p.n.e. były zupełnie inne niż te, które otwierały się przed nim przed około 1200 r. p.n.e. Wczesny kupiec z Byblos, wpatrując się w morze i zastanawiając się, jak rozwinąć dochodową dwustronną linię handlową, miał raczej ograniczone możliwości. Mógł spojrzeć na południe, w stronę Egiptu i handlować na egipskich warunkach. Mógł też spojrzeć na zachód, na inny bogaty rynek: wyspiarski świat Morza Egejskiego, gdzie znakomite towary handlowe, zwłaszcza ceramika i inkrustowane wyroby metalowe, były wytwarzane i dystrybuowane przez dwa ludy, Minojczyków i Greków mykeńskich. Na co więcej mógł liczyć drobny handlarz przybrzeżny niż na ekspansję na ten świat wysp, z jego mnogością pięknych portów, lokalnymi produktami i świeżą wodą – gdzie do przetransportowania statku z jednego osłoniętego brzegu na drugi potrzebny był zaledwie dzień dobrej żeglugi? Niestety, dla marzeń kananejskiego handlarza, ten świat był dla niego praktycznie zamknięty. Kreta, wyspa o długości prawie 200 mil, leżała niczym baryłka u podnóża Morza Egejskiego. Kreta była centralną bazą architektów pierwszej prawdziwej potęgi morskiej w historii. Całe Morze Egejskie było ich prywatnym jeziorem. Jej mieszkańcy, Minojczycy, kontrolowali handel z miastami wybrzeża Jońskiego i ze wszystkimi wyspami Morza Egejskiego. Handlowali z przodkami Agamemnona i Nestora w Grecji. Udali się do Troi i dalej. Zbadali wąskie gardło Morza Czarnego, które otwierało się na wschód niczym róg obfitości, w poszukiwaniu handlu z jeźdźcami z rosyjskich stepów, ze Scytami, Partami i niezliczonymi, bezimiennymi ludami, przemierzającymi rozległe tereny, które rozciągały się nie wiadomo dokąd. Potężny naród, Minojczycy. Jeśli kananejski kupiec choćby wsadził nos do jeziora minojskiego, robił to z przyzwolenia. Bardziej prawdopodobne było, że musiał zaakceptować minojskie koncesje handlowe w swoim porcie macierzystym. Mogło to zniechęcić go do czegokolwiek bardziej ambitnego niż lokalny handel przybrzeżny, czyniąc z niego niewiele lepszego niż agenta transferowego towarów, które

wysyłał do Egiptu lub ładował na długą podróż przez Góry Libańskie i pyliste płaskowyże, by ostatecznie dotrzeć do Babilonu lub Niniwy. Taki był wczesny schemat handlu w miejscach takich jak Byblos przez wiele setek lat: na południe do Egiptu, na wschód do Mezopotamii. Następnie, począwszy od około 1400 r. p.n.e., nastąpiła seria wstrząsów politycznych, które wstrząsnęły tym stosunkowo stabilnym światem handlowym do głębi. W jakiś sposób Grecy mykeńscy przejęli kontrolę nad Kretą, a minojskie imperium morskie zniknęło, pozostawiając po sobie jedynie spalone pałace i blask dawnej świetności. Okupacja grecka trwała około 200 lat, a następnie z kolei upadła. Greckie miasta na kontynencie były plądrowane jedno po drugim. Jak do tego doszło, nie jest do końca jasne. Niektórzy historycy uważają, że wstrząsy te były generowane wewnętrznie, a cywilizacja mykeńska była autodestrukcyjna. Inni uważają, że padła ofiarą fal najazdów spokrewnionego z Grekami ludu znanego jako Dorowie, napływającego z północy. W obu przypadkach epoka brązu dobiegała końca i zakończyła się serią wstrząsów, których fale uderzeniowe były odczuwalne w całym świecie śródziemnomorskim. „Ludzie Morza" z północy, z Krety i z innych wysp zalali brzegi Jonii i mogli nawet zalać Imperium Hetyckie. Pojawili się również na wybrzeżach Libanu i Syrii – niektórzy w panicznej ucieczce, inni jako najeźdźcy szukający nowego miejsca do przejęcia i osiedlenia. W całym zamieszaniu około 1200 r. p.n.e. piractwo stało się sposobem na życie wielu ludów. Po złamaniu kontroli minojskiej rozbójnicy mnożyli się jak karaluchy w każdym zakątku wybrzeża. Zaczęli rabować nadmorskie miasta, a wraz ze wzrostem ich sukcesów rosły ich ambicje. Połączyli siły. Ich złowrogie floty stawały się coraz większe i polowały na większą zwierzynę. Niektórzy badacze uważają, że oblężenie Troi było niczym więcej niż gigantyczną piracką wyprawą Greków z epoki brązu, reagujących na coraz bardziej chaotyczne warunki na Morzu Egejskim. W 1200 r. p.n.e. pałace Krety zostały spustoszone po raz drugi i nigdy nie zostały odbudowane. Mieszkańcy wybrzeża zaczęli się wycofywać, by budować swoje cytadele w głębi lądu, na bezpieczniejszych skałach. W tym świecie chaotycznych zmian kananejscy kupcy zaczęli wyłaniać się jako Fenicjanie. Ich porty nagle zaczęły wykazywać znaczny wzrost wigoru i przedsiębiorczości, a dwa z nich, Sydon i Tyr, miały długą i świetlaną historię. Ten rozkwit wybrzeża nastąpił w momencie próżni władzy wszędzie indziej. Floty pirackie skurczyły się do poziomu lokalnych utrapieńców. Mykeńska i minojska potęga morska została całkowicie rozbita. Imperium Hetytów legło w gruzach. Egipt pogrążył się w długim upadku i na zawsze utracił hegemonię nad Kananejczykami; zamiast pobierać wysokie coroczne daniny w postaci drewna z Byblos, jak to miało miejsce w dawnych dobrych czasach, Egipt zmuszony był kupować drewno po coraz wyższych cenach. Różnica w stosunku do Byblos – a co za tym idzie, do wszystkich innych portów i ich władców – była znacząca. Trudno o lepszy sposób spojrzenia na to zjawisko niż zapoznanie się z dwoma królami Byblos: Rib-Addim (który rządził około 1375 r. p.n.e.) i Zakar-Baalem (który rządził około 1075 r. p.n.e.) - pierwszy niewątpliwie był nadmorskim królem Kanaanu, drugi równie niewątpliwie Fenicjaninem. Świat Rib-Addiego, podobnie jak jego własne myślenie, był zdominowany przez Egipt i tak było przez długi czas. Pomimo różnych wzlotów i upadków sięgających tysiąca lub więcej lat, Egipt był najpotężniejszą potęgą starożytnego świata. Chociaż nigdy nie był wielką potęgą morską, przeszedł przez kilka okresów wielkiej ekspansji militarnej na lądzie, uzyskując kontrolę Echna nad całym wybrzeżem Kanaanu i pobierając daninę z portów kananejskich. Przez wieki Egipt wykorzystywał je jako źródła zaopatrzenia i bazy dla swoich kampanii na wschód przeciwko mezopotamskim imperiom Asyrii i Babilonii. W zamian oferował portom kananejskim bezpieczeństwo przed inwazjami z zewnątrz. W tej długiej relacji najdłuższe i najściślejsze więzi łączyły Egipt z Byblos. Byblos było głównym dostawcą do Egiptu najwyższej jakości drewna – głównie cedrów libańskich, które rosły w gęstych gajach na zboczach gór za Byblos. Egipcjanie zużywali je w tak dużych ilościach – na meble, boazerię, a zwłaszcza na barki rzeczne używane do celów ceremonialnych – że statki wysyłane z Nilu po to drewno nazywano statkami Byblos. Egipcjanie hojnie płacili za drewno cedrowe z Byblos, adorując jego królów darami w postaci rzeźbionych skrzynek i kamiennych popiersi z wyrytą osobistą pieczęcią faraona. W zamian królowie Byblos byli niezwykle lojalni wobec Egipcjan. Oś kananejsko-egipska zmagała się jednak z pewnym problemem: gdy Egipt był silny, zagrożenie

inwazją było niewielkie; gdy był słaby, a zagrożenia rosły, nie mógł pomóc swoim sojusznikom. Walczące o przetrwanie małe kananejskie porty morskie musiały radzić sobie z lokalnymi problemami najlepiej, jak potrafiły. Znajdowały się one pod ciągłym ostrzałem Hetytów, potężnego i wojowniczego ludu, który patrzył na nie z góry Anatolii na północy. Później byli wielokrotnie atakowani przez Asyryjczyków i Babilończyków ze wschodu. Pech sprawił, że Rib-Addi zasiadł na tronie Byblos w okresie słabości Egiptu. Władcą był wówczas Amenhotep III, a po nim jego syn, religijny fanatyk imieniem Echnaton. Ten ostatni postanowił narzucić egipskiemu społeczeństwu, które miało długą tradycję wielu bogów, koncepcję jednego boga, Atona. Spowodowało to wstrząs w Egipcie i wpędziło Echnatona w tak silny konflikt z dobrze zakorzenioną klasą kapłańską, że przez wiele lat miał niewiele czasu lub wcale na sprawy zagraniczne. Egipska kontrola nad wybrzeżem Kanaanu osłabła. Duże grupy wędrownych opryszków zaczęły wynajmować się jako żołnierze w wybuchu tlących się konfliktów między miastami, które wcześniej były dość dobrze kontrolowane przez egipską obecność. Co gorsza, Hetyci podsycali te kłótnie, mając długoterminowy cel przejęcia całego Lewantu. W tym niepokojącym klimacie Rib-Addi usiadł pewnego dnia, aby podyktować list, który został należycie wyryty na glinianej tabliczce i wysłany do Egiptu. Wiemy o tym, ponieważ jego list został cudownie zachowany. Został znaleziony w Egipcie w 1887 roku w miejscu zwanym Amarna, wraz z 63 innymi listami Rib-Addiego i około 300 innymi listami innych pisarzy. Ten zbiór glinianych tabliczek okazał się częścią królewskich akt Echnatona i jego ojca. Niezwykła kolekcja zawiera korespondencję od królów Asyrii i Babilonu w sprawach państwowych, a także od Hetytów i mniejszych wasalnych królestw kananejskich. Ale ze wszystkich pisarzy listów żaden nie był bardziej natarczywy niż Rib-Addi. I miał ku temu powody. Kilku sąsiednich książąt amoryckich, Abdi-Ashirta, a później jego syn Aziru, przyłączyło się do lokalnych band najemników i otwarcie spiskowało z Hetytami, jednocześnie nadal deklarując wierność Egiptowi. Z punktu widzenia kogoś takiego jak Rib-Addi, którego losy były ściśle związane z losem Egiptu, była to zdrada najstraszniejszego rodzaju. Stanowiła ona również dla niego źródło niebezpieczeństwa, ponieważ gdyby się powiodła, znalazłby się na końcu gałęzi zasadniczo egipskiego drzewa, bez nikogo, kto mógłby go złapać, gdyby się poślizgnął. W związku z tym wysłał serię listów do Egiptu, najpierw ostrzegając przed zdradzieckimi Amorytami, później, gdy ich zdrada zaczęła się opłacać w postaci zdobywanych miast i obalania lokalnych władców — błagając o pomoc. Prosił o żołnierzy, o konie, a gdy perfidny Aziru był już wystarczająco silny, by oblegać samo miasto Byblos, o żywność. Nic nie przyszło. Następnie w obrębie murów miejskich wyłoniła się frakcja zdrajców. „Moje bramy przyjęły miedź [łapówki]" – napisał Rib-Addi w panicznym liście, wyjaśniając, że jeśli nie otrzyma natychmiastowej pomocy, może być zmuszony do całkowitej ucieczki z Byblos. Z Egiptu nie nadeszły żadne wieści, więc wysłał siostrę i jej dzieci na południe do Tyru, aby zapewnić sobie bezpieczeństwo. Ostatecznie jednak Tyr przeszedł na drugą stronę i wszyscy zostali zamordowani. W tym czasie uparta lojalność Rib-Addiego naraziła go na skrajne niebezpieczeństwo. Zdesperowany, rzucił faraonowi chytrą aluzję, że zamierza rzucić gąbkę; jego żona i wszyscy dworzanie radzili mu, aby udał się do Aziru. Gdy nawet to nie wywołało żadnej pomocnej odpowiedzi, Rib-Addi w ostateczności udał się do sąsiedniego Berytos, aby zebrać poparcie. Po powrocie do Byblos odkrył, że jego własny brat zbiegł i przejął miasto; jego bramy były teraz dla niego zamknięte. Ostatni list Rib-Addiego do Echnatona informuje go, że teraz nie ma się do kogo zwrócić, że jego wrogowie zamierzają przekonać króla Berytusu do wydania go Aziru. Przypuszczalnie tak się stało, ponieważ Rib-Addi zniknął i słuch po nim zaginął. Możemy wywnioskować, że Aziru go złapał i zabił, ponieważ kolejny list z kryjówki w Amarne, napisany przez prominentnego obywatela Byblos, informuje faraona, że Aziru to okropny łobuz, który ma na koncie morderstwo kilku królów, w tym króla Byblos. Korespondencja z Amarne jest jedną z najciekawszych, najbardziej odkrywczych – i bolesnych – w całym dziedzictwie materiałów dotyczących Fenicjan i ich przodków. Z warknięciem, które wylewa się z tych niewinnie wyglądających glinianych tabliczek, uświadamia, jak śliskie musiało być podłoże dla niepewnego siebie króla Kananejczyków, który je napisał. Ponure również dla zapomnianych innych, takich jak on, którzy zostali zmuszeni do podjęcia podobnych decyzji i którzy

również mogli się pomylić, stale stając przed decyzjami dotyczącymi… Czy targować się, czy walczyć. Musieli gorączkowo trymować żagle – nie tylko ze względu na silny egipski wiatr wiejący z południa i hetycki wiatr z północy, ale także na wszystkie drobne, ziarniste nawałnice, które raz po raz nacierały na siebie. Ale przesuńmy się o jakieś 300 lat do przodu i napotkamy inne Byblos. Niegdyś potężny Egipt upadł jeszcze bardziej. Podporządkowani książęta kananejscy, tacy jak Rib-Addi, zostali zastąpieni przez niezależnych królów fenickich, a zmiana ta została dobitnie ukazana w innym fascynującym dokumencie. Jest to egipski papirus datowany na około 1100 r. p.n.e., opisujący przygody posła wysłanego z Teb, aby targować się z królem Zakar-Baalem z Byblos o drewno cedrowe, którego faraon potrzebował do budowy ceremonialnej barki dla boga Amona. W dawnych czasach, gdy mali kananejscy książęta musieli się spieszyć, aby utrzymać względy Egipcjan, możemy być pewni, że przybycie egipskiego pośrednika zakupowego wywołało wielkie poruszenie. Jak miejscowi handlarze drewnem, a być może także miejscowy król, musieli mu się kłaniać i skrobać. Jakże inaczej wyglądało teraz doświadczenie egipskiego pośrednika o imieniu Wen-Amon. Dawne wizyty, pełne przepychu i pięknych komplementów, przeminęły wraz z falą. Nie było nawet egipskiego okrętu, który mógłby przywieźć Wen-Amona; musiał podróżować syryjską jednostką, a złodzieje ukradli większość jego pieniędzy podczas podróży. Kiedy zszedł na ląd w Byblos, nie było nikogo, kto by go powitał. Wręcz przeciwnie, król Zakar-Baal nie tylko odmówił mu spotkania, ale wręcz nakazał Wen-Amonowi odpłynąć. Przez 29 dni z rzędu król wysyłał do portu krótkie meldunki, nakazując Wen-Amonowi natychmiastowe opuszczenie portu. Jedynym powodem, dla którego Wen-Amon nie popłynął, był brak statku, którym mógłby dopłynąć. Zakar-Baal mógł wyrażać nowe, odurzające poczucie fenickiej niezależności lub, bardziej praktycznie rzecz biorąc, mógł usłyszeć, że Wen-Amon został obrabowany w trakcie podróży i nie miał prawie żadnych pieniędzy na zakup drewna, nie mówiąc już o jakimkolwiek podarunku dla króla. Jakikolwiek był powód, Wen-Amon wciąż załamywał ręce w porcie, zastanawiając się, co dalej robić, gdy młody dworzanin Zakar-Baala przypadkiem upadł w jakimś napadzie religijnego szału, podczas którego usłyszał głos, że król powinien zobaczyć się z egipskim pośrednikiem w skupach. Tak więc Wen-Amon odbył audiencję u Zakar-Baala, którego zastał w pokoju na piętrze swojego pałacu „odwróconego plecami do okna, tak że fale wielkiego morza syryjskiego rozbijały mu się o tył głowy". Ten odkrywczy fragment mówi nam, że pałace we wczesnych miastach fenickich miały więcej niż jedno piętro, miały okna i były budowane bardzo blisko wody. Ruiny starożytnego Byblos zdają się to potwierdzać. Znajdują się one w plątaninie starych murów i fundamentów na cyplu lądu wystającym w morze. Linia brzegowa jest stroma i skalista, stare fortyfikacje stoją tuż nad wodą i możliwe, że pałac króla zainteresowanego handlem morskim mógł zostać wzniesiony tuż za murami, być może z widokiem na mały, przytulny port, który wciąż znajduje się obok. Przy złej pogodzie sztorm spychany przez silne wiatry zachodnie rzucałby fale na te skały. Rozpryski wody mogły z łatwością wzbić się na wysokość kilku pięter, by lśnić w słońcu za głową króla siedzącego tyłem do światła – tym łatwiej było spojrzeć na petenta. Król przyjął Wen-Amona chłodno. Sprowadzało się to do: „Sprzedam ci drewno, jeśli chcesz, ale lepiej będzie, jeśli zapłacisz, a nie wygląda na to, żebyś mógł". Następnie wyciągnął kilka zwojów, które rejestrowały wcześniejsze transakcje dotyczące drewna. Ta wzmianka również jest wymowna: wskazuje, że byblijskie zapisy były przechowywane na papirusie, a nie na glinianych tabliczkach. Potwierdza to również, że Egipt kupował drewno (nie brał go w daninie) już od wielu lat — i to po cenach, które sprawiły, że biedny Wen-Amon, którego portfel był już na początku chudy, a teraz niemal spłaszczony kradzieżą, skrzywił się. Wen-Amon próbował przypomnieć Zakar-Baalowi o długiej i bliskiej relacji między dwoma krajami i o znaczeniu wielkiego boga Ainona. Nic z tego nie zrobiło na Zakar-Baalu najmniejszego wrażenia. W końcu zgodził się załadować tyle drewna, na ile Wen-Amon miał pieniądze, ani jednego kija więcej, po czym wbił w egipskiego agenta zimne królewskie oko i powiedział: „Patrz, zlecenia [znaczne dostawy drewna], które moi ojcowie dawniej wykonywali, wykonałem, nawet jeśli nie zrobiłeś dla mnie tego, co zrobiliby dla mnie twoi ojcowie [w darach i płatnościach], . . nawet nie zrobiłem ci tego, co uczyniono posłańcom Ka-em Waset, gdy spędzili

siedemnaście lat w tej krainie. Oni zmarli [i zostali tu pochowani]". Zaproponował, że pokaże Wen-Amonowi grobowce nieszczęsnych posłańców i zaczął mówić o innych egipskich agentach, których przetrzymywał, aż i oni zginęli. Wen-Amon, kompletnie zastraszony, błagał, by nie pokazywano mu grobowców i odesłał wiadomość do faraona z prośbą o więcej funduszy. W odpowiednim czasie zdobył kilka dzbanów złota i srebra, 10 beli egipskiego lnu, 500 zwojów papirusu, 10 sztuk eleganckiej królewskiej lnianej odzieży, a także 500 skór wołowych, 500 lin, 20 worków soczewicy i pięć koszy ryb. Dostał nawet trochę soczewicy i ryb dla siebie. Dzięki temu udało mu się sfinalizować zakup drewna. Jego opowieść opowiada dalej o trudnościach, jakie napotkał, uciekając z Byblos – schwytanie przez piratów, rozbicie statku na Cyprze. Co stało się z nieszczęsnym Wen-Amonem, nie wiemy; końcowe części papirusu, które dopełniają jego historię, nigdy nie zostały odnalezione. Znaleziono. Warto zatrzymać się na chwilę, aby porównać Rib-Addiego do Zakar-Baala. Jakiż kontrast istnieje między tymi dwoma królami byblijskimi, oddzielonymi zaledwie 300 latami czasu. Ale dla wyłaniających się Fenicjan te 300 lat stanowiło różnicę między zależnością a niezależnością. Rib-Addi jest petentem, chuderlakiem. Pomimo całej swojej przedsiębiorczości i bieganiny wie, że prawdziwa władza leży gdzie indziej i że jeśli nie będzie miał poparcia, upadnie. Jego listy są przeplatane zwrotami „Mój Panie, to" i „Mój Panie, tamto": „Niech mój Pan wie, że umrę za niego. Kiedy będę w mieście, będę go bronił dla mojego Pana, a moje serce jest zwrócone ku Królowi, mojemu Panu". Zakar-Baal stoi twardo na nogach. Rozprawi się z Egipcjanami, jeśli mu to odpowiada; jeśli nie, to nie – a egipski wysłannik może gnić w lochu na zawsze, bez względu na wszystko. Zakar-Baal i inni feniccy książęta, którzy teraz wyłaniają się jako głowy różnych miast nadmorskich, to ocaleńcy – najsprytniejsi, najbardziej długomyślni, najbardziej ugodowi i najbardziej apodyktyczni ludzie w swoich społeczeństwach. Te cechy wyniosły ich na szczyt. Przetrwali 10 pokoleń zawirowań. Emanuje z nich władza. Zasłużyli na nią i wiedzą, jak ją wykorzystać. I będą jej używać przez prawie tysiąc lat.

Wydobycie z najwcześniejszego znanego wraku

Jedyny znany fenicki statek handlowy i najstarszy wrak, jaki kiedykolwiek odkryto na Morzu Śródziemnym, został odnaleziony i zbadany w 1960 roku przez dwóch Amerykanów: George'a Bassa i Petera Throckmortona. Ich badania tego wraku jednoznacznie wskazują, że był to statek wędrownego metalowca, który prawdopodobnie zmierzał na zachód około 1200 roku p.n.e. z ładunkiem sztabek miedzi oraz kawałków brązu i cyny. Jego statek najwyraźniej uderzył w skały podczas sztormu u wybrzeży Turcji, w pobliżu przylądka Gelidonya, a następnie napełnił się wodą i zatonął. Nie przewrócił się jednak i nie rozlał ładunku. Zsunął się po stromym podwodnym zboczu z całym towarem w środku i osiadł na głębokości około 27 metrów. Aby wydobyć ładunek, nurkowie musieli poruszać się w wartkich prądach na głębokości, która ograniczała czas ich pobytu pod wodą.

Problemy z rozpoznaniem i wydobyciem

Wrak Gelidonya był głęboko pokryty osadami morskimi. Początkowo tylko kilka ze spojonych brył leżących na dnie rozpoznano jako dzieło człowieka. Jednak w miarę jak nurkowie coraz lepiej poznawali swoje odkrycie, zdali sobie sprawę, że wiele z „kamieni" leżących w niebieskawym świetle to w rzeczywistości artefakty. Archeolodzy musieli opracować nowe sposoby mapowania każdego fragmentu znaleziska, a następnie wydobycia dużych, ciężkich brył na powierzchnię. Po wydobyciu na brzeg znaleziska były ostrożnie rozbijane na mniejsze kawałki, a ich skalna powłoka odłupywana, aby odsłonić to, co znajdowało się w środku. Ten żmudny proces ujawnił takie przedmioty, jak sztabki, pieczęć, lampa, koraliki, wagi i miary, kowadła, metalowe narzędzia, potłuczoną ceramikę i fragmenty samego statku.

Ponowne składanie elementów na skalistym brzegu

Trudności napotkane pod wodą na przylądku Gelidonya dorównywały tym w obozie na brzegu. Temperatury na wąskiej plaży sięgały ponad 38 stopni Celsjusza. Muchy kąsały bezlitośnie, zmuszając naukowców do kucania pod siatkami podczas pracy. Pod koniec lata nadeszły burze, zalewając plażę i pozostawiając za sobą duże zaspy piasku. Z klifów nad nami co jakiś czas spadały kamienie, a deszcze groziły lawinami. Mimo to cały ładunek został podniesiony, oczyszczony i zidentyfikowany. Największą pojedynczą kategorią były 34 sztabki miedzianej „skóry wołowej", nazwanej tak ze względu na kształt. Niektóre były nienaruszone. Inne – ponieważ leżały obok sztabek cyny – zostały częściowo zniszczone przez elektrolizę: w wyniku działania słonej wody na dwa metale.

II. Statki w starożytnym Morzu Śródziemnym

Statki kopalne (używając tego terminu bardzo luźno), podobnie jak skamieniali ludzie, są niezwykle rzadkie. Drewno rozpada się równie łatwo jak kość i, podobnie jak kość, wymaga ochrony, aby je zachować: spokojnej wody bagna, gdzie rośliny mogą osadzać się, tworząc torf; uspokajającego odnogi portu lub zatoki, najlepiej takiej u ujścia rzeki, której stały ładunek mułu będzie stopniowo pokrywał dno portu; miejsca wzdłuż wybrzeża, gdzie połączenie prądów oceanicznych i sztormów może przenosić duże ilości piasku. Amatorskie poszukiwania podwodne trwają na Morzu Śródziemnym od dawna. W ostatnich latach, wraz z rozwojem sprzętu do nurkowania, znacznie przyspieszyły. W rezultacie wszystkie najbardziej znane i najłatwiej dostępne wraki z czasów antycznych zostały naruszone i splądrowane, tak że praktycznie nie nadają się do badań archeologicznych. Zrozumiałe jest, że dla nurka-amatora nie ma większej ekscytacji niż znalezienie skupiska zaschniętych dzbanów po winie leżących w gnieździe na wpół zakopanych belek i nie ma większej pokusy niż podważenie kilku dzbanów lub belek, by je wynieść, być może na inny kontynent, i postawić na kominku. Niemniej jednak, takie kradzieże niszczą o wiele większy skarb. Dzban po winie, choć piękny i interesujący, czy też nadgryzione przez robaki drewno – pomimo fantazji, jakie może budzić – zachowuje swoją prawdziwą wartość jedynie w kontekście wszystkich otaczających go przedmiotów i części statku. Sam w sobie jest po prostu ciekawostką. Dlatego właśnie wynurzenie się jednego z dziobów statku w 1971 roku, w wyniku wydobycia piasku z płytkich wód w pobliżu Marsali na zachodnim krańcu Sycylii, wywołało tak wielkie poruszenie wśród archeologów morskich, zwłaszcza tych zainteresowanych fenicką historią morską. Istnieje bowiem duże prawdopodobieństwo, że ten kadłub może pochodzić z Kartaginy. Co więcej, jego badania z… Sam początek był pod ochroną i kierownictwem zespołu profesjonalnych archeologów podwodnych, którym przewodzi Angielka, Honor Frost . Frost jest doświadczoną nurkiem, która od wielu lat pracuje na Morzu Śródziemnym. Ma wyłączny kontrakt z rządem włoskim na zbadanie wraku Isola Lunga – nazwanego tak ze względu na bliskość wyspy o tej nazwie. I chociaż miną lata, zanim zespół Frost będzie mógł w pełni zinterpretować swoje odkrycia, dotychczasowe dowody dają nadzieję na nowe spojrzenie na budowę i użytkowanie statków w późnym okresie fenickim. Na początek istnieje możliwość, że kadłub Isola Lunga, datowany na III wiek p.n.e., może być okrętem wojennym – w niczym nie przypominającym wraku Gelidonya opisanego w rozdziale 1, który jest statkiem towarowym. Ten drugi pochodzi ze wschodu, być może z Byblos lub Tyru; jest stosunkowo mały i datowany na około 1200 r. p.n.e. Pierwszy pochodzi z Zachodniej Fenicji, jest prawdopodobnie trzy razy większy i może ważyć nawet tysiąc lata młodszy. W miarę jak wrak Isola Lunga jest oczyszczany z płaszcza piasku, jego części są skrupulatnie kreślone, numerowane, podnoszone, a następnie umieszczane w zbiornikach ze słodką wodą w Muzeum w Palermo. Tam będą moczone przez trzy lata, aby usunąć wszelkie ślady soli, a następnie impregnowane środkiem chemicznym w celu ich konserwacji. Następnie zostanie podjęta próba ponownego złożenia fragmentów wraku na wystawę muzealną. Dokładna rekonstrukcja starożytnych kadłubów jest praktycznie niemożliwa. Kiedy drewniany statek tonie, ostatecznie rozprzestrzenia się i rozpada w

wyniku stopniowego gnicia, ruchu wody i ciężaru własnego ładunku lub balastu. Kończy spłaszczony na dnie morza, a jego pierwotne kontury i wymiary są trudne do odzyskania. Problem ten stał się szczególnie dotkliwy w przypadku klasycznych wraków ze względu na całkowity brak dziobów statków. Dlaczego dzioby i rufy są bardziej podatne na rozpad niż części śródokręcia, nie wiem; może to być spowodowane tym, że wystają dalej od ochronnego piasku. Ale faktem pozostaje, że Ani dziób, ani rufa klasycznego wraku, spośród setek rozsianych po dnie Morza Śródziemnego, nigdy nie zostały odnalezione – aż do Isola Lunga. Oto dobrze zachowany dziób statku, z wciąż przymocowanymi kawałkami ochronnego ołowianego poszycia, wraz z fragmentami oryginalnego płóciennego wyściełania, które było zapakowane pod ołowiem, a całość przytrzymywana miedzianymi ćwiekami wciąż osadzonymi w drewnie. Frost uważa, że to rufa, ale nie może być pewna, dopóki nie odkryje reszty statku. Cokolwiek to będzie, jest to bezcenne znalezisko, ponieważ jego kształt powinien dostarczyć wystarczających wskazówek, aby pokazać tempo rozszerzania się kadłuba. Gdy to zostanie poznane i odniesione do całkowitej długości kadłuba (w tym przypadku prawdopodobnie 90 stóp), można będzie dokonać dość trafnych szacunków jego szerokości i krzywych przekroju poprzecznego. Dlatego też, gdy prawdziwy kształt wraku Isola Lunga zostanie ustalony, Frost uważa, że będzie można z dużą pewnością stwierdzić, że był to rzeczywiście… okręt wojenny, zakładając, że jego kadłub będzie długi i smukły. To dowodziłoby, że statek został zaprojektowany z myślą o szybkości — dzięki napędowi wieloma wiosłami. Oprócz oddania jednego z ruf, kadłub Isola Lunga dostarczył kilka fragmentów nadbudówki (kolejna nowość w przypadku klasycznych wraków) oraz dużą liczbę wręg i desek, te ostatnie z dokładnymi połączeniami czopowymi, które pokazują, jak poszycie było trzymane razem. Frost ma nadzieję, że dalsze odkrycia obejmą kilka fragmentów pokładu, więcej desek i — biorąc pod uwagę niezwykłe szczęście — kilka ławek wioślarzy. Jeśli ten konkretny materiał zostanie odnaleziony i spójnie dopasowany, Frost może rozwiązać zagadkę, która dręczy archeologów morskich, odkąd zaczęli się nad nią zastanawiać: Jak wiosłowano na starożytnych okrętach wojennych z więcej niż jednym rzędem wioseł? Jak siedzieli wioślarze? Standardowym okrętem wojennym III wieku p.n.e. była trirema, „trójbankowiec”. W tamtym czasie każda potęga morska miała triremy w swoich flotach. Sporadyczne wizerunki tych jednostek pojawiają się na malowidłach ściennych i freskach. Znaleziono je nawet na ceramice i w rzeźbionych reliefach świątyń. Jednak ich szczegóły, a zwłaszcza ich wewnętrzne mechanizmy, nie są nigdzie jasno zilustrowane. W związku z tym nikt nie wie na pewno, jak wioślarze tych trzech rzędów wioseł byli montowani na statku. Jeśli badania Frost pozwolą jej rzucić nieco światła na „problem triremy”, będzie to wielkie osiągnięcie. Może również być w stanie ustalić ponad wszelką wątpliwość, że statek jest rzeczywiście kartagiński, a nie rzymski, jak podejrzewają niektórzy uczeni. Jej najsilniejszym argumentem w tej sprawie wydaje się być odkrycie serii znaków ciesielskich, najwyraźniej opartych na alfabecie fenickim, namalowanych na niektórych belkach statku. Znaki były łatwo widoczne dla nurków i chociaż od tego czasu wyblakły, zostały skopiowane, gdy były jeszcze świeże, przez eksperta, który je bada. Do tej pory odkryto ponad 100 takich znaków ciesielskich, obejmujących 10 z 22 liter alfabetu fenickiego. Dla Frosta to jednoznacznie wskazuje na kartagińskie pochodzenie statku. Inni nie są tego pewni, ani nie są pewni, czy statek był okrętem wojennym. Historyk marynarki wojennej Lionel Casson zauważa, że balast rzadko był przewożony na okrętach wojennych; czyniłby on okręty wojenne niepotrzebnie ciężkimi i nie byłby potrzebny do zapewnienia stabilności w jednostkach zaprojektowanych z nisko położonym środkiem ciężkości. Podkreśla również, że ołowiane poszycie jest charakterystyczne dla statków towarowych. Ale Frost obstaje przy swoim. Wierzy, że kształt statku to potwierdzi. Jeśli ma rację, tak będzie. Tymczasem Frost argumentuje, że znaki wskazują na jakąś formę masowej produkcji. Wiadomo, że Kartagińczycy często budowali duże floty w bardzo krótkim czasie, aby sprostać politycznym kryzysom. Najszybszym i najrozsądniejszym sposobem na osiągnięcie tego celu byłoby oczywiście zbudowanie statków o standardowych rozmiarach i przechowywanie dużego zapasu prefabrykowanych desek „A”, desek „B”, wręg „C” itd. Możliwe są również spekulacje na temat miejsca budowy statku z Isola Lunga. Poszlakami są kamienie

użyte jako balast oraz materiał podporowy umieszczony pod nimi, aby zapobiec wyżłobieniu drewna w dnie kadłuba. Balast, badany przez geologa, wydaje się składać ze skały wulkanicznej z Pantellerii, wyspy należącej do Kartagińczyków w pobliżu Sycylii. Materiał podporowy okazuje się być niezwykle interesującą mieszanką wiórów drzewnych, łupin orzechów oraz gałązek i liści z tak różnych drzew, jak dąb, klon, pistacje i oliwki – w sumie 10 lub więcej odmian. Jeśli uda się znaleźć miejsce, gdzie wszystkie te rośliny rosną w dużych ilościach i gdzie występuje odpowiednia ilość odpowiedniego kamienia, można logicznie założyć, że statek z Isola Lunga został tam zbudowany i zwodowany.

Rzadkie znalezisko w wodach Sycylii

Jedyny znany relikt statku podejrzewanego o przynależność do kartagińskiego okrętu wojennego jest zakopany w piasku na głębokości 2,5 metra w pobliżu Isola Lunga w zachodniej Sycylii. Zespół archeologów pod kierownictwem angielskiego nurka Honora Frosta pracuje nad wrakowiskiem od czasu jego odkrycia przez pogłębiarki w 1971 roku. W przeciwieństwie do innych starożytnych wraków, wrak nie został zdewastowany; w nadchodzących latach zespół ma nadzieję dowiedzieć się z niego znacznie więcej niż obecnie wiadomo o statkach z wieloma rzędami wioseł. Możliwe również, że uda im się ustalić, gdzie ten statek został po raz pierwszy zwodowany, identyfikując rodzime skały, które stanowiły jego balast, i które nadal leżą wokół niego, a także identyfikując materiał nośny – patyki, liście i gałązki różnego rodzaju zebrane na miejscu wodowania i użyte do ochrony kadłuba przed otarciami od balastu skalnego. Chociaż ustalono już, z jakiego drewna wykonano statek – dębu, klonu i sosny – wiedza ta nie pomaga w ustaleniu miejsca wodowania; drewno prawdopodobnie zostało sprowadzone hurtowo przez szkutnika z innych miejsc. Powodem jest to, że statek ten wydaje się być zupełnie nowy, a jego uszczelnienie nie było jeszcze całkowicie suche w momencie wodowania, a sztauerstwo również było świeże – świeżo zebrana zielona materia. Gdyby statek był stary, możliwość dokładnego określenia jego pochodzenia byłaby znacznie słabsza, ponieważ sztauerstwo jest od czasu do czasu wymieniane i nie sposób byłoby stwierdzić, skąd pochodzi. Jak powstały same statki? Człowiek nie jest istotą morską. W przeciwieństwie do niemal wszystkich innych ssaków, nie pływa naturalnie. Człowiek, który nie nauczył się, jak i kto wpada do wody, prawdopodobnie utonie. A jednak we wszystkich społeczeństwach, które rozwinęły się w pobliżu wody, człowiek nauczył się wypływać na nią w łodziach wszelkiego rodzaju. Najstarsza odkryta dotąd łódź pochodzi z około 6000 r. p.n.e.: pozostałości drewnianej dłubanki wydobytej z bagien w Holandii. Najstarszy znany rysunek łodzi jest znacznie młodszy. Pochodzi z około 3400 r. p.n.e. i jest rysunkiem dość wyrafinowanego egipskiego statku rzecznego z kilkoma wiosłami lub łopatami po każdej stronie. Około 3000 r. p.n.e. zaczynają pojawiać się fragmenty ceramiki z Wysp Egejskich; na nich są odrapane rysunki długiej, niskiej łodzi z wieloma wiosłami. Dość ambitna jednostka, z pewnością mogła przemieszczać się z wyspy na wyspę. Zarówno holenderska dłubanka, jak i obraz śródziemnomorski są ewidentnie produktami długiej ewolucji od bardziej prymitywnych form. Oto jeden z kuszących problemów, które pojawiają się, gdy próbuje się rozwikłać mgliste pochodzenie jednego z ludzkich wynalazków. Pierwszy dowód na to – twardy dowód, który szanujący fakty naukowiec może wskazać kciukiem – to zazwyczaj dość wyrafinowane urządzenie. To, co miało miejsce wcześniej, jest czystym domysłem. Niemniej jednak należy założyć znaczną wcześniejszą historię. Najprostszym pojazdem wodnym jest kłoda. A tratwa jest dość prostym rozwinięciem tego pomysłu. Kilka połączonych ze sobą bali zapewni stabilniejszą i suchszą platformę niż pojedynczy bal – coś, na czym można usiąść, a nie tylko się do niego przywiązać. Wydrążony bal, czyli dłubanka, to o wiele bardziej zaawansowane urządzenie niż tratwa. Podczas gdy ta druga opiera się na swojej natychmiast widocznej wyporności (Pływa! Utrzyma mnie!), dłubanka musi być wykonana w formie naczynia, które wypiera wodę i dzięki tej wyporności utrzymuje się na powierzchni i przenosi przedmioty. Może to być albo bal wydrążony tak cienko i lekko, jak pozwala na to prymitywna technologia, albo wodoszczelna powłoka rozciągnięta na szkielecie z wygiętych gałęzi; zasada jest ta sama. Jest to jednak o wiele bardziej zaawansowana koncepcja niż tratwa. Niemniej

jednak zarówno dłubanka, jak i tratwa mogą ulegać znacznemu rozwojowi. Obie formy wyewoluowały w Morzu Śródziemnym, a wątki tej ewolucji można prześledzić. Historia jest najwyraźniejsza w Egipcie, gdzie dzięki ekstremalnej suchości klimatu zachowała się ogromna liczba malowideł grobowych, papirusów, rzeźb ściennych i rzeczywistych modeli szerokiej gamy łodzi. Nil był źródłem życia Egiptu, jak również jego arterią komunikacyjną, a jego łodzie obrały kurs ewolucyjny najbardziej odpowiedni do warunków rzecznych. Najwcześniejszymi jednostkami pływającymi rzecznymi Egipcjan były tratwy. Występowały w różnych rozmiarach i były wykonane z wiązek trzciny papirusowej, ponieważ brakowało dobrego drewna. Później, gdy pojawiło się zapotrzebowanie na większe i trwalsze jednostki — szczególnie do przemieszczania się w górę i w dół rzeki ciężkich ładunków kamienia budowlanego — Egipcjanie opracowali prawdziwe łodzie, niektóre o znacznych rozmiarach, prawie wszystkie z lokalnego drewna akacjowego. Drewno akacjowe to kiepski materiał. Jest wystarczająco twarde, ale drzewa akacjowe mają tendencję do bycia małymi i krzywymi, a mogą dawać tylko krótkie, wąskie deski. W rezultacie typowa egipska łódź rzeczna, niezależnie od rozmiaru, musiała wyglądać jak pływająca układanka, z mnóstwem małych desek starannie połączonych ze sobą – końce spięte drewnianymi kołkami, a boki połączone kołkami w kształcie klepsydry, co przypominało konstrukcję na jaskółczy ogon szuflady biurka. Ta metoda budowy, choć pomysłowa, jest niezwykle kapryśna i z natury słaba – nadaje się do chronionych wód rzecznych, ale nie do wypływania na morze. Co ciekawe, gdy Egipcjanie zabierali się za eksplorację wzburzonych wód, musieli wzmocnić swoje łodzie. Jednym z problemów, z którym musieli się zmierzyć, było „zagięcie" – tendencja długiego, wystającego dziobu lub rufy do opadania. Fale oceaniczne wykorzystywały tę słabość, nawet do tego stopnia, że złamały rufę statku i posłały go na dno. Ponieważ egipskie statki rzeczne miały długie, podniesione dzioby, ułatwiające podchodzenie do brzegów, problem ten był poważny. Rozwiązano go w niezwykle sprytny sposób, co wyraźnie widać na licznych egipskich rzeźbach ściennych. Do dziobu i rufy przymocowano ciężką, wielożyłową linę; pomiędzy nimi przechodziła ona przez kilka przypominających kule słupów, które wystawały na dwa lub trzy metry nad pokład. Przekładając pręt przez pasma liny i skręcając go, kapitan statku mógł naciągnąć linę jak opaskę uciskową i podtrzymać dziób i rufę w dowolnym miejscu. Ta opaska uciskowa, znana jako kratownica, zwiększała również ogólną sztywność kadłuba. Jest pewne, że nadbrzeżni Kananejczycy, których Egipcjanie zaczęli odwiedzać już na początku… Już 3000 r. p.n.e., aby zdobyć drewno, Kananejczycy mieli liczne okazje do swobodnego oglądania egipskich statków o konstrukcji kratowej i dostrzeżenia wszelkich użytecznych udoskonaleń w konstrukcji kadłuba lub olinowania, jakie wymyślili przybysze. Nie mamy żadnych dowodów na to, że Kananejczycy rozwinęli w tym wczesnym okresie własne zdolności żeglarskie. Jednak bliskość morza sprawia, że jest to prawdopodobne. Jeśli tak, to najprawdopodobniej nie kopiowali egipskich modeli, ponieważ mieli również styczność z inną, lepszą metodą budowy statków. W czasie, gdy Egipcjanie docierali do Byblos w swoich łatanych statkach o konstrukcji kratowej, inne ludy – Minojczycy i Grecy mykeńscy – przybywali do Byblos z północnego zachodu długimi, wąskimi i lepiej wykonanymi statkami, które były zasadniczo dużymi czółnami z bali, których burty były wzmocnione w celu zwiększenia pojemności. Wraz z rozwojem tego typu łodzi, bal bali – pierwotnie stanowiący podstawową łódź – został zmniejszony pod względem rozmiaru i funkcji do długiego, sztywnego kilu, do którego przymocowywano wzmocnione burty statku. Mieszkańcy miejsca takiego jak Byblos bardzo wcześnie zetknęli się z dwiema zasadniczo odmiennymi koncepcjami budowy statków. Egipcjanie najpierw budowali kadłub z wielu małych elementów, a później dodawali żebra i poprzeczki – a prawdopodobnie także element wzmacniający wzdłuż dna. Mieszkańcy północy najpierw kładli ten element wzmacniający – stępkę – i do niej mocowali poszycie. Ta druga metoda budowy statków jest o wiele lepsza od egipskiej i była stosowana aż do czasów współczesnych. Umożliwiła ją oczywiście dostępność dużych drzew, których brakowało w Egipcie. Ponieważ nadbrzeżni Kananejczycy mieli pod dostatkiem doskonałego drewna na mocne stępki, niezbędne statkom morskim, jest niezwykle logiczne, że podążali za tradycją egejską, a nie egipską. Logiczne to może i jest, ale przy obecnym stanie wiedzy nie

można tego potwierdzić z całą pewnością. Wczesne dziedzictwo egejskie jest o wiele skąpsze niż egipskie. Z około 3000 r. p.n.e. nie przetrwało nic poza tymi tajemniczymi, drobnymi rysunkami na potłuczonych kawałkach ceramiki, a są one wykonane tak prymitywnie. że nie da się niczego powiedzieć o statkach, które przedstawiają, poza tym, że miały wiosła i niezwykle wysokie stery dziobowe jako dzioby. A może rufy? Eksperci nie są do końca pewni, choć podejrzewają, że to dzioby, ponieważ niektóre mają galiony dziobowe w kształcie ryb skierowane do przodu. Lepiej udokumentowane statki z późniejszych okresów zazwyczaj miały rzeźbione przedmioty różnego rodzaju na dziobach: ptaki, ryby, głowy zwierząt. Wiele miało duże oczy namalowane po obu stronach dziobu. Celem wszystkich tych ozdób było pomaganie statkowi w śledzeniu kursu lub przyspieszaniu jego podróży. Dopiero około 2000 r. p.n.e. zaczęły pojawiać się wizerunki statków z całą pewnością znanych jako minojskie. Potem, dość nagle, było ich całkiem sporo. Minojczycy byli znakomitymi garncarzami, a wiele ich dzbanów i waz zdobiły malowidła statków. Wyrzeźbili również ogromną liczbę małych, osobistych pieczęci. Były to „podpisy", czyli emblematy identyfikacyjne poszczególnych mężczyzn, powszechnie używane do podpisywania glinianych tabliczek. Pieczęcie minojskie, rzadko dłuższe niż cal lub dwa, były kunsztownie rzeźbione w bardzo twardym kamieniu. Wiele z nich można nawet dziś odczytać z wyraźnych odcisków. Pieczęcie przedstawiające statki przedstawiają jednostkę charakterystycznego typu. Miała ona zaokrąglony kadłub, wywinięty na obu końcach dla zapewnienia żeglugi. Miała maszt na śródokręciu i liny z jakiegoś materiału do podnoszenia i trymowania żagla. Statki tego typu miały w kolejnych stuleciach krążyć po Morzu Śródziemnym. Stanowią one najbardziej logiczny wzór, jaki mógł naśladować protofenicki handlarz morski. W rzeczywistości pierwszy znany obraz fenickiego statku , wyrzeźbiony na ścianie asyryjskiego pałacu około 700 r. p.n.e., wykazuje bliskie podobieństwo do minojskich wzorów, które były około tysiąc lat starsze. Podsumowując ten niewątpliwie fragmentaryczny zbiór dowodów: najbardziej prawdopodobnym prototypem fenickiego statku była jednostka o zaokrąglonym kadłubie i mocnym kilu, pochodzącym z egejskich modeli. Około 2000 r. p.n.e., a może nawet wcześniej, przodkowie Fenicjan w Libanie wykorzystywali go do lokalnego użytku przybrzeżnego. Z pewnością był on w powszechnym użyciu około 1500 r. p.n.e. Napędzano go żaglami lub wiosłami, lub jednym i drugim — pierwsze było głównym środkiem napędowym dla statków towarowych, drugie dla okrętów wojennych. Skąd wzięły się wiosła i żagle? To kolejne bardzo trudne i kuszące pytanie. Wiosło z pewnością poprzedzało wiosło, a wiosłowanie jest prawdopodobnie tak stare, jak same łodzie. Pierwsi ludzie, którzy używali tratw z bali do przeprawiania się przez jeziora lub rzeki, niewątpliwie dość szybko nauczyli się, że mogą je lepiej napędzać szerokimi, spłaszczonymi kijami niż rękami. Już bardzo wcześnie – jak pokazują malowidła ścienne i rzeczywiste modele – Egipcjanie używali ładnie wyprofilowanych wioseł z szerokimi piórami. Z czasem jakiś geniusz wynalazł wiosło. Nie wydaje się to być szczególnie doniosłym odkryciem, ale nim było. Wiosło ma o wiele większą moc od wiosła, ponieważ wioślarz używa punktu podparcia – dulki, pętli liny, sworznia lub po prostu otworu w burcie łodzi – jako podpory, na której skutecznie opiera swoją siłę, ciągnąc za jeden koniec wiosła, podczas gdy drugi zanurza się w wodzie. Wioślarz nie musi podnosić ciężaru wiosła przy każdym pociągnięciu, jak robi to wioślarz: wiosło jest podparte na burcie łodzi. Dlatego wiosło może być znacznie dłuższe i cięższe niż wiosło – z wieloma zaletami. Najbardziej oczywistą jest to, że wiosło może być używane w większej łodzi z wyższej pozycji nad wodą. Wioślarz siedzący w takiej pozycji musiałby mieć tak długie i ciężkie wiosło, aby sięgnąć do wody, że szybko by się wyczerpał samym wysiłkiem podnoszenia go do kolejnych pociągnięć. Wiosła są przydatne tylko w długich, wąskich łodziach, gdzie użytkownik może siedzieć blisko wody i blisko krawędzi łodzi, tak jak w kanu. W przypadku wszystkiego, co jest znacznie wyższe lub szersze, wiosła są lepsze. Co więcej, dwóch mężczyzn nie może obsługiwać jednego wiosła, ale mogą siedzieć obok siebie na siedzisku i ciągnąć jedno z nich z pozycji dość daleko od burty łodzi. Ma to istotne implikacje dla wielokrotnego użycia wioseł na okrętach wojennych. Egipcjanie używali wioseł od niepamiętnych czasów w swoich tratwach z trzciny i małych łodziach rzecznych. Około 3000 r. p.n.e. przeszli na wiosła w swoich większych

jednostkach. Ale w tym czasie statki egejskie również były napędzane wiosłami. Jeden mógł się uczyć od drugiego, a udoskonalenie mogło nastąpić niezależnie w obu miejscach. Tak czy inaczej, wiosło, jako znane i zaawansowane urządzenie dla statków morskich, było powszechnie znane, gdy przodkowie Fenicjan zaczęli wypływać w morze. Wynalezienie żagla, podobnie jak wiosła, było przełomowe. Zapewniło człowiekowi źródło energii o wiele silniejsze i trwalsze niż jego własne mięśnie i przekształciło szlaki wodne świata z barier w autostrady. Podobnie jak same łodzie, żagle prawdopodobnie powstały najpierw w stosunkowo bezpiecznych granicach jezior i rzek: Nilu, Tygrysu i Eufratu, wielkich rzek Indii i Chin. Łodzie żaglowe pojawiły się we wszystkich tych miejscach, każde z indywidualnym stylem, który przetrwał przez wieki. Ale wszędzie prymitywny żagiel był zasadniczo taki sam. Był to najprostszy rodzaj urządzenia, jaki można sobie wyobrazić, odzwierciedlający rodzącą się w człowieku świadomość, że jeśli powiesi kawałek materiału lub matę w miejscu, gdzie wiatr mógłby go porwać, zostanie porwany. Do tego celu potrzebował masztu (bomu) do podtrzymywania żagla i rei (bomu lub rei), aby go rozłożyć i napełnić wiatrem. Te potrzeby doprowadziły do powstania pojedynczego kwadratowego żagla, niemal identycznego z tym, który chłopcy wciąż zakładają na łódki-zabawki wystrugane z gontów. Łodzie z gontów mają maszty uniesione blisko dziobu, ponieważ są zaprojektowane tak, aby płynąć z wiatrem i płynąć najprościej z masztem w takim położeniu. Najwcześniejsze łodzie rzeczne prawdopodobnie robiły to samo. Najstarszy znany rysunek żaglówki – ponownie egipskiej, datowany na około 2900 r. p.n.e. – przedstawia maszt i żagiel uniesione blisko dziobu. Egipcjanie mogli być pierwszymi ludźmi, którzy kiedykolwiek używali żagli. Byli niezwykle pomysłowi, a specyficzne warunki Nilu mogły ich kusić w tym kierunku z niemal przytłaczającą siłą perswazji. Nil leży w kierunku północ-południe. Prąd płynie stale na północ, a wiatr wieje równie stale na południe. Oznaczało to, że łódź z żaglem mogła być unoszona pod prąd bez żadnego wysiłku poza samym sterowaniem. Wracając z prądem, sternik mógł opuścić żagiel i płynąć z prądem. Wiosła mogły być używane na różne sposoby, aby zwiększyć prędkość lub poprawić sterowność. Wczesne egipskie maszty były wysokie i często były „dwójnogami" — tj. podwójnymi masztami biegnącymi w górę od burt łodzi i schodzącymi się na górze. Powodem takiej konstrukcji wydaje się być to, że tratwy trzcinowe były zbyt wątłe, aby utrzymać cały ciężar pojedynczego masztu w jednym miejscu na środku łodzi; dwójnóg lepiej rozkładał ciężar. Warunki na otwartym morzu są zupełnie inne niż przewidywalne, osłonięte warunki na Nilu. Morze jest często wyjątkowo wzburzone. Prądy są zmienne, często zależne od kierunku wiatru. Same wiatry zmieniają się w zależności od pory roku, a nawet dni lub godzin. Czasami w ogóle nie wieją. To właśnie te warunki stworzyły użyteczne małe statki pokazane na minojskich pieczęciach, statki, które — zdaniem wielu ekspertów, opinię, którą podzielam — były przodkami statków handlowych Fenicjan. Różnice w konstrukcji między nimi a statkami egipskimi wyraźnie odzwierciedlają różnice w warunkach, w jakich działały. Fenicki statek towarowy prawdopodobnie miał od 9 do 24 metrów długości. Chociaż mógł mieć wiosła do wpływania i wypływania z zatłoczonych kotwicowisk oraz do poruszania się w czasie ciszy i pod wiatr, jego głównym napędem był żagiel, którego konstrukcja stanowiła znaczny postęp w porównaniu z wysokim, wczesnoegipskim masztem. Fenicki maszt był krótki, prawdopodobnie osadzony w stopniu lub szczelinie masztu w dnie statku. Ponieważ kadłub fenicki miał bardzo mocny kręgosłup w postaci ciężkiej drewnianej belki, która służyła za kil, dolna część masztu mogła spoczywać w stopniu, bez ryzyka przebicia przez dno kadłuba. Krótki maszt zapewniał dobrą stabilność kadłuba podczas szkwałów i wichur oraz zmniejszał naprężenia w powietrzu. Nawet krótki maszt będzie sprawiał problemy, jeśli nie będzie mocno osadzony w stopniu i nie będzie mocno utrzymywany w górze przez sztagi. To sprawia, że opuszczanie masztu jest uciążliwe. Choć można było to robić na starożytnych statkach, zwłaszcza na okrętach wojennych, prawdopodobnie rzadko stosowano to na statkach towarowych – co postawiło Fenicjan przed problemem, jak skrócić żagiel. Nie mogli go po prostu spuścić. Drewniany bom, czyli reja, na której wisiał, był ciężki; wciągnięcie go na maszt wymagało ogromnego wysiłku. Po podniesieniu, żaden rozsądny kapitan statku nie spuściłby rei, chyba że

musiałby, zwłaszcza że w starożytności nie znano bloków z obrotowymi krążkami, a liny były grube, nierówno wykonane i zawodne. Bez odpowiednich bloków nawet współczesna lina szybko się przeciera. Częste podnoszenie i opuszczanie ciężkiej rei w mgnieniu oka zużyłoby podrzędne fały do podnoszenia z przeszłości. Tak więc, po podniesieniu reja pozostawała na swoim miejscu, a problem pozostał: jak zwinąć żagiel kwadratowy bez jego opuszczania? Fenicjanie, lub któryś z greckich lub minojskich poprzedników, rozwiązali ten problem bardzo zgrabnie. Przymocowywali liny, zwane brailami, do dolnej krawędzi żagla, pół tuzina lub więcej z nich, i prowadzili je pionowo w górę przedniej strony żagla, mocując je w odstępach do płótna żaglowego. Brailami kładziono następnie na górze żagla i w dół do pokładu. Członkowie załogi stojący na pokładzie i naciągając braile mogli naciągać żagiel jak żaluzję wenecką, marszcząc go w luźne fałdy przy dolnej rei. Kolejnym podstawowym ulepszeniem wprowadzonym do fenickiego statku handlowego było lepsze ustawienie masztu. Prosty statek rzeczny płynący przed wiatrem w górę Nilu mógł płynąć prosto pod prąd z masztem z przodu. Ale dla statku morskiego, który miał poruszać się w wielu kierunkach przy różnych warunkach wiatrowych, Fenicjanie potrzebowali czegoś bardziej wszechstronnego. Z masztem na śródokręciu i linami zwanymi klamrami, biegnącymi od najdalszych krańców rei aż do pokładu, możliwe było obrócenie rei tak, aby żagiel – zamiast leżeć pod kątem prostym do kierunku statku – mógł być ustawiony niemal równolegle do niego. Ta innowacja pozwalała statkowi wykorzystywać wiatry wiejące z boku i nadal szybko toczyć się w kierunku wybranym przez kapitana, zamiast korzystać tylko z wiatrów wiejących bezpośrednio z rufy. Ponieważ Fenicjanie odbywali znaczną część podróży po Morzu Śródziemnym w kierunku wschodnio-zachodnim, oznaczało to, że wiatry, które często wieją tam z północy i południa – i dotychczas przez większość czasu bezużyteczne – mogły teraz być wykorzystywane do żeglugi w obu kierunkach praktycznie przez cały czas. W miarę jak kupcy coraz lepiej poznawali układy wiatrów na swoim wielkim morzu śródlądowym, z pewnością wykorzystywali je sezonowo, trzymając się jednego wybrzeża w drodze na zachód, aby skorzystać z wiatrów, które wieją tam sprzyjająco wiosną, ale o innym kierunku i z innymi wiatrami latem i jesienią. Na przykład wzdłuż wybrzeża Afryki przeważają wiatry wschodnie od maja do października i zachodnie od października do maja. Ale żaden fenicki statek nie mógł „płynąć pod wiatr" – to znaczy żeglować pod kątem większym niż prosty do wiatru, zygzakiem tam i z powrotem, za każdym razem zyskując trochę i stopniowo kierując się pod wiatr. Jeśli kurs kupca wiódł prosto w oko wiatru, nie pozostawało nic innego, jak zwinąć żagiel, zacisnąć zęby i zacząć wiosłować – albo czekać na zmianę wiatru. Sterowanie fenickim przybrzeżnym kupcem nie stanowiło większego problemu, chociaż prawdziwy ster – taki, który wisiał na rufie na śródokręciu – został wynaleziony dopiero za kilka tysięcy lat. Wszystkie starożytne żaglowce były sterowane za pomocą wioseł sterowych, zwisających z obu burt statku w pobliżu rufy. Warunki życia na pokładzie fenickich kupców pozostają tajemnicą. Nie zachowały się żadne rysunki, modele ani rzeźby przedstawiające wnętrza jakichkolwiek starożytnych jednostek, z wyjątkiem niektórych wyspecjalizowanych egipskich statków rzecznych. Nie wiemy również, jak liczna była załoga statku – czy jej członkowie składali się z dwóch osób. jako obsługa żagli, bosmani, takielarze, ładowacze i rozładowcy, gdy statek był wyciągany na brzeg w celach handlowych — życie na pokładzie można jedynie domniemywać. Gdzieś na statku mogła znajdować się platforma z piaszczystym dnem, na której można było rozpalić ognisko do gotowania. W przeciwnym razie prawdopodobnie nie było żadnych udogodnień, ponieważ kupcy tamtych czasów woleli podróżować tylko w ciągu dnia. W nocy wyciągali swoje łodzie na brzeg i schodzili na ląd. Jeśli padał deszcz, prawdopodobnie wracali na pokład i rozkładali się na ławkach wioślarskich pod pokładem lub próbowali znaleźć wygodne miejsca w ładunku. Można założyć, że pokład z lukami umożliwiającymi dostęp do spodu był niezbędny. Ma on wiele zalet: wzmacnia kadłub i chroni ładunek, który mógłby zostać uszkodzony przez deszcz lub słoną bryzę; chroni przed natychmiastowym zalaniem, gdyby na pokład wdarła się ogromna fala; i stanowi platformę dla ładunku, czy to bydła, czy drewna, która nie ucierpiałaby z powodu zamoczenia. Tyle o fenickich statkach handlowych, dyskretnych, ale wytrwałych koniach roboczych Śródziemnomorski, pojawiający

się wszędzie tam, gdzie trzeba było załatwić interesy – szeroki, zaokrąglony, wytrzymały, wydajny i znany w slangu portowym każdego portu, do którego wpływał, jako „wanny”. Jakże inny był okręt wojenny. Pierwotnie wszystkie pełnomorskie okręty greckiego i minojskiego typu były prawdopodobnie dość podobne. Wojna morska nie rozwinęła się jeszcze jako specjalny sposób walki, dlatego dowódcy nie potrzebowali specjalnie zaprojektowanych jednostek bojowych. Używali okrętów głównie jako transportowców wojsk i zaopatrzenia. Nieuchronnie jednak pojawili się sprytni taktycy, którzy zaczęli zdawać sobie sprawę, że łatwiej jest zniszczyć wrogie wojska na morzu, topiąc je, niż zabić w walce wręcz na plaży. Gdzieś po drodze zaczęły ewoluować jednostki przeznaczone do walki z innymi jednostkami. Okręt bojowy musiał być szybki i zwrotny, zdolny do przewozu dużej liczby żołnierzy. Musiał zapewniać im miejsca do stania i z których mogli strzelać z łuku, władać pikami lub – w mgnieniu oka – przeskakiwać za burtę i brodzić prosto w wodę. do bitwy, jeśli toczyła się ona na plaży, lub, jeśli na morzu, wdarli się na pokład wrogiego okrętu i zaatakowali go na jego własnym pokładzie. Okręt, który powstał w wyniku tych potrzeb, był długi, niski i wąski, napędzany wiosłami. Miał żagiel używany tylko do przemieszczania się z miejsca na miejsce, nigdy w walce. Wiatry były zbyt kapryśne, a latem czasami zupełnie nieobecne. Sprytni dowódcy zostawiali więc maszty i żagle na lądzie przed wielkimi bitwami morskimi, aby nie zagracać pokładów podczas walki. W rezultacie większość wielkich bitew morskich czasów klasycznych toczyła się bardzo blisko brzegu, czasami w wąskich zatokach lub portach, czasami zaledwie milę lub dwie od brzegu. Często odbywały się one pod okiem ludzi, których życie zależało od wyniku. Tłumy Greków i Persów stały na różnych urwiskach i przylądkach otaczających Cieśninę Salamińską, aby obserwować, jak grecka flota spotyka się i niszczy większą flotę perską. Wśród Persów był ich monarcha, Kserkses, który siedział na Tron, który został przeniesiony tysiąc mil z Persepolis właśnie w tym celu. Zdecydowanie najlepiej po jego stronie walczyła eskadra fenickich okrętów najemnych. Kiedy ostatecznie zostali pokonani wraz z innymi, a perskie nadzieje na podbój Grecji zatopione wraz z resztkami floty Kserksesa, Kserkses wezwał fenickich kapitanów i według legendy kazał ich wszystkich zamordować. Bitwa pod Salaminą rozegrała się w 480 r. p.n.e. Do tego czasu zarówno greckie, jak i fenickie galery wojenne rozwinęły się w wysoce wyspecjalizowane i zadziwiająco podobne machiny wojenne, co stanowiło ukoronowanie prawie dwóch tysięcy lat rozwoju. Galera wojenna to zasadniczo długa łódź wiosłowa: długa, aby pomieścić dużą załogę wioślarzy i umożliwić jej szybkie poruszanie się; wąska, aby była jak najlżejsza, a także aby płynnie i łatwo ślizgała się po wodzie. Jednak wąskość stwarza poważny problem, który najlepiej ilustruje pobieżne spojrzenie na współczesną ośmiowiosłową łódź wyścigową. Skorupa regatowa jest wąska jak igła, ledwo na tyle szeroka, by pomieścić biodra wioślarzy, którzy siedzą jeden za drugim. Jeśli dulka (punkt podparcia, na którym opiera się wiosło) skorupy regatowej jest umieszczona na relingu, czyli krawędzi łodzi, wioślarz będzie musiał użyć albo absurdalnie krótkiego i nieefektywnego wiosła, albo takiego o rozsądnej długości, ale z rączką tak blisko punktu podparcia, że nie będzie mógł wywrzeć wystarczającej dźwigni, aby je pociągnąć. Rozwiązaniem jest oczywiście nie obracanie wiosła na relingu, ale na wysięgniku wystającym około trzech stóp (ok. 90 cm) z burty łodzi. W ten sposób wioślarz uzyskuje całą potrzebną dźwignię, by pociągnąć wiosło, które może być dwa razy dłuższe od niego samego. Według wstępnej rekonstrukcji zaproponowanej przez archeologa morskiego Bjorna Landstroma, wczesne galery używane na Morzu Egejskim, datowane na około 3000 r. p.n.e., były dużymi dłubankami wykonanymi z pni drzew, z wysięgnikami nachylonymi od każdej burty i biegnącymi wzdłuż łodzi. Wiosła, być może kilkanaście na burtę, spoczywały na wysięgnikach, dając wioślarzom dużą dźwignię pociągową. Po dodaniu małych platform lub pokładów na dziobie i rufie, aby pomieścić walczących mężczyzn i sterników, ta interpretacja daje kadłub, który musiał mieć około 65 stóp długości i cztery stopy szerokości, nie licząc wysięgników — wystarczająco lekki i smukły, aby być napędzanym dość szybko przez dwóch tuzinów wioślarzy. Większa, potężniejsza dłubanka z, powiedzmy, 50 wioślarzami mogła dogonić i zniszczyć statek z 24 wiosłami, gdyby udało jej się go złapać na pełnym morzu. Problem tkwił w złapaniu. Statek o 50 wiosłach byłby z konieczności prawie

dwukrotnie dłuższy, a zatem jego promień skrętu byłby znacznie większy. Jego zwinniejszy przeciwnik, zawsze zdolny do wykonywania ciaśniejszych zwrotów, prawdopodobnie mógłby niemal bez końca trzymać się z dala od dużego okrętu, całkowicie wyczerpując wioślarzy cięższego, ścigającego go statku. W prawdziwej walce, oczywiście, takie proste starcia zdarzały się rzadko. Jak wspomniano wcześniej, bitwy morskie często toczyły się tam, gdzie manewrowość była ograniczona, a w starciach prawie zawsze brały udział floty o znacznej liczebności: dziesiątki, a czasem dziesiątki, a nawet setki okrętów po jednej stronie. Flota dużych galer zbliżających się do siebie mogła okrążyć mniejsze, chyba że te mniejsze miały własne, duże galery do obrony. Wojna morska, pomimo względnej prostoty starożytnych okrętów, sama w sobie nigdy nie była prosta. Flota musiała posiadać jednostki różnego typu, aby odnieść sukces w bitwie. Manewry i strategia były równie skomplikowane, jak dzisiaj. Lepsza flota to, niemal z definicji, ta z lepszymi wioślarzami. To było takie proste, dlatego niewolnicy nie byli wykorzystywani w okrętach wojennych; ich niezawodność była zbyt niepewna. Galera wojenna musiała mieć wysoce wyszkolonych, patriotycznych obywateli, gotowych do poświęceń. Jeśli umiejętności wioślarzy czyniły okręt szybszym i bardziej zwrotnym niż okręt wroga, wróg był skazany na zagładę. Prędzej czy później szybszy statek doprowadzał przeciwnika do pozycji, w której nie mógł uniknąć uderzenia burtą lub nieosłoniętą rufą ostrym dziobem, który wystawał z dziobu każdego okrętu tuż pod linią wodną. Niektórzy autorzy przypisują Fenicjanom wynalezienie tarana, który najwyraźniej został wynaleziony około 1000 r. p.n.e., mniej więcej w czasie, gdy wschodnie porty stawały się samodzielnymi potęgami handlowymi i budowały swoje floty wojenne. Jeśli Fenicjanie nie wynaleźli tarana, szybko go przyjęli; był to bowiem rewolucyjny wynalazek, który miał wpłynąć na strategię morską przez stulecia. Uderzenie taranem i umiejętne wycofanie się wioślarzy ubijaka pozostawiłyby drugi statek w bezbronnej sytuacji z ogromną dziurą w burcie. Ubijak mógł wtedy odpłynąć w poszukiwaniu innego wrogiego statku lub pozostać dość blisko, podczas gdy jego łucznicy metodycznie wystrzeliwali wrogich żołnierzy i wioślarzy walczących w wodzie.

Fenicki statek towarowy

Fenickie statki handlowe występowały w różnych rozmiarach, ale wszystkie budowano bardzo podobnie do przedstawionego tutaj wzoru: cylindryczne jednostki, około trzy lub cztery razy dłuższe niż szersze, z wysokimi dziobami i rufami. Ich poszycie było całkowicie pokryte smołą (niewidoczną na zdjęciu), aby były wodoszczelne, co wyjaśnia określenie Homera na nie: „czarne statki". Każdy miał pojedynczy maszt, umieszczony mniej więcej na śródokręciu, z jednym kwadratowym żaglem zawieszonym na długim drewnianym maszcie, czyli rei, i sterowanym dwiema linami – klamrami – biegnącymi od końca rei do pokładu. Pozostałe siedem lin – brails – biegnących w dół od rei służyło do zwijania żagla . Żagiel był trymowany linami przymocowanymi do jego dolnych rogów. Sterowanie odbywało się za pomocą dwóch wioseł, którymi sterował jeden sternik. Stał on między nimi i obracał pióra wioseł w wodzie, popychając lub ciągnąc dwa krótkie, poziome stery. Ponieważ prędkość była tak decydująca, a jedynym sposobem na osiągnięcie prędkości na galerach były ludzkie mięśnie, starożytne okręty wojenne zaczęły rosnąć, aby pomieścić większą moc. Ale wzrost niesie ze sobą karę. Długie, cienkie statki obracają się powoli i, jeśli są zbyt długie i cienkie, stają się śmiertelnie kruche na śródokręciu; nie są w stanie wytrzymać wstrząsów spowodowanych uderzeniami lub taranowaniem. Co zatem zrobić, aby pomieścić więcej wioślarzy, a jednocześnie utrzymać statek w miarę krótkim? Jednym z rozwiązań jest obsadzenie kilku ludzi na tym samym wiosle i danie im większego wiosła do ciągnięcia. Ale aby to zrobić, statek musi być szerszy, tak aby na każdej ławce było miejsce dla czterech lub pięciu ludzi siedzących obok siebie. To nie jest zbyt dobre rozwiązanie. Po pierwsze, szeroki statek ma tendencję do bycia ciężkim i ociężałym. Po drugie, ponieważ wiosło wchodzi do łodzi pod kątem, im dłuższe jest wiosło, tym wyżej nad ławeczką wioślarzy będzie się znajdowało swoim wewnętrznym końcem – być może zbyt wysoko, by wioślarz z najgłębszej pozycji mógł je pociągnąć, chyba że wstanie na początku każdego pociągnięcia i usiądzie ponownie na końcu. Ponieważ wioślarstwo, a zwłaszcza

wioślarstwo bojowe, jest wyczerpujące samo w sobie, całe to dodatkowe siedzenie i stanie zmęczy załogę jeszcze szybciej. Lepszym rozwiązaniem są dwa rzędy wioseł, jeden nad drugim. Fenicjanie mogli mieć swój udział w rozwoju dwurzędowego statku, czyli biremy. Statki pokazane na asyryjskiej rzeźbie ściennej w Niniwie mają dwa rzędy. Jednak malowidła biremy zaczynają pojawiać się również na greckich wazach z mniej więcej tego samego okresu. Historyk marynarki wojennej Lionel Casson twierdzi, że na podstawie dostępnych dowodów nie sposób ustalić, który z nich był wynalazcą. „Którykolwiek to był" – kontynuuje Casson – „drugi szybko poszedł w jego ślady". Podobnie jak taran, był to oszałamiający wynalazek i, jak wszystkie prawdziwie oryginalne pomysły, bardzo prosty. Miło byłoby wyobrazić sobie jakiegoś zapomnianego geniusza siadającego przy desce kreślarskiej i mówiącego: „Pozwól mi zobaczyć; mamy statki z dwunastoma wiosłami na burtę".

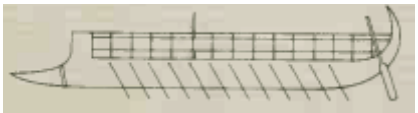

„Zlecono mi zaprojektowanie statku z 24 wiosłami na burtę. Jeśli zaprojektuję go po staremu, statek będzie wyglądał tak:

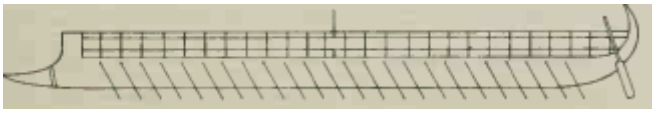

„To jest zdecydowanie za długie i nieporęczne. Ale załóżmy, że podniosę mój statek i dobuduję kolejny rząd ławek nad pierwszym. Wtedy będę mógł rozmieścić wiosła w ten sposób:

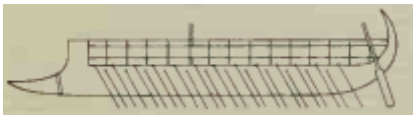

„To wszystko. Podwoiłem siłę wiosłowania, a statek jest niewiele dłuższy od oryginału". Niestety, prawdopodobnie tak się nie stało. Nie wiadomo, jak i kiedy ten górny szereg wioślarzy stał się stałym elementem galery bojowej i przekształcił ją w biremę. Niektóre greckie malowidła wazowe z tego okresu przedstawiają dwa rzędy wioślarzy przy pracy, inne tylko jednego. Ale na tych, które pokazują tylko jednego, często wiosłuje górny szereg. Puste otwory na dolne wiosła i kołki do ich mocowania są starannie narysowane. Eksperci dochodzą do wniosku, że podczas rejsu dolna pozycja nie powinna być używana. To ma sens. Z punktu widzenia wioślarza dolne szeregi tych starych galer znajdowały się niewygodnie blisko wody. Oczyszczenie wiosła po pociągnięciu musiało być trudnym zadaniem na wzburzonym morzu, szczególnie w wąskim kadłubie, który mocno się kołysał i zanurzał naprzemiennie. Połów krabów (niemożność wyciągnięcia wiosła z wody na czas, aby… „dotrzymać kroku innym wioślarzom") byłoby powszechne – ze wszystkimi siniakami na żebrach i miażdżonymi kostkami, które się z tym wiązały, nie wspominając o zaburzonym rytmie uderzeń. Dlatego przy złej pogodzie i gdy nie było to absolutnie konieczne ze względu na walkę, najniższy brzeg na statku wielobrzegowym prawdopodobnie nie był używany. W walce jednak niższy brzeg był prawdopodobnie preferowany podczas walki w zwarciu: chronił wioślarzy i pozostawiał górny pokład wolny dla żołnierzy. Od tego momentu był tylko krok do wykorzystania obu brzegów i do konstrukcji statków, która to umożliwiała. Na spokojnej wodzie i podczas bitwy, birema stanowiła ogromne ulepszenie. Niewiele dłuższa od statku jednobrzegowego, miała prawie dwukrotnie większą siłę. Z czasem Fenicjanie i Grecy opracowali okręty trójbrzegowe – zwane triremami – które stały się standardowymi dużymi okrętami wojennymi ich flot. Około 500 r. p.n.e. były powszechne na Morzu Śródziemnym. Po udoskonaleniu triremy, starożytna flota wojenna była potężną bronią. Kartagińczycy stali się znakomitymi wojownikami morskimi. Byli mistrzami manewrów ataku z pełną prędkością, w linii, naprzeciwko siebie. Przepływali

przez wrogie okręty, szybko zawracali i atakowali je od tyłu. Jeśli wróg zwarł się, aby temu zapobiec, Kartagińczycy wykonywali natarcia i ponownie atakowali od tyłu, atakując statki tak ciasno zbite, że wchodziły sobie nawzajem w drogę. Dopracowali również technikę niemal czołowych zderzeń, prześlizgując się obok wroga tak blisko, że kadłub kartagińskiego okrętu odrywał wiosła po jednej stronie wrogiego okrętu, pozostawiając go bezbronnym. Zamieszanie w trakcie poważnej bitwy morskiej toczonej między dwiema dużymi, równorzędnymi flotami musiało być przytłaczające: taki zgrzyt wytężonej pracy ludzi i łomot wioseł, statki poruszające się w zwolnionym tempie, chrzęst i trzask łamanego drewna, krzyki i przekleństwa, abordaże, dźganie pikami, serie strzał, Wywrotki, zatopienia, utonięcia i półutonięcia, mężczyźni czepiający się unoszących się wraków, niektórzy ukrywający się w nich i udający martwych, inni płynący do brzegu, który, jeśli należał do wroga, mógł zaoferować jedynie niewolę. Fenicjanie dobrze znali ten świat i żyli w nim przez setki lat. Niewątpliwie walczyli z nadmorskimi sąsiadami, walczyli z morskimi najeźdźcami z Morza Egejskiego, z niezliczonymi pokoleniami piratów, a po około 700 r. p.n.e. coraz częściej z Grekami. Ci ostatni czuli się na wodzie równie swobodnie jak Fenicjanie – byli równie wytrwali, przedsiębiorczy, zdeterminowani, dobrzy w budowie okrętów i żeglarze. Ich cele były jednak nieco inne. Grecy chcieli zakładać kolonie, aby złagodzić niedobory ziemi i przeludnienie w kraju; Fenicjanie pragnęli twierdz handlowych i rynków zbytu. Cele, choć różne, zaprowadziły oba narody w to samo miejsce i nieuchronnie do setek lat huśtawki nastrojów. Byli oni fatalnie dopasowani, szczególnie pod względem technologii swoich okrętów. Fenicjanin od razu czułby się jak w domu na greckim okręcie i vice versa. W rzeczywistości, jedną z korzyści wynikających ze zwycięstwa na morzu były okręty zdobyte na wrogu. Były one holowane lub odwożone do domu z załogami zdobyczy, przebudowywane i włączane do flot zwycięzców. W związku z tym, praktycznie niemożliwe było, aby jedna ze stron uzyskała jakikolwiek znaczący postęp technologiczny w porównaniu z drugą. Gdyby Grecy lub Fenicjanie zdołali uzyskać taką przewagę, konflikt nie trwałby tak długo.

Wielka Wojna z Grekami

Do 500 r. p.n.e. Fenicjanie znaleźli się pod stosunkowo łagodnym parasolem Persji, która zastąpiła dawnych fenickich wrogów – Asyrię i Babilon. Jedynym cieniem na horyzoncie była rosnąca agresywność Greków, którzy zakładali kolonie w całym basenie Morza Śródziemnego, ingerując w handel fenicki i stając się coraz bardziej uciążliwi dla Persów. W 484 r. p.n.e. perski król Kserkses postanowił zmiażdżyć Greków. Zwerbował ogromną armię liczącą prawie 200 000 ludzi i w 480 r. p.n.e. skierował ją na północ, wzdłuż wybrzeża Morza Egejskiego, planując atakować greckie miasta jedno po drugim. Aby to zrobić, musiał jednak nie tylko zaopatrzyć swoją armię, ale także chronić ją przed grecką aktywnością morską, a ostatecznie zniszczyć grecką flotę. Co najważniejsze, perski król musiał przedostać się przez Hellespont, wąską cieśninę oddzielającą kontynent Lurope od Azji. Potrzeby te zostały w dużej mierze zaspokojone przez Fenicjan, którzy dostarczyli Kserksesowi 300 okrętów wojennych, a także jednostki wsparcia floty i bezcenną wiedzę fachową. Ta ostatnia została wykorzystana do budowy podwójnego mostu ze statków rozciągniętych nad Hellespontem. Kiedy fragmenty tego mostu, zabezpieczone linami splecionymi z lnu i papirusu, zostały zerwane podczas burzy, ich architekci zostali ścięci. Feniccy rzemieślnicy pomogli naprawić most i wzmocnili go, używając wyjątkowo ciężkich kotwic i wzmacniając liny, które według Herodota ważyły 50 funtów na stopę. Most ze statków, solidnie zamocowany w tej pozycji, został następnie wyłożony deskami, które przykryto ziemią, aby uspokoić płochliwą kawalerię. A potem potężna armia Kserksesa przetoczyła się przez niego. Herodot twierdzi, że ich liczba była tak duża, że przeprawa zajęła siedem dni.

Bitwa pod Salaminą: Debakl dla Kserksesa

Armia Kserksesa parła na południe, miażdżąc grecki opór. Ostatecznie zdobyła Ateny, których rząd uciekł na pobliską wyspę – Salaminę – gdzie miała być chroniona przez połączoną flotę grecką. Miasta

greckie, beznadziejnie skłócone ze sobą, zgodziły się stanąć pod Salaminą głównie dzięki perswazji ateńskiego admirała Temistoklesa, który zdołał przekonać większość z nich, że ich jedyną szansą na odparcie Persji jest pokonanie floty wroga w Cieśninie Salamińskiej. Wąskie morze w tym miejscu pozwoliłoby Grekom zaatakować tylko kilka perskich okrętów naraz, neutralizując w ten sposób przewagę liczebną Persów. Lokalizacja uniemożliwiłaby również bitwę z manewrami na otwartym morzu, w których Fenicjanie – elita perskiej floty – byli tak biegli. Udając niezdecydowanie, Grecy zwabili Persów do cieśniny. Scena, która rozgrywa się na tych stronach, pokazuje fenicki grot włóczni, ze złoconymi rufami i posągami strażników bogów na pokładzie, zmierzający w kierunku greckiej linii, która czeka po prawej stronie i na dole obrazu. Większość perskiej floty wciąż próbuje przecisnąć się przez wąską cieśninę po lewej stronie u góry. Gdy wystarczająca liczba statków się wciśnie, Grecy otoczą ich z prawej i zmiażdżą. Do perskiej floty dołączyło wiele statków z niezależnych greckich miast. Jednym z nich dowodziła kobieta, władcza królowa Artemizja z Halikarnasu. Wystarczająco sprytna, by zdać sobie sprawę, że Persowie wpadają w pułapkę, szybko staranowała perski statek {u góry pośrodku} w nadziei, że zwiedzie Greków. Tak zrobiła — i uciekła. Ostatecznie oddział fenicki został rozgromiony, a Persowie uciekli, tracąc 200 statków w porównaniu z 40 greckimi. Odparty Kserkses powrócił do Persji.

III. Budowanie sieci handlowej

Dla wielu mieszkańców zacofanego, cywilizowanego wówczas świata, fenicki kupiec, który dotarł na ląd, mógł być jedynym obcym, jakiego spotkali w całym swoim życiu. W bardziej kosmopolitycznych miejscach, gdzie obcy byli powszechni, wciąż istniało coś wyjątkowego, co wyróżniało Fenicjanina. Odwiedzał on miejsca, o których inni tylko słyszeli. Ta reputacja szybko rosła po 1000 r. p.n.e., odzwierciedlając szybkość i energię, z jaką przybrzeżni kupcy zaczęli się wyprowadzać mniej więcej w tym czasie i w ten sposób przeobrazili się z Kananejczyków w Fenicjan. Tej energii nie da się wytłumaczyć samym nazwaniem Fenicjan superenergicznymi. Byli energiczni, ale w ich sytuacji istniały inne czynniki, które mogły niemalże przepowiadać ich ważną rolę jako ludu eksplorującego i handlującego na morzu. Przede wszystkim ich lokalizacja. Znajdowali się dosłownie w centrum starożytnego świata. Znaczna część tego światowego handlu kończyła podróżując po fenickich dnach lub była magazynowana w fenickich magazynach. Jeśli ludzie Tygrysu i Eufratu chcieli komunikować się z zachodem, robili to lądowymi szlakami karawanowymi, które wychodziły na libańskie wybrzeże. W połowie drogi między Byblos a Bejrutem znajduje się wąwóz rzeczny, który wije się z gór do morza. Znany jako rzeka Dog, był zarówno szlakiem handlowym, jak i korytarzem inwazji przez kilka tysięcy lat. W tym czasie wielu najeźdźców przechodziło tędy i pozostawiło tablice pamiątkowe wykute w skale, aby uwiecznić swoją podróż. Najstarsze z tych pomników są teraz tak zniszczone przez warunki atmosferyczne, że nie da się ich odczytać. Ale nadal tam są , wpatrując się obojętnie w morze, które mruga tak samo niebiesko, jak wtedy, gdy biedny Rib-Addi przemierzał wybrzeże w górę i w dół, mijając to miejsce, knując, jak utrzymać Byblos — i siebie — w nienaruszonym stanie. Ponad trzy tysiące lat tablic upamiętniających inwazje i podboje militarne wyraźnie dowodzą wyjątkowego strategicznego znaczenia Libanu. Kiedy egipski faraon kierował wzrok i swoje pułki na wschód, w stronę Asyrii lub Babilonu, musiał najpierw uważnie przyjrzeć się libańskim portom, aby upewnić się, że są dla niego bezpieczne. Podobnie, gdy armie asyryjskie lub babilońskie parły na zachód, nie było mowy o ataku na Egipt bez jakiegoś porozumienia – uzgodnionego lub wymuszonego – między najeźdźcą a królami Tyru i Sydonu. Nie mniej ważne niż wartość strategiczna było rzeczywiste znaczenie samego regionu. Fenickie porty stały się niezwykle bogate i przyciągały asyryjskich najeźdźców niczym garnek miodu przyciąga osy. W rezultacie, mimo że Asyryjczycy często nie mieli realnego geopolitycznego uzasadnienia dla swojej obecności, i tak przybywali. Podczas swoich drapieżnych wypraw czasami

zastraszali Fenicjan, by płacili im daninę, czasami wymuszali ją siłą. Czasami po prostu wracali do domu, czasami zostawiali garnizony lub agentów cesarskich, aby zapewnić ciągłość płacenia daniny. W większości przypadków feniccy książęta kupieccy najwyraźniej uważali płacenie za roztropne; ich wieloletnie doświadczenie handlowe podpowiadało im, że jeśli będą cierpliwi, znaczna część bogactwa odebranego im siłą powróci później w bardziej pokojowy sposób. Zdolność miast fenickich do regeneracji była niezwykła i nie będzie całkowicie niesprawiedliwe spekulowanie, że traktowali oni okresowe inwazje jako rodzaj nieprzyjemnego podatku od nadmiernych zysków, który musieli od czasu do czasu płacić, aby utrzymać się na rynku. Jednym z powodów, dla których miasta fenickie tak szybko się odbudowywały, była ich ogromna elastyczność polityczna. Każde miasto było odrębnym bytem, wolnym do działania we własnym interesie, do niezależnych negocjacji, czujnym na wszelkie potencjalne korzyści biznesowe, gotowym dołączyć do sąsiada w przedsięwzięciu handlowym lub politycznym w jednym roku, jeśli wydawało się to atrakcyjne, a w następnym roku gotowym wbić mu nóż w plecy. Trudno ocenić, jak często dochodziło do przepychanek, choć skąpe zachowane zapisy wskazują, że miasta nadmorskie były niepewnymi sojusznikami, co dodatkowo potęgowała presja ze strony Asyrii. Zrównoważenie tej tendencji do wzajemnych kłótni było ważniejszym i ważniejszym powodem szybkiej odbudowy: ogromnymi możliwościami handlowymi. Mezopotamski świat rzek Tygrys i Eufrat był tylko jednym z trzech ważnych rynków zbytu, które łączyły się u progu Fenicjan. Drugim był Egipt na południu. Trzecim Cypr, Kreta i cały świat śródziemnomorski na zachodzie. Jeśli babiloński król Nabuchodonozor zapragnął pięknej greckiej ceramiki, mógł ją najłatwiej zdobyć od Fenicjan. Jeśli jacyś mieszkańcy północnej lub zachodniej części Morza Śródziemnego potrzebowali egipskiego papirusu – oni również uznali, że najwygodniej będzie go zdobyć od Fenicjan. I tak dalej. Tak więc, choć Fenicjanie nie byli bynajmniej jedynymi handlarzami w świecie śródziemnomorskim, to jednak mieli najbardziej centralne położenie. A dzięki przedsiębiorczości w budowaniu unikalnej sieci faktorii handlowych mogli oferować najszerszy asortyment towarów. Wreszcie, jako żeglarze, mogli penetrować rynki niedostępne dla ludów niemorskich. Krótko mówiąc, byli centrum, wokół którego obracała się znaczna część wczesnego handlu śródziemnomorskiego i bliskowschodniego. Nie zadowalali się jednak rolą jedynie centrum, pobierając prowizje od wszystkiego, co przechodziło przez ich ręce. Posiadali również inne aktywa: dwa naturalne i trzeci, który musieli sami wytworzyć na przestrzeni wieków. Atutami naturalnymi były drewno i purpurowy barwnik. Byblos przez długi czas było centrum drzewnym, znanym z cedru i jodły. Tyr i Sydon były ośrodkami farbiarskimi, słynącymi z purpurowych tkanin, które były zależne od drugiego naturalnego bogactwa Fenicji, rozkolca, rodzaju ślimaka obficie występującego w wodach przybrzeżnych. Ktoś – być może rybak – odkrył, że jeśli miękkie ciało rozkolca zostanie wyjęte z muszli i wystawione na działanie słońca w płytkim naczyniu ze słoną wodą, zacznie gnić, a płyn z gruczołu w ciele ślimaka wydzieli się. Płyn ten służył do barwienia tkanin. W zależności od tego, jak długo trwał proces gnicia i jak skoncentrowany był ekstrakt, uzyskany kolor mógł wahać się od bladego różu, przez różne odcienie czerwieni, po głęboki fiolet. Ten ostatni odcień to królewska purpura tyryjska , znana i podziwiana w całym starożytnym świecie, a w niektórych krajach noszona wyłącznie przez królów. Trzecim atutem, który Fenicjanie wykorzystali do osiągnięcia komercyjnej dominacji, była wiedza. Będąc centrum handlowym świata, mieli okazję zapoznać się z szeroką gamą materiałów, a także technikami wytwarzania i stylami artystycznymi. Chłonęli wszystkie te informacje jak gąbki i wykorzystywali je do własnych celów. Z handlarzy kością słoniową stali się ekspertami w jej obróbce. Z Egiptu przejęli sekret szklarstwa i wykorzystali go. Stali się znakomitymi wytwórcami biżuterii. Nauczyli się repusowania i emaliowania, a obie te techniki stosowali do zdobienia ozdób i biżuterii ze złota i srebra. Chociaż niektórzy badacze dostrzegają w tej pracy elementy stylu „fenickiego", artyści czerpali inspirację przede wszystkim z projektów innych. Podobnie jest z metalowymi pojemnikami, srebrnymi misami oraz miedzianymi i brązowymi misami. Niektóre z tych naczyń są pięknie wykonane, ale ich wzory wyraźnie wywodzą się z Mezopotamii, Egiptu lub świata egejskiego. Nie oznacza to, że Fenicjanom brakowało oryginalności. Bardziej prawdopodobne jest, że

pozwolili, by warunki rynkowe na nich wpływały. „Jeśli egipskie naszyjniki ze wzorami skarabeuszy dobrze się sprzedają” – można niemal usłyszeć fenickiego rzemieślnika mówiącego do siebie – „skopiuję je. Nie ma potrzeby kupować z Egiptu; zaoszczędzę, robiąc je sam”. Co więcej, ponieważ przedmioty przeznaczone na eksport były coraz częściej produkowane w większych ilościach, umiejętności i oryginalność artysty-rzemieślnika były tłumione przez popyt na przedmioty, które można było wykonać jak najszybciej i jak najtaniej. Mając pod ręką dobre źródło drewna, Fenicjanie od początku byli znani jako znakomici cieśle i stolarze. Najwyraźniej nie używali drewna w budownictwie – używali do tego kamienia lub cegły – ale szeroko wykorzystywali je w dekoracjach i meblarstwie. Ogólnie rzecz biorąc, ich znajomość metalu, drewna i kamienia sprawiła, że byli poszukiwanymi wędrownymi rzemieślnikami. Jednym z tych, którzy korzystali z tych umiejętności, był izraelski król Dawid. Po skonsolidowaniu królestwa Izraela około 1000 r. p.n.e. Dawid zapragnął dostępu do morza i drewna na „dom” dla siebie. Zwrócił się do swego sąsiada Hirama, który był wówczas królem Tyru, o rzemieślników, co zaowocowało korzystnym dla obu stron sojuszem handlowym. Ze Starego Testamentu wiemy, że Hiram był wielkim człowiekiem – prawdopodobnie najpotężniejszym na całym wybrzeżu. Silny władca z instynktem kupieckim, dążącym do ekspansji wszędzie tam, gdzie leżał zysk, dostrzegał wartość izraelskich powiązań. Po tym, jak dobrze mu się powodziło z jednym królem izraelskim, Hiram z radością kontynuował panowanie z kolejnym, synem Dawida, Salomonem. Potrzeby Salomona były ambitniejsze niż Dawida. Po pierwsze, chciał wznieść świątynię wspanialszą niż jakakolwiek, jaką Hebrajczycy kiedykolwiek znali. Hiram wysłał więc całą siłę roboczą przez góry do Izraela, aby zaprojektowała i zbudowała od podstaw świątynię. W zamian Hiram otrzymywał coroczne dostawy oliwy i pszenicy. Te ostatnie, jak możemy sobie wyobrazić, były bardzo potrzebne rosnącej populacji Tyr, którego własne pola uprawne były wąskie ze względu na bliskość gór do morza. Drugim celem Salomona było rozszerzenie handlu na południe i wschód przez Morze Czerwone i Ocean Indyjski – a konkretnie do Ofiru, gdzie wydobywano złoto. Dokładna lokalizacja Ofiru zaginęła w toku historii, ale wielu ekspertów uważa, że prawdopodobnie znajdował się on gdzieś w południowej Arabii. Gdziekolwiek się znajdowało, Salomon dostrzegł szansę, by się tam dostać, korzystając z ujścia, które miał w Zatoce Akaba na końcu Morza Czerwonego – gdyby tylko miał statki. Był jednak człowiekiem lądu, podobnie jak wszyscy jego ludzie, synowie koczowniczych pasterzy. Hiram ponownie czujnie wystąpił naprzód. Według doniesień wysłał zespół szkutników, żaglomistrzów i takielarzy, aby zbudowali flotę kupiecką dla Salomona w Ecjon-Geber, niedaleko współczesnego izraelskiego portu Elat. Po zbudowaniu floty obsadzili ją feniccy żeglarze, a Hiram najwyraźniej otrzymał swoją część złota i drogocennych kamieni przywiezionych z tajemniczego Ofiru. Samego złota przywiezionego z Ofiru Biblia podaje liczbę 420 talentów. Ponieważ talent ważył nieco ponad 75 funtów, złoto – jeśli wierzyć biblijnej liczbie – stanowiło równowartość królewskiego okupu.

Królewska Purpura — i jak ją wytwarzano

Według legendy, tyryjski bóg Melkart spacerował pewnego dnia brzegiem morza ze swoją ukochaną, nimfą o imieniu Tyrus, gdy pies, który im towarzyszył, podniósł ślimaka mureksa i przegryzł go na pół. Pysk psa natychmiast pokrył się głęboką purpurą, a Tyrus, podziwiając piękny kolor, oznajmił Melkartowi, że nie zaakceptuje go jako kochanka, dopóki nie obdarzy jej suknią w tym samym odcieniu. Wówczas Melkart zebrał dużą ilość muszli — i tak narodził się tyryjski przemysł farbiarski. Urocza legenda, oparta być może na fakcie, że pierwsi farbiarze nauczyli się, skąd brać barwniki, obserwując zabarwione usta ludzi jedzących mureksa. W każdym razie, około 1000 r. p.n.e. Tyr i Sydon stały się centrami barwionej wełny i jedwabiu o jakości niezrównanej w całym starożytnym świecie. Barwnik pochodził z małego gruczołu w ciele rozkolca, który musiał zostać usunięty z żywego ślimaka, aby najjaśniejsze odcienie mogły się prawidłowo rozwinąć. Każdy gruczoł dawał tylko kroplę lub dwie żółtawego płynu, który ciemniał pod wpływem słońca i powietrza. Przetwarzanie wymagało ciągłego, powolnego gotowania na wolnym ogniu w zewnętrznym garnku przez prawie dwa tygodnie, w trakcie

którego cenny płyn wygotował się do około jednej szesnastej swojej pierwotnej objętości. W tym tempie gruczoły około 60 000 ślimaków potrzebowały zaledwie jednego funta barwnika, co wyjaśnia, dlaczego esencja była tak fantastycznie droga. Jeden ekspert obliczył, że jeden funt wysokiej jakości jedwabiu, farbowanego według najwyższych tyryjskich standardów, mógł osiągnąć nawet 12 000 funtów w dzisiejszej walucie. Najlepsi farbiarze wykonywali cały proces w ołowianych lub cynowych garnkach, wiedząc, że mosiądz lub żelazo odbarwią esencję. Używali głównie dwóch gatunków rozkolca {po lewej). Sam Brandaris nadawał tkaninom intensywny, ciemny odcień i wymagał odpowiedniej domieszki trunculusa oraz starannie kontrolowanego, dwukrotnego namaczania z dodatkiem barwnika z trzeciego ślimaka – wcale nie mureksa – aby uzyskać lśniącą, królewską purpurę, tak pożądaną. Inne odcienie, ciemniejące aż do bladego różu, pokazane na tle gradientu na przeciwległym zdjęciu – uzyskiwano poprzez zróżnicowanie mieszanki i ilości światła. Wszystkie barwniki purpury tyryjskiej były trwałe – to znaczy nie blakły. Wartość, podobnie jak ich piękno, rosła. Był czas, gdy potęga i prestiż Rzymu zaczęły rosnąć, kiedy każdy bogaty obywatel mógł „nosić purpurę", wąski pasek na todze. Później przywilej ten zarezerwowano dla senatorów, a ostatecznie wyłącznie dla cesarza. Antoniusz i Kleopatra podobno mieli okręt wojenny słynący z ostentacji; jego główny żagiel był barwiony purpurą tyryjską. Farbowanie mureksem praktykowano w kilku miejscach w regionie Morza Śródziemnego, w tym na wyspach Malcie i Motyi, ale nigdzie nie robiono tego z kunsztem dorównującym farbiarzom tyryjskim i sydońskim. O ich ogromnej produktywności świadczą kopce muszli – dosłownie miliony – które wciąż leżą usypane wokół ruin starej farbiarni. Zarówno w Tyrze, jak i Sydonie, farby znajdowały się na południu, tuż za miastem i w kierunku nawietrznym, ze względu na okropny odór wydobywający się z gnijących ciał mięczaków. Pomimo wielu wzlotów i upadków przemysł farbiarski przetrwał, przetrwał nawet upadek Tyru i zmagał się z trudnościami do roku 800 n.e., kiedy Karol Wielki importował tkaniny barwione w Tyrze. Później podupadł z powodu zaporowych kosztów. Tanie, trwałe barwniki anilinowe gwarantują, że nigdy więcej nie zostanie odrodzony.

Złoto z Ofiru. Miedź z Cypru. Srebro z Etiopii. Cyna z Hiszpanii. Handel w świecie śródziemnomorskim w coraz większym stopniu opierał się na zapotrzebowaniu na metale. Fenicjanie byli w samym środku tego wszystkiego. Cyna była poszukiwana, ponieważ można ją było zmieszać z miedzią, tworząc brąz, znacznie twardszy metal niż miedź. Wielu uczonych uważa, że to właśnie pokusa bogatych złóż cyny w Hiszpanii przyciągnęła Fenicjan na zachód, a stamtąd na północ, być może do Bretanii i Wysp Brytyjskich, gdzie również wydobywano cynę. Tymczasem w Azji Mniejszej odkryto sekret wytopu żelaza, a Fenicjanie szybko dodali tę umiejętność do swojego repertuaru talentów. Około 1000 r. p.n.e. byli wyjątkowo przygotowani do roli, która miała ich ugruntować jako żeglarzy-handlowców par excellence swoich czasów. Posiadając gruntowną wiedzę o metalach, wszelkiego rodzaju towarach handlowych, całym arsenale technik przemysłowych, doskonałą znajomość statków i morza, Fenicjanie byli gotowi udać się niemal wszędzie. I tak też zrobili. Płynęli na zachód, zakładając małe placówki handlowe w strategicznych punktach po drodze. W końcu dotarli do zachodnich granic Morza Śródziemnego: Słupów Heraklesa (znanych Rzymianom jako Herkules, a w czasach nowożytnych jako Cieśnina Gibraltarska), bramy do Atlantyku. Mimo to nie zatrzymali się. Niektóre z podróży, które odbyli, są dosłownie zdumiewające. Około 600 r. p.n.e. ich reputacja niezawodnych podróżników do odległych miejsc była tak wielka, że faraon egipski Necho poprosił ich o podjęcie wyprawy eksploracyjnej. W tamtych czasach cała Afryka była znana jako Libia — niejasne określenie wszystkich niezbadanych piaszczystych pustkowi, które tworzyły Saharę i leżały na południe od znacznie lepiej znanego pasa żyznego wybrzeża wzdłuż Morza Śródziemnego. Nikt nie wiedział, jak wielka była starożytna Libia. Słabe szlaki karawan, połączone oazami, wiły się na pustynię. Gdzieś na krańcach tych szlaków mieszkali obcy czarni ludzie. Wiadomo było o tym, ponieważ towary handlowe – złoto, kość słoniowa i czarni niewolnicy – wracały tymi szlakami. Ale jak daleko rozciągała się Libia ani jaki miała kształt, pozostawało całkowicie nieznane. Necho musiał wierzyć, że jest wyspą, ponieważ jego

polecenie dla fenickich podróżników brzmiało: wypłynięcie na południe z Morza Czerwonego i powrót z zachodu przez Słupy Heraklesa – krótko mówiąc, opłynięcie Afryki. Co zdumiewające, właśnie to najwyraźniej zrobili Fenicjanie. Nikt nie opłynął Afryki ponownie przez kolejne 2000 lat. Fenickim żeglarzom zajęło to trzy lata. Grecki historyk Herodot opisuje, jak to robili. Kiedy jesień nadchodziła, gdziekolwiek się znajdowali, schodzili na ląd, karczowali kawałek ziemi, obsadzali ją zbożem i czekali, aż dojrzeje. Kiedy dojrzeje, zbierali plony i kontynuowali podróż. Nie zachowało się żadne inne świadectwo o tym, co jeszcze robili, kogo spotkali ani co zobaczyli – poza jednym interesującym faktem. Zgłaszając się do Necho, żeglarze upierali się, że gdy opływali południowy kraniec Libii i kierowali się na zachód, słońce znajdowało się po ich prawej stronie. Herodot, jeden z najbardziej czarujących gawędziarzy, jacy kiedykolwiek żyli – ale i jeden z najbardziej sceptycznych – sumiennie przekazał tę dziwną nowinę, ale oświadczył, że w nią nie wierzy. Oczywiście, to właśnie ta obserwacja dodaje wagi twierdzeniu, że Fenicjanie rzeczywiście zeszli na półkulę południową i przez jakiś czas mieli słońce po swojej prawej stronie – tj. wschodziło i zachodziło nieznacznie na północ od nich. Inną, bardziej wiarygodnie udokumentowaną wyprawę do Afryki odbył kartagiński admirał Hannon około 425 r. p.n.e. Hannon nie próbował opłynąć Afryki. Był raczej zainteresowany umocnieniem handlu afrykańskiego. Prowadził dziennik, którego greckie tłumaczenie zachowało się do dziś. Podążając nią, można rozpoznać niektóre z punktów orientacyjnych, które widział, i zlokalizować miejsca, w których zatrzymywał się, aby zakładać miasta lub faktorie handlowe. Praktycznie wszyscy eksperci zgadzają się, że jedną z dużych rzek, które przekroczył, był Senegal. Jednak na południe od niego jego relacja staje się coraz bardziej niejasna. Trudno powiedzieć, czy dotarł do Sierra Leone, zanim zawrócił z powodu braku zapasów, czy, jak niektórzy sądzą, do Kamerunu, prawie 1500 mil dalej. W obu przypadkach przeżył kilka dziwnych przygód. Widział wielkie stada słoni w trzcinowiskach nadrzecznych, a także ogromne rzesze krokodyli i hipopotamów w miejscu, które najwyraźniej było odnogą Senegalu. W pewnym miejscu, próbując wylądować, został zaatakowany przez rój odzianych w skóry dzikusów, stojących na klifach nad jego głową, którzy zrzucili na jego grupę tyle kamieni, że była zmuszona do dalszej podróży. W innym miejscu spotkał włochatych mieszkańców, których towarzyszący mu afrykański tłumacz zidentyfikował jako lud zwany gorylami. „Mężczyźni" zdołali uciec, wspinając się prosto na klif, ale grupie Hanno udało się złapać kilka „kobiet", które tak okrutnie pogryzły i okaleczyły swoich oprawców, że trzeba było je zabić. Hanno przywiózł skóry trzech z nich, aby wystawić je w Kartaginie. Przed stosunkowo dobrze udokumentowaną podróżą Hanno, inną podróż mógł odbyć Himilco, również kartagiński admirał i prawdopodobnie brat Hanno. Zapisy dotyczące podróży Himilco, jak również relacji między tymi dwoma mężczyznami, są praktycznie nieistniejące. Jednak większość historyków podaje, że ekspedycja Himilco udała się na północ od Słupów Heraklesa, a nie na południe. Ta podróż zdaje się potwierdzać, że Fenicjanie byli zaangażowani w handel metalami w Brytanii. Niestety, relacje są niejasne, spisane długo po fakcie i mogą mieszać więcej niż jedną podróż. Ale rzekomo opisują, jak Himilco popłynął wzdłuż wybrzeża, wokół Półwyspu Bretanii i dalej na Wyspy Brytyjskie. Nie ma bezpośrednich fenickich dowodów archeologicznych potwierdzających tę historię, ale jest pewne, że ktoś płynął tam z Hiszpanii w epoce żelaza; Ślady takich wizyt odkryto w Kornwalii. Nie sposób ustalić, czy byli to Himilkon i jego grupa, inni Fenicjanie, czy Celtowie handlujący wzdłuż wybrzeża na własną rękę. Te trzy fenickie podróże, dwie w Afryce i jedna do Brytanii, trwały około 200 lat. W tym czasie z pewnością miało miejsce wiele innych, po których nie zachowały się żadne pisemne wzmianki ani ślady archeologiczne. Tradycja głosi, że Fenicjanie dotarli na Wyspy Kanaryjskie, Maderę i Azory. Przypadkowe odkrycie wszystkich tych wysp przez statki zniesione na morze przez sztormy jest całkiem możliwe. Roztropny kapitan, złapany w prawdziwą katastrofę, zabezpieczyłby swój statek i przeczekał wichurę, mając nadzieję, że będzie mógł dopłynąć lub wrócić na ląd, gdy sztorm ustanie. Najbliższa z Wysp Kanaryjskich znajduje się zaledwie 65 mil od wybrzeża południowego Maroka. Skoro kupcy nieustannie przemierzali to wybrzeże, trudno sobie wyobrazić, aby przez kilka stuleci przybrzeżnego handlu ktoś nie został zwiany na Wyspy Kanaryjskie. Madera leży dalej w morzu, Azory

jeszcze dalej – co najmniej tysiąc mil na zachód od Gades (Kadyksu). Ale to właśnie na Azorach znaleziono osiem monet kartagińskich. Nie da się udowodnić, że przywieźli je tam Kartagińczycy, ale prawdopodobieństwo, że zrobił to ktoś inny, jest nikłe. Fenicjanie, wielcy żeglarze. Najbardziej imponujące w ich udokumentowanych podróżach jest to, że żaden z ich współczesnych nie podjął się podobnego przedsięwzięcia. Wydaje się, że nikt inny nie miał energii, odwagi i umiejętności, by tego dokonać. Fenicjanie łączyli te cechy, a na dodatek z pewnością musieli być twardzi – twardzi, pragmatyczni ludzie, którzy znikali za horyzontem nie dla romansu, ale dlatego, że było tam złoto lub kość słoniowa, albo dlatego, że porywały ich żywioły. Inni, pisząc o nich, podkreślają ich odwagę. Podkreślają jednak również ich twardość jako handlarzy, ich przebiegłość. Opisuje się ich jako nieuczciwych, gdy tylko uchodzi im to na sucho, i nie wahających się przed morderstwem i niewolą. W rzeczywistości mieli złą sławę jako handlarze niewolników. Typową postacią w greckich i rzymskich komediach jest ktoś, kto został porwany przez Fenicjan w dzieciństwie i sprzedany w niewolę. Odyseja Homera opowiada, jak niemowlę Eumajos z Syrii zostało porwane przez Fenicjan – „słynących ze swoich statków, chciwych łotrów przywożących niezliczone drobiazgi na swoim czarnym statku" – którzy sprzysięgli się z fenicką niańką Eumajosa, aby pojmać ich oboje. Homer nie wspomniał, że niańka mogła sama być niewolnicą, ofiarą greckiego porwania lub splądrowania miasta lata wcześniej – i była bardzo szczęśliwa, że znalazła okazję, by się trochę zemścić, wracając do Fenicji. Broniąc Fenicjan, należy pamiętać, że to ich wrogowie mówią za nich, a także, że żyli w surowym świecie, w którym każdy chwytał za swój, gdy inni nie patrzyli. Na koniec możemy ponownie zwrócić się do Herodota po dowody na to, że Fenicjanie byli bardziej honorowymi kupcami, niż ich przedstawiano. Ponieważ podróżowali tak daleko, stale kontaktowali się z mniej cywilizowanymi ludami, których języków nie znali, a o których zwyczajach byli w dużej mierze nieświadomi. Dotyczyło to szczególnie wybrzeża Afryki za Słupami Heraklesa. Tam handel – o ile w ogóle miał być prowadzony i o ile kupcy mieli jakiekolwiek nadzieje na powrót – musiał opierać się na pewnego rodzaju wzajemnym zaufaniu. Według relacji Herodota:

Oni (kupcy) ledwo dotarli – rozładowują swoje towary. Ułożywszy je w uporządkowany sposób wzdłuż plaży, zostawiają je i wracając na pokłady statków, wzniecajają wielki dym. Tubylcy, widząc dym, schodzą na brzeg – wykładają tyle złota, ile ich zdaniem jest warte, a następnie wycofują się na pewną odległość. Kartagińczycy wychodzą wtedy na brzeg i patrzą. Jeśli uznają, że złota jest wystarczająco dużo, zabierają je i odchodzą. Jeśli wydaje im się to niewystarczające, ponownie wchodzą na pokład statku i cierpliwie czekają. Wtedy tubylcy nadchodzą i dodają do swojego złota, aż Kartagińczycy są zadowoleni. Żadna ze stron nie traktuje drugiej niesprawiedliwie: Kartagińczycy nigdy nie dotykają złota, dopóki nie osiągnie ono wartości ich towarów, a tubylcy nigdy nie zabierają towarów, dopóki złoto nie zostanie zabrane.

Piękna historia – oceniająca Fenicjan jako praktycznych, długodystansowych kupców – prawdopodobnie prawdziwa. Choć wielkie wyprawy odkrywcze mogły być dramatyczne, to powolne Codzienne żeglowanie po Morzu Śródziemnym napędzało fenicki handel, którego „bańki" były powszechnym widokiem w niemal każdym cywilizowanym porcie – i niektórych mniej cywilizowanych. Wyjątkiem było Morze Egejskie. Fenicjanie podjęli wczesną próbę spenetrowania tego morza. Byli już dobrze zadomowieni w kilku miejscach na Cyprze, a stamtąd założyli stacje handlowe na Rodos, a nawet na Krecie. Jednak ich przyczółki zostały szybko zdeptane przez Greków, a wszelkie nadzieje na realną obecność na Morzu Egejskim musiały zostać na razie porzucone. Morze Śródziemne, przeciwnie, było dla nich szeroko otwarte, a jego garnek hiszpańskich skarbów metalowych kusił na końcu 3700-kilometrowego szlaku wodnego na zachód. Można całkiem dobrze śledzić ruchy Fenicjan na zachód, uważnie obserwując miejsca wzdłuż wybrzeża, które ich kapitanowie mogli wybrać na dobre kotwicowiska na noc, każde oddalone o około 48 kilometrów od poprzedniego. Francuzi Archeolog

Pierre Cintas udoskonalił to narzędzie badawcze, zalecając, aby oko badacza skupiło się na znalezieniu „krajobrazu", pewnego rodzaju krajobrazu – „krajobrazu punickiego". Co oznacza słowo Cintas? „Punicki" to łacińskie słowo oznaczające zachodni Fenicki, a Cintas oznacza po prostu, że Fenicjanie mieli dobrze znane preferencje w wyborze miejsc do zakładania faktorii handlowych, które z czasem mogły się rozwinąć w miasta; a jeśli archeolog będzie pamiętał o tych preferencjach podczas poszukiwań, szanse na odnalezienie kolejnych stanowisk fenickich znacznie wzrosną. „Krajobraz punicki" obejmował albo łatwo broniony cypel wystający w morze, albo małą wyspę blisko brzegu. Ważne było dobre źródło świeżej wody, podobnie jak dobry kamieniołom, z którego można było budować fortyfikacje i budynki. Kolejnym wymogiem było dobre kotwicowisko, najlepiej dwa – jedno na letnią pogodę i jedno po przeciwnej stronie wyspy lub cypla, ze względu na różne wiatry wiejące zimą. Ostatni i bardzo ważny Potrzeba ziemi pod uprawę była w pobliżu. Fenicjanie tak zakorzenili się w świadomości wszystkich jako najlepsi żeglarze, że łatwo zapomnieć, iż byli również niezwykle dobrymi rolnikami. Mieszkając w miastach – które jak na tamte czasy były gęsto zaludnione i dość liczne – potrzebowali niezawodnych źródeł pożywienia. Zapewnili je sobie, anektując grunty rolne wokół swoich miast i intensywnie je uprawiając. Rezultatem tej praktyki był wzór małych plam „Fenicji" rozrzuconych szeroko po Morzu Śródziemnym, otoczonych przez znacznie liczniejszą populację miejscowej ludności, która była mniej rozwinięta kulturowo i handlowo. Znaczna część sukcesu Fenicjan jako kupców wynikała z tych różnic kulturowych. Ich sąsiedzi nie byli w stanie lub nie chcieli wytwarzać wielu drobiazgów i ozdób, którymi handlowali Fenicjanie, i nieświadomie wymieniali przyprawy, kość słoniową, złoto lub inne metale za znacznie niższą cenę niż te surowce można było uzyskać gdzie indziej. To była fenicka marża handlowa, i to duża. Umożliwiła ona rozkwit miast wszędzie tam, gdzie… istniały dobre rynki zbytu w głębi lądu, które ich wspierały, lub wszędzie tam, gdzie strategiczna konieczność nakazywała założenie placówki. Jednym ze strategicznych punktów było wąskie gardło między Sycylią a Afryką Północną, zwężenie Morza Śródziemnego, które oddzielało zachodnią połowę tego wielkiego morza śródlądowego od jego wschodniej części. Fenicjanie podjęli wszelkie środki ostrożności, aby zapewnić sobie kontrolę nad wąskim gardłem, zakładając silne osady w trzech miejscach: na wyspie Malcie, która kontrolowała wschodnie podejścia do wąskiego gardła; w Kartaginie, gdzie afrykańskie wybrzeże wystaje blisko Sycylii; oraz w najbliższym sycylijskim punkcie naprzeciwko, a konkretnie na małej ufortyfikowanej wyspie o nazwie Motya na zachodnim krańcu Sycylii. Tak umocnieni, Fenicjanie mogli trzymać Greków, swoich głównych konkurentów, z dala od zachodniej części Morza Śródziemnego i zachować dla siebie hiszpański handel metalami. Dochodzimy teraz do niezwykle zagadkowej i trudnej kwestii: kiedy dokładnie to wszystko się wydarzyło? Nie może być „dokładnie", ale zaczyna być „prawdopodobnie", co rodzi drugi z dwóch głównych problemów nękających badania fenickie. Pierwszym z nich jest wielokrotnie już wspominana kwestia, kiedy Fenicja Wschodnia może być właściwie nazwana Fenicją. Drugi dotyczy czasu i dynamiki rozwoju Fenicji Zachodniej – szczególnie na Sycylii, gdzie miała się toczyć długa walka z Grekami. To, co zostało tu dotychczas powiedziane na temat tej drugiej kwestii, było zgodne z tradycyjną myślą historyczną, w dużej mierze opartą na pismach dziesiątek klasycznych historyków, poetów, kronikarzy, podróżników i okazjonalnych mitotwórców. Cały ten materiał został przesiany przez późniejszych uczonych i, potraktowany z odpowiednim dystansem, połączony w łańcuch wydarzeń, którego ogniwa – na przestrzeni czasu – trzymają się zadziwiająco dobrze. To właśnie ten tradycyjny pogląd historyczny sugeruje, że osadnictwo fenickie w Hiszpanii nastąpiło już w 1100 r. p.n.e., w Utice na wybrzeżu Afryki Północnej mniej więcej w tym samym czasie, w Kartaginie przed 800 r. p.n.e., a wkrótce potem powstały placówki na większości Sycylii. Wyłania się z tego obraz ugruntowanej obecności Fenicjan na Sycylii na długo przed pojawieniem się Greków, którzy zaczęli ją podważać. Co dziwne, najnowsze dowody archeologiczne, poparte nowymi metodami interpretacji, sugerują, że tradycja ta może być błędna. Błąd polega na tym, że nikomu nie udało się znaleźć w żadnym zachodnim stanowisku fenickim – w Kartaginie, na Sycylii ani gdzie indziej – żadnego obiektu, którego datę można wiarygodnie określić

na wcześniejszą niż około 735 r. p.n.e. Ponieważ dla stałych osad, niezależnie od ich wielkości, niemal niemożliwe jest ukrycie swojego wieku przed najbardziej wyrafinowaną współczesną analizą, oznacza to, że poglądy uczonych, zarówno starożytnych, jak i współczesnych, na temat roli Greków i Fenicjan na zachodzie mogą wymagać poważnej rewizji. Problem, co dziwne, zdaje się sięgać „jednego z najbardziej skrupulatnych i wiarygodnych historyków, jaki kiedykolwiek żył, greckiego pisarza Tukidydesa. Opisując szybką ekspansję kolonialną wielu greckich miast w odpowiedzi na niedobory ziemi i niepokoje społeczne w kraju, Tukidydes należycie odnotowuje zasiedlenie południowej Italii, a następnie Sycylii, przez tych wczesnych greckich kolonistów, którzy zaczęli licznie przybywać na zachód po około 735 r. p.n.e. Dalej mówi, że Fenicjanie, którzy zamieszkiwali Sycylię, stopniowo się wycofywali po rozpoczęciu tej greckiej inwazji, aż zostali ograniczeni do trzech miast na dalekim zachodnim krańcu wyspy. To stwierdzenie miało wagę ewangelii od momentu jego napisania, ale jest podejrzane. Kolonizacja jest trudna nawet w najlepszych okolicznościach. Przybywający Grecy nosili ze sobą zaciekłą wzajemną zazdrość i toczyli między sobą zacięte walki. Założenie, że mogliby rozstrzygnąć swoje wewnętrzne spory, a jednocześnie znaleźć siłę, by rozbić sieć dobrze zakorzenionych fenickich osad, byłoby naciągane. Dlaczego więc Tukidydes wysunął takie twierdzenie? Według Rhysa Carpentera, specjalisty od archeologii klasycznej i historii Grecji, który napisał wciągające studium na ten temat, Tukidydes prawdopodobnie został wprowadzony w błąd przez poetę Homera. Aby rozsądny historyk dał się zwieść poecie, trzeba to wyjaśnić. Na początek należy zrozumieć wyjątkową pozycję Homera w umysłach Greków: uważano go za źródło praktycznie całej wiedzy, jaką posiadali na temat dużego fragmentu własnej przeszłości, a nawet pochodzenia. Jego prawo do szacunku, jakim obdarzali go Grecy, a później Rzymianie, zostało również uznane w czasach nowożytnych – aczkolwiek w sposób mniej dosłowny, bardziej interpretacyjny. Pomijając mity i cudowne wydarzenia, które przeplatają jego eposy, okazuje się on tym bardziej wnikliwym, im głębiej zagłębiamy się w jego dzieło – cudownie dokładnym portreterem greckiej epoki brązu. Iliada, która opisuje wydarzenia, które miały miejsce około 1200 r. p.n.e. – około 400 lat przed rzekomym życiem samego Homera – odtwarza tamten czas i ten świat z taką szczegółowością, że szczęka opada z wrażenia na dokładność i percepcję tego wszystkiego. Im bardziej zaawansowana jest czyjaś wiedza o Homerze, tym większym szacunkiem darzymy go jako kronikarza życia w mykeńskiej Grecji. Nic dziwnego, że Tukidydes tak bardzo na niego liczył. Niestety, robiąc to, popełnił jeden prosty, ale poważny błąd. Zakładał, że zarówno Iliada, jak i Odyseja zostały napisane „mniej więcej w tym samym czasie przez tego samego człowieka" i że obie traktują o wydarzeniach z 1200 r. p.n.e. Według najlepszych współczesnych badań naukowych nie jest to prawdą i prowadzi nas do drażliwej kwestii tożsamości Homera. Sami Grecy nie wiedzieli dokładnie, kim był Homer, gdzie żył ani kiedy. Dziś nie wiemy. Nie możemy być nawet pewni, że taki człowiek w ogóle istniał. Wiemy jednak, że w czasach, w których miał żyć, istnieli zawodowi bardowie, którzy często śpiewali na dworach książęcych. Jeśli Homer rzeczywiście istniał, był jednym z nich, czerpiąc inspirację z bogatego dziedzictwa legendy mówionej, wplecionej w pieśni przez szereg nieznanych mężczyzn i przekazywanej ustnie z pokolenia na pokolenie. Wyczerpujące studium dwóch wielkich eposów Homera, Iliady i Odysei, sugeruje, że był Jończykiem, który mieszkał na wyspie Chios około 800 r. p.n.e. Nie wiadomo również, ile z Iliady lub Odysei skomponował sam, ani jak przekazywano je – ustnie czy pisemnie. Jednak analiza obu eposów coraz wyraźniej pokazuje, że fragmenty Odysei najprawdopodobniej nie pochodzą od Omera, lecz zostały później wstawione przez jednego lub kilku innych poetów, których tożsamość zaginęła. Istotne w tym kontekście jest to, że cała Odyseja wydaje się być skomponowana wiele lat po Iliadzie, być może pół wieku lub wiek później. Wzmianki o Fenicjanach w obu dziełach wzmacniają ten pogląd, ponieważ mimowolnie ujawniają, jak zmienił się stosunek Greków do Fenicjan w ciągu stu lat między 800 a 700 r. p.n.e. W momencie powstania Iliady, egejski okres ciemności dobiegł końca, a Grecy dopiero zaczynali się rozprzestrzeniać jako kupcy i koloniści. Ich sztuka nie była jeszcze tak rozwinięta, jak później, i gdy przemieszczali się przez Morze Egejskie na wschód, aby nawiązać kontakty handlowe z Fenicją Wschodnią, byli niezmiennie pod

wrażeniem wyrafinowania produktów, które tam znaleźli. W rezultacie Fenicjanie pojawiają się w Iliadzie jako mistrzowie rzemiosła i nic więcej. Taki był grecki pogląd na nich z VIII wieku; i taki pogląd odzwierciedlają Iliady, mimo że rzekomo opowiadają o wydarzeniach, które miały miejsce 400 lat wcześniej. Pogląd w Odysei jest zupełnie inny. W tym czasie sztuka grecka znacznie się rozwinęła, podobnie jak greckie ekspansje kolonialne, a Grecy wszędzie spotykali się z Fenicjanami, już nie jako przyjacielscy kupcy, ale jako zaciekli rywale. Ci pierwsi postrzegali teraz tych drugich jako wstrętnego, przebiegłego, złodzieja, porywacza dzieci, uwodziciela kobiet, wędrującego po oceanach szkodnika, który był bardziej dostawcą tandetnych towarów niż mistrzem rzemiosła. To jest Fenicjanin z Odysei — autentyczny grecki pogląd z VII wieku. Tukidydes, który nie rozumiał tych niuansów, a zwłaszcza luki czasowej między powstaniem Iliady i Odysei, połączył oba eposy, wierząc, że przedstawiają one prawdziwe wydarzenia, które miały miejsce w odstępie dekady lub dwóch. To postawiło go przed niezręcznym problemem. W jakiś sposób musiał dopasować czas wojny trojańskiej, opisanej w Iliadzie (i którą, jak trafnie szacował, rozegrała się krótko przed 1200 r. p.n.e.), do ruchów i zachowań Fenicjan opisanych w Odysei. Najlepszym założeniem, jakie mógł poczynić, było to, że Fenicjanie od dawna prowadzili swoją paskudną, przebiegłą i dalekosiężną działalność. W rezultacie, gdy przystąpił do pisania relacji z kolonizacji Sycylii przez Greków w 700 r. p.n.e., Tukidydes musiał wyjaśnić, dlaczego ci agresywni Fenicjanie nie zdołali jej zapobiec. Uczynił to, stwierdzając jedynie, że wycofali się na zachód. Oszukany Odyseją, nigdy nie przyszło mu do głowy, że mogli w ogóle tam nie być. Dlaczego oświadczenie Tukidydesa pozostało niepodważone przez ponad 2000 lat? Powodów jest wiele. Po pierwsze, jego własna staranność, dokładność i sceptycyzm nadały ogromnej wagi temu, co powiedział. Po drugie, fakt, że fenickie zapisy dotyczące ich własnej działalności nigdy nie zostały odnalezione, zmusza do polegania na cudzych. Po trzecie, i co wynika z drugiego, Fenicjanie zawsze byli tajemniczym, nieuchwytnym ludem. Przez długi czas prawie nic o nich nie wiadomo było poza ich reputacją jako znakomitych żeglarzy i długodystansowych podróżników. Kiedy w końcu zaczęły pojawiać się dowody archeologiczne na ich temat, zdawały się potwierdzać ten pogląd, ponieważ ich osady były szeroko rozproszone po całym zachodzie. Wreszcie, i być może najważniejsze, znaleziska archeologiczne dokonane w tych miejscach nie zawsze były systematycznie analizowane. To prowadzi nas do specjalistycznej tematyki garnków. Gliniany garnek był naczyniem w starożytnym świecie; prawie każdy go wytwarzał. Ci, którzy nie mogli, handlowali nim. Były one używane na co dzień jako dzbany, naczynia do picia i zastawa stołowa. Służyły do przechowywania wina, wody, oliwy – wszystkich płynów. Przechowywano w nich również zboże i takie cenne przedmioty, jak złoty pył, nie wspominając o prochach zmarłych. Ponieważ garnki były tak uniwersalnymi przedmiotami, stanowiły również dobry sposób na ujście artystycznych impulsów wśród ludzi, którzy wytwarzali je w każdym możliwym kształcie i ozdabiali najróżniejszymi wzorami. Później, gdy szkliwa stały się powszechne, garncarstwo stało się sztuką o niezwykłym pięknie i subtelności. Garnki tłuką się dość łatwo. Po stłuczeniu są wyrzucane. Ich kawałki są jednak bardzo trwałe. W rezultacie najczęstszymi fragmentami ludzkich szczątków znajdowanymi na każdym stanowisku archeologicznym w basenie Morza Śródziemnego i Bliskiego Wschodu są fragmenty ceramiki. Ponieważ pewne style można łatwo przypisać konkretnym ludom, a ewolucję jednego stylu na przestrzeni lat można prześledzić, eksperci już na wczesnym etapie badań archeologicznych zdali sobie sprawę, że ceramika to najlepszy sposób na analizę różnych poziomów w badanych stanowiskach – nie tylko po to, by określić wiek naczyń, ale także po to, by ustalić, kto mieszkał tam w danym czasie i z kim handlował. Problem z ceramiką Fenicjan, zwłaszcza tą znalezioną w Kartaginie i innych zachodnich stanowiskach śródziemnomorskich, polegał na tym, że początkowo nie wydawała się zbyt zróżnicowana. Ich głównym produktem był tzw. garnek polerowany na czerwono – przedmiot o ceglastoczerwonym odcieniu, niekiedy przechodzącym w bladopomarańczowy, z błyszczącą powierzchnią wewnętrzną. Wzory były konserwatywne. Dekoracje były minimalne lub całkowicie nieobecne. Najwyraźniej praktyczni Fenicjanie postrzegali swoją ceramikę jako materiał użytkowy. Przyzwyczajeni do handlu bardziej egzotycznymi i cennymi

przedmiotami, takimi jak biżuteria, skarabeusze i ozdoby, a także do handlu cudzymi towarami, jeśli tylko znaleźli na nie rynek zbytu, nie rozwijali zbytnio własnych wzorów ceramicznych, lecz polegali raczej na handlu greckimi i innymi towarami. Niemniej jednak, wszystkie rodzaje fenickich garnków nieuchronnie wędrowały po Morzu Śródziemnym i, oczywiście, istnieją we fragmentach, czasami w dużych ilościach, we wszystkich głównych stanowiskach, które były zajmowane przez Fenicjan przez jakikolwiek czas. Pomimo swojej wszechobecności, punickie garnki były, jak to ujął Rhys Carpenter, „długo odrzucane jako ponury ciąg nieodróżnialnej jednolitości", a zatem nie warte czasu archeologa na sortowanie – „pozbawione charakteru, którego nie da się wstawić do żadnego systemu chronologicznego, a zatem są archeologicznie bezwartościowe dla historycznych wniosków". Nieprawda, twierdzi Carpenter; Następnie cytuje prace Cintasa, który po wielu latach żmudnej pracy nadał ceramice Kartaginy i innych zachodnich stanowisk fenickich niezwykle potrzebną i wiarygodną sekwencję. Teraz po raz pierwszy możliwe jest przeanalizowanie części materiału z wykopalisk w południowych Włoszech, na Sycylii, Sardynii, w Afryce Północnej, a nawet w Hiszpanii, aby dowiedzieć się, kto tak naprawdę był pierwszy na zachodzie – Fenicjanie czy Grecy. Odpowiedź: Grecy. Zaskakujący wniosek. Carpenter dochodzi do niego dopiero po wyczerpującym przeglądzie wielu stanowisk punickich i analizie, która wykracza poza naczynia, obejmując dzieła sztuki, inskrypcje, a nawet nową metodę datowania samych naczyń poprzez laboratoryjną analizę cząstek magnetycznych w glinie. Cała ta analiza wykracza poza zakres tej książki, ale jej łączna waga jest niezwykle imponująca. Co więcej, zdaje się ona podkreślać wątpliwości, jakie inni feniccy eksperci wyrażali co do dokładności tych bardzo starych, tradycyjnych datowań. W szczególności potwierdza to argument wysunięty 80 lat temu przez J. Belocha, niemieckiego uczonego klasycznego. Beloch miał te same idee, które Carpenter wysuwa teraz, ale wyprzedzał swoje czasy. Nie miał na poparcie analizy ceramiki Cintasa; tradycja historyczna była zbyt silna i został wyśmiany. Jak więc pogodzić tradycję i nowe idee archeologiczne? Chciałbym zasugerować coś takiego: W próżni władzy, która nastąpiła po upadku mykeńskiej Grecji, Fenicjanie na wschodzie zaczęli wyciągać ręce. Dotarli do Cypru, Rodos, Krety, innych wysp Morza Egejskiego, a nawet samej Grecji. Udali się również na południe do Egiptu, a stamtąd na zachód. Podróżowali jednak jako handlarze, a nie osadnicy, w związku z czym w odwiedzanych miastach pozostawili niewiele śladów swojej wczesnej obecności poza towarami, którymi handlowali. Jeśli chodzi o niezamieszkane porty lub plaże, gdzie mogli rzucić kotwicę i wylądować tylko na jedną noc lub dwie podczas podróży, pozostawili po sobie niewiele śladów. Ten wzorzec aktywności zaczął się rozwijać około 1100 lub 1000 r. p.n.e. Tyr stale się rozwijał i do IX wieku ustanowił fenickie porty jako centra o dużym potencjale morskim i handlowym. Od tego czasu i przez kolejne 150 lat trwały serie najazdów Asyryjczyków ze wschodu. W pewnym momencie tego okresu ataki te stały się tak uciążliwe, że Fenicjanom – a zwłaszcza Tyryjczykom, którzy jako jedyni konsekwentnie stawiali opór Asyryjczykom – wydawało się rozsądne założenie kolonii na zachodzie, poza zasięgiem tych chciwych najeźdźców. Byłoby to nie tylko korzystne dla długoterminowych perspektyw Tyru, ale także pomogłoby w eksploatacji metali w Hiszpanii, co było okazją biznesową znaną już Fenicjanom. Jak na ironię, nawet w Hiszpanii mogli nie być pierwsi. Chociaż powszechnie uważa się, że to oni jako pierwsi zdobyli Słupy Heraklesa, wydaje się, że Grecy również tam ich pokonali. Fenicka ceramika i inne materiały archeologiczne w Hiszpanii odpowiadają opisanemu powyżej schematowi datowania, natomiast dwa greckie hełmy wojenne z wcześniejszego okresu odnaleziono na dnie rzeki wpadającej do Oceanu Atlantyckiego w Gades. Grecy, z nieznanych nam przyczyn, nie kontynuowali tej wczesnej ekspansji i nie zdołali rozwinąć żadnego regularnego handlu z dalekim zachodem. Fenicjanie to zrobili. Około 750 r. p.n.e., być może wcześniej, regularnie tam przybywali. Dopiero gdy coraz większa liczba greckich kolonistów zaczęła pojawiać się w południowej Italii i na Sycylii, fenicki szlak handlowy na zachód został zagrożony. Dopiero wtedy kupcy z Fenicji zajęli Sycylię i do tego czasu jedyną częścią, którą mogli zająć, był jej zachodni kraniec, którego sami Grecy jeszcze nie zajęli. Pierwszy fenicki przyczółek na Sycylii prawdopodobnie znajdował się na wyspie Motya, która prawdopodobnie została po raz pierwszy zasiedlona i ufortyfikowana około

700 r. p.n.e. Założycielami Motii byli najprawdopodobniej Kartagińczycy. Nie jest jasne, jak dokładnie Kartagina wpisuje się w ten obraz. Przyjętą datą założenia Kartaginy jest rok 814 p.n.e., kiedy to grupa dysydenckich arystokratów przybyła tam z Tyru. Problem z tą datą polega na tym, że w Kartaginie nigdy nie znaleziono niczego tak starego. Najwcześniejsze znalezione dotąd przedmioty pochodzą sprzed dobrych 75 lat. Najstarsze części pierwotnej osady zostały zidentyfikowane ku uciesze ekspertów najlepiej znających to miejsce. Twierdzą, że nigdy nie zostanie odnalezione nic starszego; pod spodem znajduje się jedynie podłoże skalne. To, co Kartagińczycy robili przez te pierwsze 75 lat – jeśli w ogóle tam byli – pozostaje tajemnicą. Niemniej jednak Kartagina została założona i szybko się rozwijała. Chociaż początkowo utrzymywała więzi z Tyrem i wysyłała tam przedstawicieli na uroczystości religijne, była na tyle odległa, że mogła być całkowicie niezależna i wypracować własny styl i siłę napędową. Aby przeciwstawić się rosnącej obecności Greków, Kartagina porzuciła tradycyjną fenicką politykę ścisłego trzymania się handlu i zarządzania własnym miastem. Rozszerzyła swoje zaplecze, podporządkowała sobie miejscowe plemiona, rozwinęła armię najemników i dużą flotę wojenną i zaczęła mówić w imieniu wszystkich zachodnich miast fenickich. Stała się potęgą kontrolującą zachodnią część Morza Śródziemnego i rozwinęła agresywną politykę zagraniczną. Rozpoczęła wojny i zaciekle broniła się w wojnach, które jej wymuszono. Kartagina stała się czymś zupełnie innym niż jej macierzyste miasto, Tyr. Ważąc wszystkie te kwestie, można śmiało powiedzieć, że Grecy stworzyli Kartaginę, dając jej bodziec do stania się tym, czym się stała. Z pewnością błędem byłoby twierdzenie, że Kartagina – czy Fenicja – była już zasiedlona na zachodzie lub stanowiła ważną potęgę w momencie przybycia Greków. To właśnie uporczywe trwanie tej drugiej i zasadniczo romantycznej idei historii, która mgliście sięga setek lat wstecz, wciąż zaciemnia ogólny obraz faktycznego fenickiego przedsięwzięcia.

Czym handlowali handlarze

Przez tysiąc lat nie sposób było przemieszczać się po świecie śródziemnomorskim bez natknięcia się na towary fenickie. Wiele z tego, co tam sprzedawano – biżuteria, szkło, rzeźbiona kość słoniowa, zdobione metalowe misy – było fenickie. Występowały one w oszałamiającej różnorodności wzorów, które pomysłowi rzemieślnicy zapożyczali z innych kultur, aby zaspokoić zróżnicowane gusta swoich klientów. Na początku Fenicjanie prawdopodobnie działali raczej jako handlarze, pośrednicy, zadowoleni z możliwości handlu ceramiką minojską czy egipskimi skarabeuszami, lepszymi od tych, które sami mogli wytworzyć. Jednak ich umiejętności szybko rosły; z czasem sami wytwarzali większość przedmiotów dekoracyjnych, którymi handlowali. Ciekawym aspektem tego handlu jest to, że większość zachowanych przedmiotów pochodzi z innych krajów, co odzwierciedla sposób, w jaki feniccy kupcy zalewali ich rynki. Utrudnia to jednak rozróżnienie, co w istocie było „fenickie” w stylu, a co było czymś innym. Ogólnie rzecz biorąc, Fenicjanie czerpali z dwóch głównych źródeł stylistycznych: egipskiego i mezopotamskiego – to drugie było przewidywalne, ponieważ Kananejczycy i Mezopotamczycy mieli wspólne dziedzictwo kulturowe.

Wykwintnie rzeźbione miniatury z kości słoniowej

Chociaż Fenicjanie wytwarzali z kości słoniowej figurki, ozdobne tabliczki i tak użyteczne przedmioty, jak grzebienie i spinki do włosów, najbardziej znaczącym produktem Fenicjan były dekoracyjne panele meblowe. Asyryjczycy byli wielkimi znawcami fenickich mebli i zgromadzili ich tony w daninie i łupach. Same meble dawno zaginęły, ale od czasu do czasu pojawia się fragment inkrustacji z kości słoniowej, taki jak ten poniżej, wrzucony do studni podczas plądrowania asyryjskiego miasta Nimrud około 700 r. p.n.e. i odzyskany dopiero w 1951 r. Fenicka kość słoniowa pochodziła z ciosów słoni indyjskich i afrykańskich. Kartagińczycy hodowali słonie na farmach.

IV. Życie i śmierć w miastach portowych

Jak to było być Fenicjaninem mieszkającym w jednym z głównych portów? W co się ubierali? Jakie mieli domy? Jak prowadzili interesy i prowadzili księgowość? Jakiego pisma używali? Jak się rządzili? Jakie podatki płacili? Jak radzili sobie z srogimi sąsiadami, Asyryjczykami? A przede wszystkim, jak wyglądało fenickie miasto? Odpowiedzi na którekolwiek z tych pytań nie są łatwe do znalezienia. Jeśli chodzi o wygląd, najlepszym dowodem jest piękna płaskorzeźba ścienna z królewskiego pałacu Sancheryba w Niniwie. Przedstawia ona szczegółowo splądrowanie fenickiego miasta przez asyryjskich żołnierzy. Kimkolwiek był artysta, z pewnością miał żywe wyobrażenie o temacie. Wydaje się, że dzieło wywarło na nim największe wrażenie – bujność i przepych. Dla najeźdźcy, który przemierzył setki mil pylistych równin i wspinał się na żelazne góry, nie jest to zaskakujące. Fenicki port musiał wydawać się zielony i bogaty ponad wszelkie wyobrażenie. Woda płynie przez środek tej rzeźby – brzeg morza lub rzekę. Roi się od ryb. Rosną tam drzewa owocowe i winorośle. Wszędzie wyrastają palmy, niektóre z przelatującymi przez nie pulchnymi gołębiami, a nawet z gniazdem pełnym piskląt na jednej gałęzi. Samo miasto jest wspaniałe, otoczone murami z wieżyczkami. Jego domy są wysokie, z wysokimi, wąskimi drzwiami, kolumnadowymi oknami na piętrach i osobliwymi dachami, które zdają się odzwierciedlać próby artysty, by przedstawić kryte dachówką kopuły lub wysokie krzewy rosnące na dachowych ogrodach. Z miasta wychodzą rabusie, obładowani tobołami zdobycznej broni i jakimiś niezidentyfikowanymi kijami. Inni niosą meble, piękne krzesła lub stoły w egipskim stylu z rzeźbionymi głowami zwierząt. W tle inni żołnierze mierzą drzewa i ścinają je; dla żądnych drewna Asyryjczyków nawet drewno w fenickim mieście najwyraźniej było warte zabrania ze sobą do domu. Co to za miasto, tak pieczołowicie zachowane w pałacu Sancheryba? Nikt nie wie. Ale może to być Tyr, o którym wiadomo, że padł ofiarą gniewu Sancheryba około 700 r. p.n.e. Niezależnie od miejsca, które opisuje, ta płaskorzeźba daje unikalny obraz zewnętrznego wyglądu fenickiego miasta. Znany jest tylko jeden inny taki wizerunek, znacznie bardziej prymitywny relief wydrapany na grobowcu na przylądku Bon w Afryce – tak prymitywny, że niemal dyskwalifikuje się jako użyteczny dowód na to, jak naprawdę wyglądały miasta fenickie. Z oszałamiającą płaskorzeźbą z Niniwy łączy ją jedynie sugestia, że jej domy również miały dziwne zaokrąglone kształty – kopuły lub krzewy – wystające z dachów. O wnętrzu fenickiego miasta ani o tym, jak wyglądało tam życie, nie zachowały się żadne płaskorzeźby ani obrazy, żaden opis pisemny. W tym celu należy polegać na wnioskach wyciągniętych ze współczesnych kultur i religii, na aluzjach, które te kultury pozostawiają we własnej literaturze, na kilku fenickich inskrypcjach. Wreszcie, i co najważniejsze, należy polegać na archeologii – na tym, co wydobywa łopata, przekopując się przez warstwę po warstwie kulturowych pozostałości ukrytych w ziemi. Niestety dla archeologa, wszystkie główne wschodniofenickie miasta portowe – Byblos, Beryt, Tyr i Sydon – są nadal zamieszkane, a ich starożytne siedziby pogrzebane są obecnie pod większymi, współczesnymi miastami. Dotarcie do dawnych fenickich domów i świątyń jest niemożliwe poza okazjonalnymi wykopaliskami pod nowy hotel lub budynek biurowy. Odwiedzający ten region świata początkowo nie zdaje sobie sprawy z prawdziwej sytuacji. W głównych miejscach jego pobytu znajdują się ruiny, głównie greckie lub rzymskie: pojedyncze kolumny świątynne stojące tu i ówdzie, teatry na świeżym powietrzu, brukowane aleje, łaźnie, krypty magazynowe, rynny z płytek i fundamenty niezliczonych małych budynków – żaden z nich nie jest fenicki. Archeolodzy, którzy przeprowadzili wykopaliska w Byblos, natrafili na część miasta pochodzącą z przedfenickiej epoki brązu, z czasów Rib-Addiego lub wcześniejszych. Fenicja, o której traktuje ta książka, porty nadmorskie z 1200 r. p.n.e. lub późniejsze, nigdzie nie została jeszcze należycie odkryta. Ta niezwykła sytuacja może być na progu dramatycznej zmiany dzięki pracom prowadzonym obecnie przez Jamesa B. Pritcharda z Uniwersytetu Pensylwanii. W 1970 roku Pritchard i zespół współpracowników rozpoczęli wykopaliska na stanowisku położonym osiem mil na południe od Sydonu, które zidentyfikowali jako stare fenickie miasto Sarepta. Choć nigdy nie miało tak dużego znaczenia jak Sydon, być może ze względu na mniejszy i biedniejszy port, Sarepta była jednak kwitnącym miejscem już w 1600 roku p.n.e. Ostatecznie zajmowała kilkaset akrów i zamieszkiwało ją wiele tysięcy ludzi. Teraz jest to pole pszenicy, którego powierzchnia jest

niezamieszkana, a zatem znalezisko, które do tej pory nie było dostępne dla archeologów: fenicki port, na którym obecnie nie ma ludzi, co uniemożliwiałoby przeprowadzenie odpowiednich badań naukowych ruin. Od czego zacząć prace na dużym stanowisku, zawsze jest pewien problem. Pritchard rozpoczął od prostego, wąskiego wykopu, który, przy odrobinie szczęścia, doprowadził prosto do starej dzielnicy garncarskiej Sarepty. Jego zespół odnalazł 19 pieców i masę potłuczonych i spękanych garnków, zniszczonych podczas wypalania i wyrzuconych przez ich twórców. Już pół miliona fragmentów ceramiki zostało pracowicie skatalogowanych i zindeksowanych pod kątem ich kształtu i położenia na stanowisku. Łącznie, stopniowo zmieniające się style tych odłamków obejmują około 1000 lat nieprzerwanej produkcji. Ich absolutny wiek nie został jeszcze ustalony, ale Pritchard ma nadzieję, że uda mu się to zrobić, gdy będzie miał okazję rozszerzyć zakres wykopalisk. Jeśli i kiedy uda się ustalić dokładne daty dla tej sekwencji ceramiki, powinno to rozwiązać wiele zagadek dotyczących życia i historii Fenicjan, z których jedną z najbardziej irytujących jest wspomniany już problem datowania założenia kolonii kartagińskiej. Pierwsze badania Pritcharda wykazały już, że to jedno fenickie miasto – i prawdopodobnie inne – miało różne rzemiosła i gałęzie przemysłu skoncentrowane w oddzielnych dzielnicach. Ten schemat nadal występuje w wielu miastach Bliskiego Wschodu, ale dotychczas brakowało dowodów na to, że był on stosowany w jakimkolwiek mieście fenickim. Drugie badania zespołu Pritcharda w Sarepcie, jak dotąd bardzo ograniczone, zapowiadają się równie interesująco, jak pierwsze. Prace tam już ujawniły lokalizację sanktuarium (rozdział 5). Nieznana jest również natura umocnień Sarepty. Wszystkie główne miasta fenickie były miastami otoczonymi murami, położonymi w sposób ostrożny przed atakami, ale Sarepta wydaje się łamać tę zasadę. Nie leży na wyspie, nie leży na pagórkowatym cyplu, co nasuwa pytanie, czy była w stanie samodzielnie stawić opór atakom, czy też musiała liczyć na pomoc sąsiedniego Sydonu w sytuacjach kryzysowych. Istnieją pewne dowody na to, że Sarepta przez większość swojej historii znajdowała się pod polityczną dominacją Sydonu. Możliwe, że była swego rodzaju sydońskim przedmieściem, fragmentem starożytnego, przemysłowego, rozrośniętego miasta bez własnych umocnień. Dalsze wykopaliska mogą odpowiedzieć na to pytanie. Podobne miejsce istniało 24 kilometry dalej wzdłuż wybrzeża, w Tyrze. Tyr, zbudowany na wyspie, jest doskonałym przykładem miejsca, które Fenicjanie wybierali wielokrotnie w swojej historii. Wyspa leżała niecałe pół mili od brzegu. Otaczały ją niskie rafy i półki skalne, które można było rozbudować, tworząc falochrony dla portów „letnich" i „zimowych" po północnej i południowej stronie wyspy. Niedaleko, wzdłuż wybrzeża, rozciągał się płaski obszar niezwykle żyznej ziemi. Stał się on nadbrzeżnym przedłużeniem Tyru, był intensywnie uprawiany i nosił nazwę Uzu. Ponieważ był trudny do ufortyfikowania, Uzu był wielokrotnie najeżdżany przez najeźdźców. Sama wyspiarska cytadela Tyru była jednak trudniejszym orzechem do zgryzienia. Od około 1000 r. p.n.e. i przez około 700 lat później Tyr był miastem słynącym z obrony, odpornym na ataki lądowe dzięki położeniu na wyspie i bezpiecznym przed flotami inwazyjnymi dzięki sile własnej floty. Wytrzymał wiele oblężeń i tak naprawdę uległ tylko trzy razy w swojej długiej historii jako miasto fenickie. Jednym z prawdopodobnych powodów tego długotrwałego sukcesu jest fakt, że przez kilkaset lat ufortyfikowane miasta rozwijały coraz większą odporność na oblężenia dzięki stosowaniu gaszonego wapna jako wodoodpornego tynku. Materiał ten wprowadzono około 1400 roku p.n.e., a zanim Tyr stał się ważnym miastem, wapno gaszone było powszechnie stosowane do budowy podziemnych zbiorników – nakładanych na skałę lub cegłę. Przed wprowadzeniem gaszonego wapna jedynym możliwym dużym podziemnym zbiornikiem na wodę, o jakim miasto mogło marzyć, był zbiornik wykuty w litej skale. Wykucie zbiornika wystarczająco dużego, by zaspokoić zapotrzebowanie całego miasta na wodę przez miesiące, a nawet lata, było ogromnym zadaniem i nigdy nie było gwarancji, że nie pojawią się w nim pęknięcia. Teraz, dzięki gaszonemu wapnu jako uszczelniaczowi, można było budować niezawodne zbiorniki, również w miejscach, gdzie nie było litej skały. Ponieważ pragnienie zawsze stanowiło problem w oblężonych miastach bez źródeł w murach, rozwój zbiorników był wielkim dobrodziejstwem dla wyspiarskich fortec, takich jak Tyr. Kwestia obrony była odwiecznym

zmartwieniem fenickich miast. Nie dość, że nieustannie się ze sobą kłóciły, to jeszcze padały ofiarą znacznie większego zagrożenia: okresowych ataków armii asyryjskich z Mezopotamii. Asyria była tylko jednym z trzech potężnych najeźdźców – obok Babilonii i Persji – którzy nadciągnęli ze wschodu, by nękać miasta nadbrzeżne. Z tej trójki Asyryjczycy byli zdecydowanie najgroźniejsi. Wisili niczym czarna chmura nad tym obszarem i przez setki lat wpływali na politykę wybrzeża oraz losy jego miast i królów. Przez pewien czas Tyr, Sydon, Byblos i inne mniejsze miasta były chronione przez warunki geograficzne, przez państwa buforowe, takie jak Syria i Izrael, które trzeba było najpierw podbić, zanim Asyryjczycy mogli dotrzeć do wybrzeża. Biblia jest pełna agonii i wstrząsów tamtych lat. Prorok Izajasz pisał o nich barwnie, jego surowe ostrzeżenia przed spustoszeniem i ciemnością na ziemi wypowiadane były na tle grabieżczych armii asyryjskich, które atakowały miasta w głębi lądu i miażdżyły je jedno po drugim, rozpraszając ich ludność na wszystkie strony. „Ich strzały są ostre" – powiedział Izajasz o Asyryjczykach – „ich łuki są napięte, kopyta ich koni twarde jak krzemień, a koła ich jak huragan. Ich ryk jest jak ryk lwa, jak ryk lwów, tak, ryczą. Warczą i porywają swoją zdobycz; porywają ją i nikt nie może jej uratować". W odpowiednim czasie Asyryjczycy dotarli do wybrzeża. Przez pewien czas sytuacja nie była aż tak zła. Najeźdźcy dali jasno do zrozumienia podczas swoich dzikich kampanii na skalistych płaskowyżach, że miasta, które stawiają opór, zostaną bezlitośnie potraktowane – i tak się stało. Dla tych, którzy uznawali wyższość asyryjskiego króla, traktowanie było znacznie łagodniejsze. W rzeczywistości jeden z pierwszych najeźdźców, Aszurnasirpal II, zadał sobie trud, aby około 880 r. p.n.e. wezwać 69 574 urzędników, ambasadorów, rozmaitych innych ważniaków i po prostu zakładników z kilku różnych państw, w tym Tyru i Sydonu, na ogromną groblę, gdzie przez 10 dni „zapewnił im środki do oczyszczenia i namaszczenia się. Oddałem im należne honory i odesłałem ich zdrowych i szczęśliwych do ich ojczyzn". Ponieważ był to władca pełen pompatyczności, który wykuwał swoje wyczyny w kamieniu, aby były zapamiętane dla potomności, jakość jego rozrywki – gotowość gości do jej doświadczania – należy traktować z dużą dozą podejrzliwości. Wątpliwe jest, czy przedstawiciele Tyru i Sydonu odczuwali jakiekolwiek szczęście. Z pewnością byli pełni szacunku i bardzo prawdopodobne, że nieśli ze sobą dary, starannie odmierzone, aby były przyjemne, ale nie tak hojne, by rozpalić chciwość Aszurnasirpala. Asyryjczyków przyciągało bogactwo miast fenickich, którego nie dało się ukryć. Powracali raz po raz, czasem po to, by stłumić „bunty", które w rzeczywistości były odmową płacenia druzgocącej daniny, a czasem bez żadnego usprawiedliwienia. Byli po prostu samochwałami. Umieszczali inskrypcje, by uwiecznić siebie i swoje czyny. O swojej pierwszej wizycie na wybrzeżu około 840 r. p.n.e. asyryjski król Salmanasar III napisał: „Dotarłem aż do gór Hauranu, niszcząc, burząc i paląc niezliczone miasta, wywożąc z nich łupy, których nie sposób było zliczyć… Otrzymałem daninę od mieszkańców Tyru i Sydonu…". Kilka lat później napisał: „Wyruszyłem na miasta Hazel w Damaszku. Cztery z jego większych osad miejskich podbiłem, otrzymałem daninę od mieszkańców Tyru, Sydonu i Byblos". Warto zauważyć, że nie twierdził, że spalił Tyr ani Sydon. Mogły być dla niego zbyt silne; bardziej prawdopodobne jest, że go przekupiły. Przez wiele lat nękania przez Asyryjczyków, stosunki, które najwyraźniej zostały wypracowane, były pokojem za cenę rozsądnej daniny. Straszliwe zamieszki trwały w głębi lądu przez stulecie lub dłużej, ale feniccy kupcy najwyraźniej zdołali kupić sobie względną stabilność, jakiej potrzebuje społeczeństwo kupieckie, aby prosperować. Niestety, nie trwało to długo. Potomkowie Salmanasara stali się bardziej chciwi i żądni władzy niż on. Danina już nie wystarczała; celem był podbój. W VIII wieku p.n.e. Niektóre mniejsze miasta nadbrzeżne zostały faktycznie przyłączone do królestwa asyryjskiego, a władzę nad nimi sprawowali asyryjscy namiestnicy. Pod koniec stulecia pętla wokół szyi Tyru, prawdopodobnie najpotężniejszego z fenickich miast, zaczęła się zaciskać. Bezpieczny na swojej ufortyfikowanej wyspie, Luli, który był również królem Sydonu, w przeszłości obserwował najazdy Asyryjczyków i wytrzymał co najmniej jedno oblężenie. Teraz postanowił zaryzykować kolejne, kalkulując, że będzie mógł w nieskończoność stawiać opór asyryjskiemu najeźdźcy Sancherybowi. Mylił się. Według jednej z relacji, Sancheryb obrócił całe wybrzeże przeciwko Tyrowi, przejął flotę 60 sydońskich statków i zablokował Tyr od strony lądu i

morza. Luli bronił Tyru przez pięć lat, ale w końcu się poddał. Rzeźba na ścianie pokazana na tej stronie wydaje się przedstawiać Luliego wymykającego się blokadzie i uciekającego na pobliską wyspę Cypr. Nie ma sposobu, by z całą pewnością stwierdzić, czy donoszona współpraca innych miast fenickich przeciwko Tyrowi była roztropnym, oszczędzającym życie posunięciem narzuconym im przez Sancheryba, czy też wynikała z zaciekłej nienawiści między miastami. Po Sancherybie nastąpił Asarhaddon, a następnie równie krwiożerczy władca asyryjski, Asurbanipal, który ponownie rzucił się na Fenicjan. Tym razem role dwóch głównych miast nadmorskich mogły się odwrócić. Sydon został zmiażdżony, nie otrzymując żadnej pomocy od Tyryjczyków, którzy skupili się na utrzymaniu swojej pozycji do czasu wypracowania porozumienia. Najwyraźniej tak się stało. „Wyruszyłem przeciwko Baalowi, królowi Tyru" – napisał Asurbanipal. „Otoczyłem go… przejąłem jego [dostęp] od morza i lądu. Przechwyciłem i ograniczyłem ich zapasy żywności, zmuszając ich do poddania się mojemu jarzmu". Mimo tych wszystkich przechwałek Asurbanipal nie twierdzi, że zdobył Tyr. Wypracowano kompromis, w ramach którego król Baal zgodził się oddać córkę i kilka swoich siostrzenic jako konkubiny, wszystkie z wysokimi posagami. Dobre rozwiązanie dla króla Baala. Niezbyt dobre dla młodych księżniczek, które zostały wysłane do Asyrii i zniknęły z kart historii. Najgorsze ze wszystkiego dla „podejść" wspomnianych przez Aszurbanipala. Tymi podejściami były słabo bronione pola uprawne i osady miejskie Uzu i pobliskiej Akki na kontynencie. Pewne wyobrażenie o tym, jak prowadzono wojnę w tamtych czasach, można znaleźć w wyrytym oświadczeniu spisanym przez Aszurbanipala, gdy opuszczał wybrzeże: „Zabiłem tych mieszkańców Uzu, którzy nie słuchali swoich namiestników, odmawiając płacenia corocznego daniny. Zganiłem tych spośród nich, którzy nie byli posłuszni. Ich wizerunki i ocalałych ludzi uprowadziłem jako łup do Asyrii. Zabiłem tych mieszkańców Akki, którzy nie byli posłuszni, wieszając ich ciała na palach, które umieściłem wokół miasta". Podsumowując, obecność Asyryjczyków na wybrzeżu fenickim wydaje się mieć trzy fazy, którym towarzyszyła narastająca eskalacja przemocy i okrucieństwa. Pierwsza faza obejmowała sporadyczne najazdy i podboje, podczas których Asyryjczycy zadowalali się oddalaniem po zebraniu jak największej daniny z fenickich miast. Drugie ustanowiło zasadę ciągłej obecności Asyryjczyków, z rezydującymi asyryjskimi gubernatorami lub agentami, a nawet marionetkowymi królami pod kontrolą Asyryjczyków, aby zapewnić regularne płacenie danin. Trzecie, wynikające z niezdolności Asyrii do zapobiegania buntom i odmowom płacenia danin, doprowadziło do zniszczenia miast oraz rzezi lub deportacji całych populacji. Straszliwy los, ci Asyryjczycy. Ironią losu jest to, że niewiele wiemy o tym, kto był kim w miastach fenickich w okresie ich największego nękania przez Asyryjczyków, pochodzi od samych Asyryjczyków i wynika z ich niegasnącego pragnienia utrwalenia swoich czynów na kamieniu. Gdyby nie przechwałki Sancheryba, na przykład, nie wiedzielibyśmy nawet o istnieniu króla Luliego. Przy tak skąpych informacjach o samych władcach, jeszcze trudniej jest określić charakter ich rządów i zakres ich władzy. Że byli królami we właściwym znaczeniu tego słowa – że ich urząd był dziedziczny – możemy być pewni; monarchia była znanym modelem rządów we wszystkich starożytnych państwach semickich. Słowo oznaczające króla – „mlk" – jest niemal takie samo w języku hebrajskim i fenickim. Było to słowo o wielkiej mocy. Uznanie za króla dawało człowiekowi szczególną władzę oraz szacunek i podziw poddanych. Był on w bliższej relacji z bogami niż oni. W rzeczywistości niektórzy feniccy monarchowie zdają się przypisywać sobie pewne uprawnienia kapłańskie i świeckie. Jeden z tyryjskich arcykapłanów, Itobaal, objął tron po serii morderstw pałacowych. Nie ma żadnych zapisów o tym, aby zrzekł się swojej potężnej władzy kapłańskiej i przywilejów po objęciu tronu. Chociaż królowie i arcykapłani niewątpliwie wywodzili się z tej samej najwyższej klasy w społeczeństwie fenickim, ci drudzy mieli inny rodzaj władzy. Relacje Fenicjan ze swoimi bogami miały charakter przebłagalny; to znaczy, czuli się zobowiązani do składania im ofiar, aby zachować ich łaskę i zapobiec nieszczęściom. Bojąc się swoich bogów, bali się również kapłanów, którzy ich reprezentowali. Kapłani byli przecież ekspertami w kontaktach z bogami, w interpretowaniu ich życzeń, w łagodzeniu ich gniewu, w prawidłowym wykonywaniu skomplikowanych rytuałów niezbędnych do zapobieżenia złu spadającemu na całe miasto, w umiejętności przyjmowania

ofiar potrzebnych do wywołania uśmiechu bogów na ludziach. A jeśli kapłani mogli wpływać na miasta dzięki szczególnej relacji z bogami, o ileż łatwiej było wpływać na losy jednej istoty. Dlatego we wszystkich starożytnych społeczeństwach autorytet duchowy miał tak ogromny ciężar. Choć nie wspierała ich groźba natychmiastowego okaleczenia, uwięzienia czy śmierci, którą król mógł wymierzyć machnięciem ręki, kapłana wspierało coś równie przerażającego: kaprys bóstwa, który mógł zostać użyty do okaleczenia lub zniszczenia ludzi – a nawet ich potomków przez pokolenia – w sposób bardziej przerażający i ostateczny niż jakikolwiek król. Ta sytuacja musiała wywołać bardzo interesujące napięcie między królem a kapłanem. Nie wiadomo, jak ci dwaj równoważyli swoje uprawnienia, choć mogło istnieć znaczne, nieodłączne nakładanie się, wynikające z bliskich więzów krwi, które istniały między jednostkami na samym szczycie fenickiego społeczeństwa. Jedną z rzeczy, którą niemal na pewno musieli posiadać, było bogactwo. Związek między władzą a bogactwem, ścisły we wszystkich społeczeństwach, był niezwykle ścisły w kupieckich społeczeństwach Fenicji. W każdym mieście rządziła arystokracja oparta na bogactwie. W miarę jak bogaci kupcy i handlarze byli w stanie utrzymać swój majątek, we wszystkich miastach pojawiały się dynastie rodów szlacheckich, które tworzyły klasę rządzącą, z przywilejami kapłańskimi i innymi – zdobytymi, kupionymi lub zagrabionymi – stopniowo im przypisywanymi. Raz zdobyte, przywileje te, wraz z władzą i bogactwem, które dawały, były kurczowo trzymane jako „prawa". To właśnie te prawa, legitymizowane prawem lub zwyczajem, utrwalały klasę rządzącą. W ten sposób konsolidowało się warstwowe społeczeństwo, którego wszystkie warstwy były zajęte biznesem. Poniżej fenickiej szlachty znajdowali się pomniejsi kupcy, arriviści, cała rzesza rzemieślników, handlarzy, sklepikarzy i przedsiębiorców wszelkiej maści. Niżej znajdowali się jeszcze mniejsi włóczędzy i awanturnicy, których wspiera każde kupieckie społeczeństwo. Niżej znajdowali się niewolnicy. Trudno oszacować, jak powszechne było wykorzystywanie niewolników w Fenicji. Wzmianki pisemne o nich są niemal całkowicie nieobecne, a te, które przetrwały, są zaciemnione przez fakt, że słowo „niewolnik" mogło być również używane do określenia relacji między człowiekiem a jego bogiem lub człowiekiem a jego królem. Niemniej jednak niewolnictwo jako instytucja było powszechne na całym Bliskim Wschodzie; można założyć jego istnienie w nadmorskim Libanie. Gliniane tabliczki z nieco wcześniejszego okresu z Ugarit i innych miejsc zawierają interesujące wzmianki o niewolnictwie. Dowiadujemy się z nich, że możliwe było wyzwolenie – prawo niewolnika do wykupienia wolności, jeśli udało mu się zaoszczędzić pieniądze. Dowiadujemy się również, że sąsiednie państwa miały umowy o powrocie zbiegłych niewolników. Z innego źródła, Homera, dowiadujemy się, że Fenicjanie byli handlarzami niewolników. Głównym źródłem zaopatrzenia prawdopodobnie byli jeńcy wojenni, chociaż najwyraźniej istniał stały napływ do niewoli niektórych obywateli fenickich, którzy sprzedawali się, ponieważ nie byli w stanie przetrwać ekonomicznie jako ludzie wolni. Wszyscy inni Fenicjanie byli oczywiście wolnymi ludźmi, obywatelami swoich miast. Francuscy historycy Gilbert i Colette Charles-Picard podkreślają istotną kwestię, że fenicka jednostka polityczna, podobnie jak grecka, była miastem-państwem. Jeśli tak jest, to w jeszcze jeden sposób wyjaśnia, dlaczego „Fenicja" jako państwo nigdy nie powstała – każde miasto było zbyt zajęte własnymi sprawami i własną indywidualnością, a także zbyt zazdrosne o własną hegemonię, by znieść połączenie z królestwem obejmującym duże terytorium i wiele miast. W mieście-państwie obywatelstwo jest cennym atutem. A obywatelstwo oznacza, przynajmniej teoretycznie, że wszyscy obywatele będą mieli wpływ na to, jak sprawy są prowadzone. Wiele wiadomo o tym, jak Grecy, pomimo licznych zawirowań społecznych trwających przez stulecie lub dwa, zdołali przekształcić się z wysoce autorytarnych małych miast-państw rządzonych przez pojedynczych władców lub niewielkie grupy autokratów w społeczeństwa, w których obywatele niższej rangi mieli prawo głosu i z niego korzystali. Nie ma prawie żadnych informacji o tym, jak – i w jakim zakresie – miało to miejsce zarówno w Fenicji Wschodniej, jak i Zachodniej, ale istnieją pewne wskazówki. Jedna z nich pochodzi z Tyru. Tam, około 800 r. p.n.e., zwykli obywatele najwyraźniej dysponowali pewną siłą. Byli wystarczająco silni, by zapewnić jednemu ze swoich królów, Pigmalionowi, wsparcie potrzebne do przejęcia tronu w

pałacowym sporze z jego siostrą Elissą, którą wspierała frakcja bogatych arystokratów. Jej mąż (nawiasem mówiąc, arcykapłan) został zamordowany przez Pigmaliona, a Elissę z przyjaciółmi wysłano na zachód do Afryki, aby założyć Kartaginę. Nieco później w historii Tyru, około 600 r. p.n.e., wiadomo, że władza miejska spoczęła w rękach grupy suffetów, administratorów posiadających pewną władzę sądowniczą. Prawdą jest, że suffetes rządzili Tyrem tylko przez kilka lat i że zostali narzuceni miastu w czasie, gdy było ono podbite przez Babilończyków. Jednak sam fakt, że można było się do nich odwołać, sugeruje, że urząd ten istniał już wcześniej i posiadał pewne uprawnienia równoważące autorytet króla. Co więcej, Kartagina, założona przez tyryjskich uchodźców, miała suffetes jeszcze przed 600 r. p.n.e. Urząd ten prawdopodobnie został przeniesiony z Tyru, ponieważ przepływ wpływów w tym kierunku jest bardziej prawdopodobny niż z kolonii z powrotem do miasta macierzystego. Wreszcie, w samej Kartaginie istnieje duże prawdopodobieństwo, że nigdy nie było króla w tradycyjnym sensie. Z pewnością około 550 r. p.n.e. kartagiński przywódca – zazwyczaj generał – odpowiadał przed radą oraz senatem liczącym 300 członków i nie był nazywany królem. Na podstawie tych strzępów dowodów możemy domyślać się, że w całej Fenicji musiał mieć miejsce pewien rodzaj postępu społecznego poprzez osłabienie władzy królewskiej. Niewątpliwie jednak został on spowolniony wzdłuż wybrzeża fenickiego przez szczególną okoliczność. Zanim idee prawa wyborczego i demokracji zaczęły przenikać do Grecji i Rzymu, Asyria uległa Babilończykom. Miasta fenickie popadały coraz bardziej w niewolę władców babilońskich, a co za tym idzie, swoich zdobywców, Persów. Babilońscy i perscy potentaci byli absolutystami w najwyższym stopniu. Nabuchodonozor II lub Dariusz Wielki byliby oniemiali na myśl, że ktokolwiek mógłby im rozkazywać, co ma robić. Fenicjanie radzili sobie z tymi straszliwymi ludźmi najlepiej, jak potrafili. Źle było z babilońskim Nabuchodonozorem, władcą o przerażającym okrucieństwie, który w 572 r. p.n.e. W końcu udało mu się wygrać drugie z trzech wielkich oblężeń Tyru, które przegrał (to trwało 13 lat). Lepiej poradził sobie z Persem Dariuszem, który był bardziej oświecony i dawał fenickim królom znaczną autonomię. Mimo to fenickie trony, w obliczu ataków ze wschodu, stawały się coraz bardziej swego rodzaju przedłużeniem administracyjnego ramienia każdego wschodniego władcy, który pobierał daninę. Miał on swojego przedstawiciela u boku króla fenickiego, a jego zadaniem było obserwowanie i raportowanie. Pewnego razu asyryjski król Asarhaddon posunął się tak daleko, że polecił królowi Baalowi z Tyru: „Nie otwieraj żadnego listu, który ci wysyłam, bez obecności królewskiego namiestnika. Jeśli królewski namiestnik jest nieobecny, poczekaj na niego i otwórz go". Ten przegląd miał jednak na celu kontrolę na najwyższym szczeblu i utrzymanie płynności danin. To, jak Fenicjanie regulowali swoje codzienne sprawy, prawdopodobnie mało interesowało cesarskiego agenta, a szczegóły na ten temat są dziś nieznane. Król miał Radę Starożytnych, która mu doradzała, oraz „gubernatora", a właściwie zastępcę administracyjnego, który zajmował się zarządzaniem miastem i dworem. Poza tym informacje są skąpe. Nie wiemy, jaki system sądowniczy istniał w fenickim mieście, jak zorganizowano administrację miejską, jakie były tytuły i obowiązki urzędników (poza gubernatorem), jak utrzymywano porządek publiczny, a nawet kto i w jaki sposób go opłacał. Oprócz danin pobieranych przez Mezopotamię, musiały istnieć podatki lokalne. Dowody na to pochodzą z Ugarit, którego gliniane tabliczki wymieniają różne rodzaje podatków, a także – co jest echem dzisiejszych czasów – luki podatkowe. Możemy być pewni dwóch rzeczy. Po pierwsze, ponieważ biznes był domeną Fenicjan, społeczeństwo z pewnością było ukształtowane tak, aby sprawnie sobie z nim radzić. Musiała istnieć dość zaawansowana wiedza specjalistyczna w zakresie umów i porozumień oraz równie wyrafinowany mechanizm, oparty na kodeksie prawa cywilnego, aby radzić sobie z nieporozumieniami i sporami, które kwitną we wszystkich środowiskach kupieckich. Możemy założyć, że Fenicjanie posiadali system sądowy dobrze przystosowany do rozpatrywania spraw cywilnych i że kalendarze sądowe były nimi przepełnione. Po drugie, możemy założyć, że tendencja do władzy, przywilejów, faworyzowania – jakkolwiek by to nazwać – była silnie po stronie kupieckiej klasy wyższej. Wciąż pojawiają się odniesienia do szlachty i arystokratów. Tam, gdzie istnieją tytuły, tam idą przywileje; prawa niewątpliwie zostały ustanowione z myślą o faworyzowaniu szlachty.

Miło byłoby móc prześledzić pojawienie się pewnego rodzaju egalitaryzmu w rozwijającym się mieście fenickim. Jednak poza kilkoma wspomnianymi już wskazówkami, dowodów na to po prostu nie ma. A jednak koncepcja miasta-państwa – gdzie obywatelstwo jest zarówno przywilejem, jak i obowiązkiem – wymaga pewnego rodzaju egalitaryzmu. Miasta fenickie musiały go posiadać. Dlatego pytanie brzmi: Jak szeroko się on rozprzestrzenił w społeczeństwie? Prawdopodobnie wśród wszystkich obywateli, ale znacznie rozrzedzony w miarę jak schodził w dół drabiny zamożności. Zaletą arystokracji kupieckiej jest jej płynność. Każdy – każdy obywatel, rzecz jasna – może się do niej dostać, po prostu stając się bogatym człowiekiem. W takim społeczeństwie, gdzie zarówno bogaci, jak i biedni zajmowali się produkcją, bankowością, transportem morskim czy handlem wymiennym, zaczynało być słychać coś z gwaru codziennej fenickiej aktywności. Życie większości mieszkańców Sydonu, Tyru czy Sarepty nie mogło się zbytnio różnić od bazarowego życia dzisiejszych miast wschodniego Morza Śródziemnego – z rodzinnymi sklepami ze szkłem, ceramiką, metalem, stolarnią i jubilerstwem, skupionymi ramię w ramię w swoich dzielnicach (co sugerują skupiska ceramiki w Sarepcie). Towary były zapewne wystawione w zatłoczonych straganach, a targi i negocjacje toczyły się nieustannie, głównie na ulicach. Ulice były z pewnością wąskie (jak w dawnym Byblos), a zabudowa raczej skromna. Ograniczona przestrzeń na wyspach takich jak Tyr i potrzeba najłatwiejszych do obrony kamiennych murów otaczających miasta na kontynencie sprawiały, że wszystkie budynki i wszystkie aktywności były stłoczone razem. Magazynowanie, budowa i naprawa łodzi, żeglarstwo okrętowe i tak wyspecjalizowane zawody, jak obróbka lin i składowanie drewna, były ważnymi składnikami fenickiego handlu. Znaczna część tej działalności niewątpliwie wykraczała poza mury miasta. W Tyrze, gdzie cały ferment handlowy i produkcyjny odbywał się w maleńkiej cytadeli wyspiarskiej, a prawdopodobnie na większą skalę na kontynencie, musiał panować ogromny ruch w transporcie małymi łodziami między tymi dwoma miastami. Na przykład farbiarnie znajdowały się na lądzie. Biorąc jednak pod uwagę wrażliwość magazynów na lądzie, gotowe produkty – będąc niezwykle cenne – były raczej składowane na wyspie, gdzie można je było łatwo chronić. Do tego dochodził problem dostaw żywności z lądu. Tyryjczycy spożywali dużo ryb, ale ich ogród warzywny był pasem równiny nadbrzeżnej kontrolowanej przez miasto. Był on intensywnie obsiewany zbożami, winogronami, oliwkami, figami i daktylami. Niektóre lub wszystkie z tych roślin mogły być uprawiane również na wyspie, ale prawdopodobnie nie w ilościach wystarczających, by wyżywić mieszkańców Tyru; nadrzędną potrzebą była przestrzeń „biurowa" na małej wyspie, przeznaczonej niemal wyłącznie na świątynie, pałace, budynki rządowe, prywatne domy i potrzeby handlu. Przy całym tym zgiełku biznesowym, musiało być mnóstwo papierkowej roboty. Może wydawać się dziwne, że absolutnie nic z dokumentów Fenicji nie przetrwało w samej Fenicji. Powód jest prosty. Papier – papirus – ma krótką żywotność w klimacie Fenicji Wschodniej. Podobnie pergamin. Wysuszona na słońcu gliniana tabliczka jest trwalsza, ale nawet ona z czasem zanika, chyba że zostanie sztucznie utwardzona przez wypalenie. Co więcej, feniccy przedsiębiorcy, jako początkujący, prawdopodobnie używali glinianych tabliczek bardzo rzadko i większość swoich zapisów przechowywali na wygodniejszym w użyciu i przechowywaniu – ale bardziej nietrwałym – papirusie, który był głównym przedmiotem handlu z Egiptem. Zmiana jednego materiału pisarskiego na inny zazwyczaj wymaga zmiany metody pisania. Na długo przed pojawieniem się Fenicjan, metoda opracowana w Mezopotamii, gdzie papirus był trudno dostępny, a glina bardzo rozpowszechniona, dobrze nadawała się do tego drugiego materiału. Tabliczka gliniana jest miękka. Wydrapanie na jej powierzchni cienkich, zakrzywionych linii jest trudne, ale łatwo jest wycisnąć na niej małe, proste wgłębienia. Mezopotamscy skrybowie używali w tym celu specjalnego narzędzia pisarskiego, a pozostawiane przez nie odciski miały kształt klina. To właśnie te klinowate wgłębienia, ułożone w różne wzory, tworzące dużą liczbę znaków, nadały pismu mezopotamskiemu nazwę „klinowe", od łacińskiego słowa „cuneus", czyli klin. Znaki klinowe, choć idealne dla tabliczek glinianych, nie są idealne do szybkiego i łatwego pisania na powierzchni papieru ze względu na swoją złożoność. Dlatego też, gdy Fenicjanie (i prawdopodobnie ich najbliżsi przodkowie) zaczęli używać

zupełnie nowego materiału pisarskiego, zaczęli również używać innego zestawu prostszych znaków, które można było zapisywać wydajniej na tym nowym materiale. Ten nowy zestaw znaków doprowadził do powstania współczesnego alfabetu — jednego z największych osiągnięć kulturowych człowieka, powszechnie przypisywanego Fenicjanom. Historia jednak nie jest taka prosta. Fenicjanie nie „wynaleźli" alfabetu, ale mieli duży udział w jego rozwoju. Jak twierdzą eksperci, pismo zaczyna się od prymitywnych rysunków: człowieka, krowy, włóczni. Z czasem rysunek staje się tak uproszczony lub stylizowany, że nie wygląda już jak człowiek, ale nadal oznacza „człowieka" dla każdego, kto potrafi rozpoznać symbol — tj. „przeczytać" pismo. Późniejszy rozwój następuje, gdy te stylizowane znaki nie oznaczają już przedmiotów, lecz dźwięki. W tym momencie znak dźwiękowy oznaczający „człowieka" może pełnić wiele funkcji: można go używać z innymi znakami dźwiękowymi do tworzenia zupełnie nowych słów. Na przykład, w połączeniu z trzema innymi znakami dźwiękowymi – „ip", „cis" i „późny" – „człowiek" tworzy nowe słowo: „manipulować". Lub w połączeniu ze znakiem dźwiękowym „śnieg" tworzy kolejne: „bałwan" i tak dalej. Do 2500 r. p.n.e. mezopotamskie pismo klinowe, powszechnie uznawane za najstarszą znaną formę pisma, osiągnęło już punkt, w którym opierało się na abstrakcyjnych wzorcach klinowatych znaków dźwiękowych, kilkuset z nich. Dla niewtajemniczonych wyglądają one jak litery jakiegoś dziwnego alfabetu. Ale alfabety składają się z pojedynczych liter – pojedynczych dźwięków, których nie można dalej uprościć ani zredukować. Znaki mezopotamskie nie osiągnęły tego etapu. Niektóre z nich reprezentowały całe słowa, inne sylaby, żaden z nich nie reprezentował pojedynczych liter. Dlatego listę znaków mezopotamskich można nazwać sylabariuszem, ale nie alfabetem. Z biegiem czasu liczba znaków-słow w sylabariuszu mezopotamskim znacznie się zmniejszyła, podczas gdy odsetek tych, które reprezentowały sylaby, wzrósł. W czasach babilońskich i asyryjskich sylabizm klinowy zmniejszył się do sześciuset lub siedmiuset znaków, z czego około 150 to sylaby; dźwięki takie jak „my" lub „wa", „mu" lub „mo", „rid" lub „red". Oczywiście można je było łączyć z innymi sylabami, tworząc dosłownie tysiące słów. Pismo klinowe rozpowszechniło się szeroko na Bliskim Wschodzie i zostało przyjęte przez wiele języków. Unikalny system pisma klinowego został opracowany przez mieszkańców Ugarit. Ugaryci, podobnie jak Izraelici, a później Fenicjanie, byli ludami semickimi, którzy posługiwali się odmianami jednego języka ojczystego: północno-semickiego. Pisząc różnymi dialektami północno-semickiego, można było obejść się bez samogłosek, dlatego Fenicjanie i ich sąsiedzi je wyeliminowali. Czyniąc to, zdają się podążać za przykładem Egipcjan, którzy również pisali bez samogłosek i którzy mogli przenieść tę ideę do miejsc takich jak Ugarit i Byblos, z którymi utrzymywali długie kontakty. Jednak fenickie miasta nadmorskie były najwyraźniej na tyle sprytne, by przyjąć egipską ideę bez egipskich znaków. Egipt był pogrążony w złożonym systemie hieroglifów obrazkowych, których znaki wymagały czasu na narysowanie i liczyły się w setkach. Tylko około 25 z nich było prawdziwymi znakami dźwiękowo-sylabowymi. Tutaj Fenicjanie zdają się wkroczyć ze swoim epokowym wkładem w pismo. Według językoznawcy Ignace'a Gelba, z egipskiego systemu zaczerpnęli jedynie niewielką liczbę giętkich znaków dźwiękowo-sylabicznych, które on zawierał, i stworzyli z nich „alfabet". Co więcej, Fenicjanie nie zawracali sobie głowy wyszukanymi znakami egipskimi: obrazkami ptaków, postaci ludzkich i naczyń do picia. Zamiast tego zastąpili je znacznie prostszymi znakami, które najwyraźniej sami wymyślili: kołami, krzyżami, ukośnymi liniami – rzeczami przypominającymi współczesne litery, rzeczami, które zapracowani księgowi mogli szybko nabazgrać na papirusie. Słowo „alfabet" umieściłem w poprzednim akapicie w cudzysłowie, ponieważ fenicki model nie zawierał samogłosek – tylko 22 spółgłoski. Prawdziwy alfabet wymaga samogłosek, a jeśli mamy być precyzyjni, powinniśmy oddać Grekom uznanie za jego opracowanie, ponieważ to oni przejęli fenickie litery i po prostu dodali kilka własnych symboli oznaczających samogłoski. To wreszcie był alfabet. Choć ich wkład w rozwój pisma był ogromny, dziedzictwo pisane, jakie pozostawili nam Fenicjanie, jest rozczarowująco skromne, ze wszystkich powodów omówionych już wcześniej. Najstarszym znanym tekstem w pismach fenickich, liczącym więcej niż kilka słów, jest inskrypcja wyryta na dużym kamiennym sarkofagu znalezionym w Byblos. Sarkofag został później ustalony jako

grobowiec króla Ahirama (nie mylić z Hiramem z Tyru), który panował w Byblos na początku X wieku. Po odszyfrowaniu inskrypcja okazała się być ostrzeżeniem dla innych, sprowadzającym na nich klątwę, jeśli grobowiec zostanie otwarty. Cokolwiek innego z fenickiego pisma, które przetrwało, to również w dużej mierze inskrypcje, z których większość wyryto na stelach, czyli małych kamiennych monumentach. Składają się one z krótkich dedykacji dla boga lub bogini i są monotonnie do siebie podobne. Poza informacją, że Fenicjanie poświęcali się wznoszeniu takich pomników ku czci swoich bogów i podaniem imion wielu Fenicjan, nie mówią nam nic więcej. Bogate zbiory glinianych tabliczek z Ugarit, co prawda, wiele mówią o religii fenickiej. Należy jednak ponownie podkreślić, że Ugarit, zdaniem wielu, leży tuż poza skalą czasową Fenicji. Co więcej, nie jest to pismo „fenickie"; jest ono zapisane w ugaryckim i innych dialektach, wszystkie spisane pismem klinowym. To protofenickie miasto zostało najwyraźniej zniszczone, zanim papirus zdążył zastąpić glinianą tabliczkę, dlatego też zachowano starą mezopotamską metodę pisma. Dokumenty fenickie, które mogłyby posłużyć jako źródło informacji: rachunki handlowe, opowieści, kodeksy prawne, pisma historyczne, archiwa królewskie – wszystkie prawdopodobnie spisane na papirusie – w Fenicji w ogóle nie istnieją. Wciąż więc zastanawiamy się, jakie śniadania jedli ludzie, gdzie zbierali się, by plotkować i o czym plotkowali. Nawet ich strój jest niejasny. Co prawda, istnieją staranne malowidła Asyryjczyków i Egipcjan przedstawiające Fenicjan, ale zazwyczaj przedstawiają one ważne osoby: wysłanników handlowych, nosicieli danin, wysoko postawionych jeńców. Wszyscy nosili długie, przypominające suknie szaty, gęsto haftowane i zazwyczaj przepasane szerokimi pasami. Ich pokrewieństwo z formalnym strojem innych mieszkańców Bliskiego Wschodu jest bliskie, ale nie mówi nic o tym, jak cieśla nosił się na co dzień do pracy. Podobna niejasność dotyczy stroju kobiecego. Chociaż muzea przechowują znaczną liczbę małych figurek kobiecych, glinianych modeli i rzeźb z kości słoniowej wykonanych przez Fenicjan, większość z nich prawdopodobnie przedstawia boginie. W każdym razie możemy przypuszczać, że mężczyźni feniccy nosili brody. Nosili długie, dość misternie kręcone włosy. Biżuteria była w obfitości; Fenicjanie wytwarzali ją i handlowali nią w ogromnych ilościach i z pewnością byli jej znawcami na własny użytek. Biżuteria obejmowała pierścionki, bransoletki, kolczyki, naszyjniki, zarówno koralikowe, jak i wykonane z metalowych ogniw, oraz wszelkiego rodzaju wisiorki, w tym płaskie, okrągłe lub owalne płytki zwane plastronami. Plastrony, noszone na piersi, były podtrzymywane przez delikatne łańcuszki i zdobione emalią, klejnotami lub delikatnie grawerowanymi wzorami. W każdej spekulacji na temat stroju fenickiego należy pamiętać o trzech rzeczach. Po pierwsze, jak zauważono, ich własne przedstawienia odzianych postaci najczęściej przedstawiają bogów i boginie i mogą nie być wiarygodnym dowodem na istnienie zwyczajnego ubioru. Po drugie, nie byli oni jedynie zapożyczaczami, ale świadomymi zapożyczycielami, starającymi się sprostać stylistycznym wymaganiom swoich klientów. Zatem, chociaż wiele fenickich obiektów przedstawiających stroje, a nawet fryzury, może mieć silny egipski lub mezopotamski charakter, nie da się jednoznacznie stwierdzić, że sami Fenicjanie ubierali się jak wzorce, które naśladowali. Po trzecie, świat zmieniał się w toku historii Fenicjan. Wczesna Fenicja miała orientalny charakter; późna Fenicja uległa hellenizacji wraz z rozwojem Grecji. Greckie maniery i style okazały się niezwykle uwodzicielskie w całym regionie Morza Śródziemnego. Późnofenickie i kartagińskie stanowiska archeologiczne pokazują, że ich własne tradycje kulturowe nie dorównywały hellenizmowi, który zaczął rozprzestrzeniać się w świecie śródziemnomorskim po około 400 r. p.n.e. Sarkofagi zaczynają zdradzać wpływy sztuki greckiej, podobnie jak inne rzeźby. Zaczynają wkradać się greckie style ubioru. Greccy i feniccy bogowie zaczynają się mylić i niełatwo ich już rozróżnić. Nawet greckie mozaiki znajdowano w podłogach fenickich domów. Ale wszystko to miało miejsce bardzo późno. W czasach świetności, zanim zostały zniszczone przez Babilończyków, fenickie porty lśniły własnym blaskiem – zwłaszcza Tyr. Tyr można by nazwać Paryżem starożytnego świata. Był centrum luksusu, miejscem, gdzie gromadzono to, co najlepsze, gdzie pracowali najwybitniejsi feniccy artyści i rzemieślnicy. Biblijny prorok Ezechiel, w gwałtownym potępieniu tego bogatego, tętniącego życiem miasta, daje jego zdumiewający opis,

wymieniając niezwykłą różnorodność towarów i nie mniej niezwykłą sieć powiązań kupieckich. Oto kilka fragmentów tyrady Ezechiela:

„O Tyrze, powiedziałeś, jestem doskonały w pięknie". Twoje granice są na pełnym morzu, twoi budowniczowie uczynili twoje piękno doskonałym; wyrzeźbili wszystkie twoje belki sosnowe z Seniru; wzięli cedr z Libanu, aby wznieść nad tobą maszt. Zrobili twoje wiosła z dębów z Baszanu; wzmocnili twój pokład bukszpanem z wybrzeży Kittim. Twoje płótno było lnem, wzorzystym lnem z Egiptu, aby zrobić twoje żagle; twoje markizy były fioletowe i purpurowe z wybrzeży Eliszy. Mężczyźni z Sydonu i Arwadu byli twoimi wioślarzami; miałeś w sobie, o Tyrze, wykwalifikowanych ludzi, którzy służyli jako twoi sternicy. Miałeś wykwalifikowanych weteranów z Gebal, którzy uszczelniali twoje szwy. Miałeś wszystkie pełnomorskie statki i ich żeglarzy, aby sprzedawać twoje towary; mężczyźni z Faras, Lud i Punt służyli jako wojownicy w twojej armii; wieszali tarcze i hełmy wokół ciebie… Mężczyźni z Arwad i Cylicja obsadzały twoje mury, mężczyźni… byli rozmieszczeni w twoich wieżach. „Tarszisz był źródłem twojego handlu… oferując srebro i żelazo, cynę i ołów. Jawan, Tubal i Meszek handlowali z tobą, oferując niewolników i naczynia z brązu… Mężczyźni z Togarmanu oferowali konie, klacze i muły. Rodowie handlowali z tobą, wielkie wyspy były źródłem twojego handlu, płacąc ci należną kość słoniową i heban. Edom… oferował purpurowe granaty, brokat i delikatny len, czarny koral i czerwony jaspis. Juda i Izrael handlowali z tobą, oferując pszenicę z Minnith oraz mąkę, syrop, oliwę i balsam jako twój import. Damaszek był źródłem twojego handlu… oferując wino z Helbonu i wełnę z Suharu oraz beczki wina z Izalii… kute żelazo, kasja i słodka trzcina. Dedan handlował z tobą grubą wełną na czapraki. „Arabia i wszyscy wodzowie Kedaru byli źródłem twojego handlu jagniętami, baranami i kozłami. Handlarze z Szeby i Rama handlowali z tobą, oferując najwyborniejsze przyprawy, wszelkiego rodzaju kamienie szlachetne i złoto jako twoje podstawowe towary. Harran, Kanne i Eden, handlarze z Aszuru i całej Medii, handlowali z tobą; byli twoimi handlarzami wspaniałymi tkaninami, fioletowymi tkaninami i brokatami, w magazynach kolorowych tkanin zwiniętych i przewiązanych sznurem". To Fenicja w samym jej szczytowym okresie — jej żywość spotęgowana przez ponure proroctwo Ezechiela: podbój mieszkańców Tyru przez Babilończyków, który rzeczywiście nastąpił w 572 r. p.n.e. Ten atak Babilonu stanowi punkt zwrotny w historii Fenicji. Tyr przeżył koszmarne chwile z rąk Nabuchodonozora II i powoli podnosił się po straszliwym, 13-letnim oblężeniu, które na niego nałożył. Nigdy już nie stał się najważniejszym miastem fenickiego świata. Po pierwsze, kolonia Tyru, Kartagina, położona daleko na zachodzie i poza zasięgiem asyryjskiego lub babilońskiego niszczyciela, liczyła wówczas prawie 250 lat i stała się większa i potężniejsza niż sam Tyr. Odtąd Fenicja Zachodnia, coraz bardziej oddalając się od ojczyzny pod względem stylu, polityki i handlu, zaczęła tworzyć własną historię. Coraz bardziej przyćmiewała Fenicję Wschodnią na Morzu Śródziemnym. Ale dawne porty handlowe miały jeszcze przed sobą długą drogę. Odporność i akomodacja zawsze były ich mocną stroną. Zacisnęli zęby i wytrzymali Babilończyków. Następnie w 539 roku p.n.e. sam Babilon padł pod naporem Persji – cud – a miasta Fenicji szybko podjęły działania mające na celu dostosowanie się do nowego zdobywcy. Ku ich ogromnej uldze, Persowie okazali się stosunkowo rozsądnymi ludźmi z dobrymi pomysłami na rządzenie imperium. Persja nadal pobierała daniny, a nawet włączyła Fenicję do jednej ze swoich satrapii, czyli prowincji. Persja jednak również trafnie dostrzegła strategiczne znaczenie tego obszaru w swoich szerszych planach i pozwoliła fenickim królom kierować własnymi państwami. Monarchowie zostali wręcz wyniesieni do rangi niemal sojuszników. Z radością dostarczali Persom floty wojenne, najpierw na wyprawy przeciwko Egipcjanom, a później przeciwko Grekom. Perska dominacja na Bliskim Wschodzie miała stabilizujący wpływ i pomogła Fenicji na trzy sposoby. Po pierwsze, Persja ustanowiła wewnętrzny system przesyłek pocztowych – rodzaj ekspresu konnego z regularnymi postojami na trasie – co znacznie przyspieszyło komunikację. Po drugie, system monetarny, niedawno przyjęty przez Greków i Lidyjczyków, został przejęty przez Persów wkrótce po podboju Lidii. Wybili własne monety i uczynili je standardem wymiany w całym swoim ogromnym

imperium. Dla ludzi handlujących, takich jak Fenicjanie, dostęp do takiego standardu był darem niebios. Po trzecie, aramejski, semicki dialekt zapisany fenickimi znakami, został zaadaptowany jako lingua franca od jednego krańca imperium perskiego na drugi, od Morza Egejskiego po Indie. Oznaczało to, że wszelkie transakcje handlowe i prowadzenie dokumentacji, którymi zajmowali się feniccy kupcy, mogły być teraz prowadzone w języku niemal identycznym z ich własnym i zapisywane pismem, które sami stworzyli. Podsumowując, choć porty fenickie ponownie stanęły przed problemem radzenia sobie z niezwykle potężnym imperium ze wschodu, perska kontrola była stosunkowo łagodna i prosperowały pod jej rządami. Byli nawet na tyle zadziorni, by się spierać. Według Herodota, gdy perski król Kambizes podbił Egipt w 525 r. p.n.e. z pomocą fenickiej floty dowodzonej przez fenickich admirałów, zaproponował kontynuację wyprawy na zachód i podbicie również Kartaginy. Tyryjczycy jednak stanowczo protestowali, wskazując, że Kartagina jest kolonią Tyru. Twierdzili, że to oznaczałoby atak rodziców na własne dzieci i oświadczyli, że jeśli ten plan zostanie zrealizowany, wycofają całą swoją flotę. Kambizes po cichu porzucił ten projekt. Kiedy perscy królowie Dariusz i Kserkses zaczęli snuć plany podboju Grecji, wszystkie główne miasta fenickie skwapliwie skorzystały z okazji, by wspomóc to przedsięwzięcie. Grecja również stała się ich wrogiem, coraz bardziej ingerując w ich działalność handlową na Morzu Śródziemnym. Dlatego też energicznie przyłączyli się do planu przemarszu potężnej armii perskiej, wspieranej przez flotę fenicką, na północ wokół Morza Egejskiego. Armia ta miała przeprawić się przez Hellespont po moście z kadłubów statków połączonych linami, a następnie wtargnąć do Grecji, unicestwiając greckie miasta-państwa jedno po drugim. Na nieszczęście dla Fenicjan, opowiedzieli się po przegranej stronie, choć strata nie była ich winą; sami zrobili swoje i nie tylko. Pomagali przy budowie mostu przez Hellespont, naprawiając i wzmacniając jego liny i kotwice, gdy został porwany przez burzę. Kiedy inni inżynierowie Kserksesa napotkali na ciągłe zawalenia podczas prób przekopania kanału przez półwysep w Tracji, aby uzyskać bardziej osłoniętą trasę, Fenicjanie pokazali, jak można skutecznie wykonać przekop, kopiąc szerokie „V". Dostarczyli flotę okrętów wojennych, transportowców i statków towarowych dla wielkiej armii perskiej, która parła na południe. Stoczyli dzielną bitwę morską w Cieśninie Salamińskiej (strony 49-55). Mimo całej tej pomocy Persowie zostali pokonani w 480 r. p.n.e., a Fenicjanie ze wschodu stracili szansę na wyeliminowanie Greków jako rywali handlowych. W tym okresie Fenicjanie ponieśli również klęskę na zachodzie. Kartagińczycy od lat toczyli walkę z Grekami na Sycylii o kontrolę nad tą wyspą. W obliczu miażdżącej potęgi Persów na wschodzie Grecji, frakcja w Kartaginie przekonała rząd, że nadszedł czas na atak na Sycylię, gdy miasta-państwa w Grecji były zbyt zajęte ratowaniem własnej skóry, by wysłać posiłki na Sycylię. W związku z tym armia kartagińska wylądowała na zachodniej Sycylii w 480 r. p.n.e., ale niespodziewanie poniosła katastrofalną klęskę pod Himerą. W wyniku tych dwóch niepowodzeń na wschodzie i zachodzie grecka obecność zaczęła być odczuwalna wszędzie z coraz większą siłą: na Sycylii na zachodzie, w całym regionie Morza Egejskiego i w Jonii na wschodzie. Morze Śródziemne nabierało barwy helleńskiej, a nie azjatyckiej. To zabarwienie, o dziwo, miało miejsce w ciągu niemal wieku bezmyślnych, autodestrukcyjnych wojen między samymi Grekami. Ateny i Sparta były głównymi protagonistami, ale ich rywalizacja wciągnęła praktycznie każde z kilkudziesięciu greckich miast-państw. Kiedy wojna dobiegła końca około 350 r. p.n.e., Grecja była tak osłabiona, że nie mogła się równać z niektórymi prymitywnymi kuzynami z północy, Macedończykami. Po raz pierwszy w swojej historii Półwysep Grecki został skonsolidowany pod rządami jednego człowieka, króla Filipa II Macedońskiego. I to jego syn Aleksander Wielki nadał wschodniemu regionowi Morza Śródziemnego piętno hellenizmu, decydując się na podbój Persji. Z siłą ekspedycyjną twardej macedońskiej kawalerii Aleksander rozgromił armie perskie w kilku szybkich bitwach: nad rzeką Granik w 334 r. p.n.e. i pod Issos w 333 r. p.n.e. Jak wszyscy wojownicy w tym regionie, natychmiast zdał sobie sprawę, że porty fenickie będą musiały być dla niego bezpieczne, zanim będzie mógł uderzyć na południe do Egiptu lub na wschód do Persji. Zawsze praktyczne, miasta fenickie porzuciły swoich dawnych perskich przyjaciół, zaciągnęły swoje okręty i przygotowały się do targowania się z nowym zdobywcą – wszystkie miasta

oprócz Tyru.Bezpieczni na swojej wyspie, za blankami silniejszymi niż kiedykolwiek wcześniej, zahartowani w oblężeniach i dysponujący dużą flotą, Tyryjczycy byli pewni, że zdołają stawić czoła i ostatecznie zniechęcić tego szalenie niecierpliwego Macedończyka. Niecierpliwy mógł być, ale był też nieubłagany. Kazał wszystkim krzepkim mężczyznom na wybrzeżu znosić kamień i ziemię, ściągać pnie drzew z gór i zbudował groblę z lądu na wyspę. Tyr upadł w ostatnim, zaciekłym, dymiącym oblężeniu. Wszyscy jego mężczyźni zginęli, 2000 z nich ukrzyżowano. Kobiety i dzieci sprzedano w niewolę. Ze wszystkich mężczyzn, którzy wystąpili przeciwko Tyrowi, Aleksander jest jedynym, którego dzieło rąk wciąż jest widoczne. Jego grobla przetrwała. Znoszona przez pływy, stopniowo gromadziła się warstwa piasku. Dziś grobla ma ćwierć mili szerokości, podtrzymując domy i drogę. Tyr nie jest już wyspą.

V. O Bogach, Kapłanach i Ofiarach

Ugarit, starożytne miasto kananejskie położone wzdłuż wybrzeża od Byblos, zostało splądrowane i zrównane z ziemią przez najeźdźców morskich lub piratów około 1234 r. p.n.e., prawdopodobnie kilka dekad po upadku Troi. Można by je nawet nazwać niedocenianą Troją, ponieważ Ugarit nie miał ani Homera, ani późniejszej historii; nigdy nie został ponownie zasiedlony ani odbudowany. Choć był bogaty, mógłby nigdy nie zostać zapamiętany, gdyby nie został odkopany przez archeologa Claude'a Schaefera w 1929 roku. To, co Schaeffer znalazł w Ugarit, było zdecydowanie największą jak dotąd kolekcją protofenickich glinianych tabliczek dotyczących religii i mitów. Uczeni spierają się, czy teksty ugaryckie można właściwie nazwać fenickimi. Nie spierają się jednak o liczne spostrzeżenia, jakie te cenne teksty wniosły do wierzeń Fenicjan. Istotnym faktem, który potwierdzają teksty ugaryckie, jest związek między wieloma religiami tamtych czasów a tą częścią świata. Niezależnie od tego, czy była to religia kananejska, asyryjska, babilońska, czy prymitywna greka, ogólna struktura panteonu była taka sama, chociaż imiona bogów i bogiń – a także niektóre z ich specyficznych atrybutów – zmieniały się w zależności od miejsca. Zatem, choć nie można z całą pewnością stwierdzić, że kulty, które pojawiły się w różnych miastach fenickich, wywodzą się bezpośrednio z tych opisanych w tekstach ugaryckich, jasne jest, że kulty te są ze sobą ściśle powiązane. Można założyć, że miały one wspólne kananejskie pochodzenie i z biegiem czasu coraz bardziej się rozchodziły. W oparciu o ten model można opisać panteon fenicki. Jego głową był bóstwo męskie o imieniu El w Ugarycie. Jego imię oznaczało po prostu „bóg" i wydaje się, że zawierał w sobie najszersze aspekty bóstwa uniwersalnego. Nazywano go „ojcem bogów", „stwórcą stwórców". Mimo wszystko wydaje się, że był on raczej biernym bóstwem, które nadal istniało jako tajemnicza, ojcowska postać dla innych bogów i bogiń w późniejszych panteonach wielu miast fenickich. Aktywną rolę przejął Baal, bóg burz. To właśnie utożsamienie Baala z siłą, przemocą, młodością i dynamizmem charakteryzuje jego pozycję jako czołowego męskiego boga w całej Fenicji. Baal przetrwał do naszych czasów jako bóg fenicki, ten, który uosabiał dla hebrajskich proroków wiarę, która była zbyt konkurencyjna w stosunku do ich własnej. Biblia jest pełna gromkich deklamacji przeciwko złu Baala. Reprezentuje on, co za tym idzie, cały niehebrajski semicki panteon, ze wszystkimi jego atrybutami wielobóstwa, ofiarami z niemowląt, kultem bożków i tak dalej. W rzeczywistości religia fenicka obejmowała o wiele więcej niż tylko Baal. Miał on podstawową strukturę podobną do wielu współczesnych religii, opartą na bardzo starym micie, który próbował wyjaśnić tajemnicę cyklu pór roku. El miał małżonkę, Mot, swoją boginię, Aszerę Morza, której syn umierał każdego roku, symbolizując żniwa i wysychanie ziemi. Syn następnie odradzał się, sygnalizując powrót wiosny i nowe plony. Opracowania na temat tego mitu są różnorodne i interesujące. W tekstach ugaryckich Baal, kojarzony z deszczem i życiodajną wodą, jest młodym bogiem, który umiera. Znika pod ziemią. Tam siostra Baala, Anat, przychodzi mu na ratunek, znajduje jego ciało i je odzyskuje. W innym tekście, cytowanym przez kananejskiego uczonego J. Graya, sam Baal walczy z Motem:

Patrzą się na siebie jak rozżarzone węgle:

Mot jest silny, Baal jest silny:

Napierają na siebie jak dzikie woły;

Mot jest silny, Baal jest silny;

Kąsają jak węże;

Mot jest silny, Baal jest silny;

Kopią jak ogiery;

Mot leży, Baa! leży na nim.

Symbolika tekstu jest jasna. Ziemi udało się przetrwać śmierć i suszę. Młody bóg pojawi się żywy i zdrowy, gdy wiosną wykiełkuje nowy plon. Oprócz tych bogów i bogiń, w panteonie fenickim istniało wielu innych, z których niektórzy odpowiadali za określone czynności, jak sydoński Eszmun, którego szczególną prowincją było uzdrawianie. Inny, Dagon, był kojarzony z pszenicą; jeszcze inny, Reszef, z zarazą i tak dalej. Aby jeszcze bardziej skomplikować sprawę, tożsamości nie były stabilne. Na przykład El i Baal przybierali różne imiona i nieco inne cechy w zależności od miasta. W Tyrze Baal stał się Melkartem i jako taki został przeniesiony do Kartaginy. Nazwa pochodzi od słów „mlk" oznaczającego król i „qrt" oznaczającego miasto. Jednak bogiem w nowej nazwie był ten sam stary Baal, aktywny władca burz, bóstwo wiodące w większości miast fenickich. Wiodącą boginią żeńską była bogini płodności Astarte. Jej imię różni się w zależności od kraju, a nawet od miasta fenickiego. W Biblii znana jest jako Asztoret; w Babilonie jako Isztar; w starożytnej Grecji jako Afrodyta. Ale w Byblos była znana jako Baalat, czyli po prostu „pani", co wyraźnie stanowiło żeńską formę imienia Baal, co oznacza „pan". Ważną cechą wspólną fenickiej wiary z innymi ówczesnymi wyznaniami była ofiara. Ceremonie miały dwa cele. Prostszy i bardziej bezpośredni cel polegał na udobruchaniu boga, sprawieniu, by dobrze o tobie myślał, rozweseleniu twoich nadziei i złagodzeniu jego gniewu. Drugim celem obrzędów było wzmocnienie samego boga. Oddanie mu czegoś, zwłaszcza czegoś, co było dla ciebie niezwykle cenne, zwiększało jego wartość, a ostatecznie jego władzę. Brak regularnego i właściwego oddawania czci bogu nie tylko osłabiał jego pragnienie czynienia dobra, ale także osłabiał jego zdolność do tego. Fenicjanie – trzeba im to przyznać – praktykowali najwyższą formę ofiary: ludzkie życie. Innym wyznaniom udało się odejść od ofiar z ludzi, podobnie jak Fenicjanie w końcu. Ale zrobili to za późno. Hebrajczycy wiedzieli, że to praktykują i zbuntowali się. Nawet po tym, jak Fenicja Wschodnia najwyraźniej porzuciła ofiary z ludzi, były one kontynuowane w Kartaginie — i wywołały bunt Rzymian. Na dowody składania ofiar z ludzi w Fenicji Wschodniej mamy tylko kilka odniesień w Starym Testamencie. Na Fenicję Zachodnią dowody są niezbite: twarde dowody wykopane z ziemi. W Kartaginie znajduje się stary cmentarz, z którego wydobyto tysiące małych glinianych naczyń zawierających szczątki niemowląt i małych dzieci. Wśród tych urn znajdują się inne, zawierające szczątki młodych zwierząt: koźląt, jagniąt, kociąt, szczeniąt. Kartagińczycy najwyraźniej składali ofiary z niemowląt, ale używali również substytutów w postaci tych młodych zwierząt. Ale — i tu jest interesująca i przekonująca część — substytuty uznano za nieskuteczne. Jeszcze około 320 r. p.n.e. rodziny szlacheckie, które wpadły w zwyczaj zastępowania własnych dzieci młodymi niewolnikami, a może zwierzętami, obwiniano o klęskę militarną, która je dotknęła. Ponieważ znieważyli bogów, zostali zmuszeni do zadośćuczynienia i złożyli w ofierze 500 niemowląt z najlepszych rodzin. W tym czasie ofiary religijne w Kartaginie odbywały się już od około 400 lat. Niemowlęta przyprowadzano do Tofet, świętego miejsca, w którym znajdował się posąg lub bardzo stary i święty kamień, i tam zabijano.

Podobnie jak w przypadku innych ówczesnych religii, ofierze z mięsa towarzyszyło spalenie. To wyjaśnia liczne wzmianki o ognistych piecach, o „przejściu przez płomienie". Najwyraźniej maleńkie dziecko przyprowadzano do posągu, uspokajał je kapłan, a następnie podcinano mu gardło. Następnie umieszczano je w ramionach brązowego posągu, pod którym znajdował się piec lub ruszt. Istnieją przesłanki, że ramiona boga mogły być uruchamiane mechanicznie w taki sposób, aby wrzucić martwe niemowlę w płomienie. Z pewnością różnego rodzaju urządzenia służyły do wzmożenia podziwu wśród czcicieli i ich przekonania, że bóstwo odpowiada na akty pobożności. W przypadku pustego posągu jednej z bogiń (strona 107), w jej piersiach wiercono otwory, a następnie zatykano je woskiem. W odpowiednim momencie rytuału wosk topniał pod wpływem ciepła, a mleko, które wcześniej wlano do posągu, zaczynało cudownie wypływać z otworów. W surowej wierze, interpretowanej przez bojaźliwych ludzi jedynie przez kapłanów, władza kapłańska była oczywiście bardzo wielka. Kapłani byli liczni i podzieleni na hierarchię, z arcykapłanem zarządzającym każdą świątynią i innymi podległymi mu kapłanami. Ponadto w świątyniach byli skrybowie, rzeźnicy do rozcinania zwierząt ofiarnych, dozorcy lamp, fryzjerzy, których zadaniem było golenie głów arcykapłanów, a także liczni robotnicy, pomocnicy świątynni, ogrodnicy, rzemieślnicy i niewolnicy. Fenicjanie byli niezwykle zaabsorbowani swoją wiarą. W rezultacie kapłaństwo miało ogromne wpływy finansowe, a także polityczne i religijne. Ofiary składano nieustannie: wino, perfumy, kadzidło, zwierzęta, a czasami po prostu owoce lub warzywa. (Ludzie byli zarezerwowani na specjalne okazje lub straszne nieszczęścia). Kapłani prowadzili listy taryf nałożonych na każdy rodzaj ofiary. Przepisywali właściwą ofiarę, aby zmazać konkretne przewinienie, a także opłatę, która trafiała do kapłana za przyjęcie ofiary i za wykonanie rytuału z nią związanego. Jeden z takich spisów przewidywał, że za każdego poświęconego wołu kapłan otrzyma opłatę w wysokości 10 srebrników, a jeśli ofiara była składana w celu złagodzenia grzechu (a nie jako zwykły wyraz oddania bogu), część wołu również trafi do kapłana. Dzięki takim zwyczajom zarówno świątynie, jak i kapłani stali się bogaci, a urząd arcykapłana stał się łupem zazdrośnie strzeżonym przez niektóre szlacheckie rodziny. Wielkość hierarchii kapłańskiej i jej zróżnicowane obowiązki sugerują, że świątynie były miejscami dużymi i wyszukanymi. Niekoniecznie tak jest. Istnieją dowody na to, że znaczna część fenickiego kultu odbywała się w małych, plenerowych kapliczkach, które bardzo często były po prostu zaprojektowane. Skała, ołtarz lub niewielka osłona umieszczona na odsłoniętym „wysokim miejscu" sprawdzała się doskonale. „Miejsce" było ważne, ponieważ boskie moce przypisywano konkretnym wodom (źródłom lub rzekom), gajom drzew i kamieniom. Najstarszą znaną świątynią w Kartaginie jest mała, kwadratowa przestrzeń wykuta w skale. Poświęcona bogini Tanit, świątynia ma zaledwie jard szerokości. Jak wiele innych fenickich miejsc świętych, czerpała siłę ze swojego wieku i prawdopodobnie ze świętych przedmiotów znajdujących się na miejscu lub w jego pobliżu. Możliwe oczywiście, że niezwykle małe rozmiary tej świątyni odzwierciedlają jedynie skrajne ubóstwo tych, którzy pierwotnie osiedlili się w Kartaginie. Nieco większa świątynia, niedawno odkryta przez Jamesa Pritcharda podczas jego ekscytujących nowych wykopalisk w Sarepcie, ma formę małego, podłużnego budynku z podwyższonym ołtarzem z tyłu. Wokół wewnętrznego obwodu tego budynku biegnie kamienna ława lub platforma z otynkowanym blatem. Wystaje ona ze ściany niczym niski blat, na którym wierni składają ofiary bogu. Oprócz jedzenia i kadzideł, które regularnie składali, Sareptanie pozostawili również dużą liczbę małych glinianych figurków. Takie małe figurki znaleziono w wielu fenickich stanowiskach i niewątpliwie były one pewnego rodzaju darami wotywnymi. Niełatwo odpowiedzieć na pytanie, czy były to rzeczywiste wizerunki samych bogów. Jedna z figurek jest naga, co wyklucza jej przynależność do boga lub bogini; W długiej tradycji religii semickich bogowie i boginie byli zawsze przedstawiani w pełnym ubraniu, w bogatych szatach odpowiednich do ich pozycji. Nawet odziane figurki mogą nie być bogami. Niektóre z nich mają bardzo pełniejsze piersi, inne nabrzmiałe brzuchy — najwyraźniej przedstawiają kobiety w ciąży. Te cechy sugerują, że małe figurki były posągami przedstawiającymi petentów, nie bogów. Niosły wiadomości do bogów, prośby o odpowiedzi na modlitwy. „Uczyń mnie płodną" — zdają się mówić; „zapewnij bezpieczny poród mojego dziecka".

Po umieszczeniu w świątyni i poświęceniu bogu, gliniana figurka stawała się przedmiotem świętym, własnością boga. Nie można jej było zniszczyć. Przez wiele dziesięcioleci — a może i wieków — stos w małej świątyni musiał być niezwykle niezręczny. Sposób, w jaki pozbywano się niektórych figurek w Sarepcie, odkrył Pritchard, gdy jego zespół przekopywał się przez gipsową podłogę świątyni. Tam, starannie zakopane w prostokątnym wykopie, znajdowało się ich prawie 30 — można by je niemal nazwać trójwymiarowymi modlitwami, zachowanymi przez około 2500 lat. Sarepta może również zawierać odpowiedź na inne ważne pytanie dotyczące fenickiego życia religijnego: naturę świątyń fenickich. Istnieją przesłanki, że znacznie większa budowla – jak dotąd niewykopana – znajduje się obok małej kapliczki, którą właśnie opisałem. Pritchard nie może się doczekać, aby dotrzeć do tej większej budowli, ponieważ do tej pory wiedza o świątyniach fenickich była skąpa. W innych miejscach Fenicji odkryto kilka stanowisk świątynnych, ale wszystkie z nich istnieją jedynie jako zarysy fundamentów, a ich ściany nie mają więcej niż kilka stóp wysokości. Jednakże podążają one tak regularnym schematem, że zaczyna być możliwe opisanie planu piętra „typowej" świątyni fenickiej. Był to podłużny budynek z trzema pomieszczeniami: najpierw małym przedsionkiem, następnie dużą główną salą, a na końcu małym miejscem najświętszym z tyłu. Do tego ostatniego prowadziły krótkie schody i zawierał ołtarz i bożka lub dowolny przedmiot, który tam czczono. Czasami był to po prostu święty kamień zwany betylem. Niewielka kapliczka Pritcharda w Sarepcie miała najprawdopodobniej betyl stojący bezpośrednio przed ołtarzem; jest na niego przeznaczone miejsce w posadzce, ale kamień dawno już wyrwano i wywieziono. Świątynia fenicka była prawdopodobnie dość wysokim, wąskim, pudełkowatym budynkiem z wysokimi drzwiami wejściowymi. Do tych drzwi prowadziły schody, flankowane z obu stron wolnostojącą kolumną z drewna, kamienia lub brązu. Kolumny najwyraźniej miały własne nazwy i odrębne osobowości, a także prawdopodobnie boskie właściwości. Najbardziej szczegółowy opis świątyni fenickiej znajduje się w Biblii. Nie jest to bezpośredni dowód, ponieważ opisuje on budynek zlecony przez Salomona w Jerozolimie i przeznaczony do kultu Hebrajczyków. Niemniej jednak została zaprojektowana przez tyryjskich architektów i zbudowana przez tyryjskich rzemieślników. Pasuje do ogólnego modelu trzech pomieszczeń, nawet do schodów i kolumn przy drzwiach wejściowych, i dodaje wiele innych detali o wyraźnie fenickim charakterze. Została zbudowana z ciężkich bloków ciosanego kamienia, wykończonych wewnątrz cedrem, do którego dodano liczne złote zdobienia. Świątynia miała duże drewniane drzwi, których flankujące kolumny zostały wykonane z brązu przez tyryjskiego kowala, który wykonał również szereg brązowych koryt na wodę i innych pojemników do użytku zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz świątyni. Pomimo zasadniczych różnic między obiema religiami, podobieństwa niektórych detali świątyni są niezwykłe. Ważnym aspektem religii fenickiej była wiara w życie pozagrobowe. Dowody na to są liczne i zróżnicowane, a ich ślady wskazują na silne wpływy egipskie. Egipcjanie przywiązywali dużą wagę do konserwacji ciał zmarłych. Stali się mistrzami balsamowania, stosując metody i materiały, które nie są dziś do końca poznane. Zabalsamowane ciała umieszczano czasami w drewnianych trumnach mumiowych w kształcie ludzkich ciał z namalowanymi twarzami właścicieli, a czasami w masywnych trumnach wydrążonych z litych bloków kamiennych, które również miały kształt ciała i miały wyrzeźbione twarze na wiekach. Archeolodzy nazywają trumny w kształcie ciała trumnami „antropoidalnymi". W pewnym momencie swojej historii Fenicjanie, którzy wcześniej używali dużych glinianych urn grobowych lub grobowców wzniesionych z cegły lub kamienia, zaczęli adaptować człowiecze modele Egipcjan. Kilka z nich pojawiło się w Fenicji Wschodniej, w tym wspaniała trumna z czarnego bazaltu, która została użyta do pochówku sydońskiego króla Tabnita. Została ona odkryta, wraz z kilkoma innymi niezwykłymi znaleziskami, na cmentarzysku pod Sydonem w 1887 roku. Znalezisko było nietypowe, ponieważ nie zostało wcześniej włamane i splądrowane przez rabusiów grobów. Od ponad 2000 lat Sydon jest nękany przez rabusiów grobów. Co gorsza, lokalny wandalizm i potrzeba posiadania poręcznych bloków kamiennych do budowy domów, ścian, szop dla zwierząt, a nawet do brukowania dróg i wykonywania rynien, wyrządziły nieodwracalne szkody ogromnej

strukturze plastra miodu podziemnych grobowców, która powstawała przez tysiąc lat. Zasoby ciosanego kamienia zakopanego w ziemi były tak bogate, że miejscowi rolnicy od dawna mieli zwyczaj wynajmowania swoich pól każdemu, kto chciał je wydobyć. Sydon był miastem tak starym i bogatym jak Tyr. Przez znaczną część swojej późniejszej historii jego wybitni mieszkańcy używali dwóch rodzajów trumien. Jedna miała kształt zbliżony do domu i miała zapewniać schronienie zwłokom po śmierci. Druga, antropoidalna trumna, stanowiła zastępcze ciało na wypadek całkowitego rozkładu ciała w środku. Aby zapobiec rozkładowi, zapożyczano metody balsamowania od Egipcjan. Ponieważ Fenicjanie od dawna dostarczali Egipcjanom olejek cedrowy do balsamowania, można niemal z całą pewnością stwierdzić, że doskonale znali egipskie techniki. Jednak żadna metoda balsamowania nie mogła przeciwdziałać wilgoci nadmorskiego klimatu Fenicji i powolnemu przesiąkaniu wody do trumny, a ostatecznie przez jej szczeliny do samej trumny. Nieliczne fenickie mumie, które do tej pory odnaleziono, są, z jednym wyjątkiem, w stanie głębokiego rozkładu, a lniane opaski, którymi były owinięte, niemal całkowicie zgniły. Wszystkie znalezione fragmenty kości lub tkaniny pochodzą z kamiennych sarkofagów. Jeśli trumna była drewniana – a wiele prawdopodobnie było – to trumna, wraz z ciałem, zniknęła dawno temu. W Sydonie cmentarze znajdowały się na niskich wzgórzach otaczających miasto. W ziemi wykopano szyby, z których wychodziły komory na trumny. Czasami komory te były sklepione kamiennymi blokami, czasami wyciętymi w skale macierzystej. Często kilka z nich łączyło się w jeden szyb, rozgałęziając się na różnych poziomach. W bokach szybów wykuto stopnie, aby grabarze mogli się do nich dostać. Gdy sarkofag został ostatecznie umieszczony, komorę zamurowano, a szyb przy wejściu zamurowano kamieniem, a następnie całkowicie zasypano ziemią. Kamienny sarkofag sydoński, który powstał około V wieku p.n.e., był niezwykłym obiektem. Przybrał egipski, antropoidalny kształt, z ludzką twarzą wyrzeźbioną na pokrywie, ale twarz ta była w stylu greckim. W rezultacie powstała unikalna forma rzeźby, nieograniczona wyłącznie do Sydonu, ale mimo to osobliwie i charakterystycznie sydońska. Spośród nielicznych grobów odnalezionych w całym świecie fenickim, a obecnie znajdujących się w muzeach w Europie i na Bliskim Wschodzie, prawie wszystkie pochodzą z Sydonu. Wskazówki dotyczące natury sydońskich praktyk pogrzebowych zaczęły pojawiać się w połowie ubiegłego wieku. W tym czasie w Sydonie, podobnie jak w innych nadmorskich miastach Libanu, mieszkali obcokrajowcy. Wielu z nich było archeologami-amatorami, a handel przedmiotami grobowymi i rzeźbami kwitł w ożywionym, tajnym obiegu, nie tylko wśród niektórych obcokrajowców, ale także między lokalnymi handlarzami i kolekcjonerami w Europie. Mówię „tajny", ponieważ groby były nominalnie własnością Turcji. Tereny dzisiejszego Libanu były wówczas częścią Turcji – niegdyś potężnego Imperium Osmańskiego w końcowej fazie rozkładu. Miejsca takie jak Sydon nie interesowały zbytnio skorumpowanych i apatycznych sułtanów, którzy gnili w swojej stolicy w Konstantynopolu (obecnie Stambule), około 1000 kilometrów na północ. Sułtani albo nie byli w stanie powstrzymać ciągłego rabowania sydońskich skarbów, albo nie przejmowali się tym. Już w 1860 roku ta obojętność zaczęła frustrować europejskich archeologów pracujących w tym rejonie. Jeden z nich, Francuz Ernest Renan, zbadał ponad sto grobowców na jednej nekropolii, tylko po to, by odkryć, że wszystkie zostały splądrowane, ich sarkofagi rozbite, a rzeźbione kamienne ozdoby odłupane i wywiezione. W ciągu siedmiu lat sama nekropolia została całkowicie zdewastowana, a większość kamieni, z których składały się jej krypty, pojawiła się w nowych budynkach w centrum Sydonu. Zniknęło fascynujące miejsce historyczne. W tym samym roku amerykański misjonarz i antykwariusz, William Eddy, siedział pewnego wieczoru w swoim domu w Sydonie, gdy miejscowi robotnicy wpadli do niego z informacją o zdumiewającym odkryciu: kilku wyjątkowo dużych i pięknie zdobionych sarkofagach w szeregu połączonych komór na dnie szybu o szerokości aż 6 metrów. Eddy natychmiast udał się na miejsce, kazał się spuścić do szybu i w świetle latarni zbadał trumny. Grzebiąc w błocie i kapiącej wodzie, niemal dusząc się zanieczyszczonym powietrzem, zdołał zbadać pięć oddzielnych komór, w których znajdowało się nie mniej niż siedem sarkofagów. Jeden z nich miał czarny egipski design, kilka było typu fenickiego, człekokształtnego. Pozostałe jednak miały helleński design, znacznie

przewyższając bogactwem detali wszystkie dotychczas znalezione w Sydonie. Były to duże marmurowe trumny, których boki były bogato zdobione płaskorzeźbami. Po sporządzeniu jak najdokładniejszego opisu, na jaki go było stać w danych okolicznościach, Eddy został ponownie wyciągnięty na powierzchnię i wysłany z depeszą do Konstantynopola. Na szczęście dyrektorem starożytności w tamtejszym muzeum był wykształcony we Francji, szanowany urzędnik o imieniu Hamdy Bej. Zamiast pozwolić, by znaleziska zostały rozbite i trafiły na czarny rynek, natychmiast udał się do Sydonu, wystawił całodobową straż i w imieniu sułtana przejął wszystko, co znajdowało się na miejscu. Ostatecznie wszystkie sarkofagi znalazły bezpieczne miejsce spoczynku w Muzeum Cesarskim (Topkapi) w Stambule, gdzie mogą być dziś badane przez naukowców. Wspaniałe trumny w stylu helleńskim reprezentują ostatnie tchnienie sztuki fenickiej, która poddała się przemożnemu wpływowi greckiej estetyki. Co do tego, kto je zlecił lub kto ostatecznie je wykonał, można jedynie domyślać się. Pochodzą z około 300 r. p.n.e. i były najwyraźniej przeznaczone dla bardzo ważnych osób, być może dla lokalnych dynastów lub gubernatorów, którzy odziedziczyli tę część imperium Aleksandra po jego śmierci. Wykonane są z najwyższej jakości marmuru pentelickiego i pariańskiego, pierwszy importowany z Grecji kontynentalnej, drugi z jednej z wysp Morza Egejskiego. Prawdopodobnie jednak rzeźbili je na miejscu feniccy rzemieślnicy. Jak we wszystkim, z czym mieli styczność, Fenicjanie aż do ostatnich dni adaptowali materiały lub artystyczne innowacje innych – czasami jedno i drugie – i wykorzystywali je na własny użytek. Wydobycie sarkofagów z podziemnych komór było trudnym zadaniem ze względu na delikatność rzeźbień oraz ich ogromne rozmiary i wagę. Jeden z nich – znany obecnie jako Sarkofag Aleksandra, ponieważ jego fryzy przedstawiają króla Macedonii w walce i na polowaniu na lwa – ma 3,3 metra długości i waży 15 ton. Hamdy Bej rozwiązał problem wydobycia, kopiąc pochyły tunel w zboczu wzgórza i wywożąc sarkofagi na rolkach, jeden po drugim. Podczas gdy był pod ziemią, nadzorując te prace, rzucił okiem na sufit jednej z komór i zauważył, że kiedyś rabusie grobowców wycięli tam mały otwór. Przedzierając się przez otwór, znalazł się w innej komorze, na dnie drugiego, zupełnie niespodziewanego szybu grobowego, około 6 metrów od drugiego, większego. Nie był on tak głęboki jak poprzedni i nie był z nim w ogóle połączony. Również on miał oddzielne komory grobowe. Ten, do którego wpełzł Hamdy Bej, był pusty; rabusie grobowców go oczyścili. Ale jakimś trafem nie zauważyli, że jedna ze ścian została zamurowana. Hamdy Bej nakazał usunąć cegły i znalazł kolejne pomieszczenie z podłogą z grubych, ściśle przylegających kamiennych płyt. Rozkazał je podważyć, ale znalazł kolejną warstwę kamiennych płyt, a pod nimi trzecią. Pod nią znajdowała się wielka kamienna płyta. Najwyraźniej ktoś – lub jego spadkobiercy – bardzo się postarali, aby nikt mu nie przeszkadzał. Okazało się, że tym kimś był sydoński król. Kiedy ostatnia płyta została usunięta i Hamdy Bej mógł zaświecić latarnią do kolejnej komnaty, ujrzał przed sobą czarną bazaltową powierzchnię egipskiego antropoidalnego sarkofagu. Kiedy wyjęto go z krypty, okazało się, że wyryto na nim długi napis w języku henicki. Natychmiast się zidentyfikował:

„Ja, Tabnit, kapłan Astarte, król Sydonu, syn

Eszmunazara (który był również) kapłanem Astarte i królem

Sydonu, leżę w tej (trumnie). Kimkolwiek jesteś,

kto mógłby znaleźć tę (trumnę), nie otwieraj jej i

nie przeszkadzaj mi, bo nie dano mi srebra,

złota, ani żadnej biżuterii. Tylko ja sam leżę w tej (trumnie).

„Nie otwieraj jej, nie otwieraj jej, nie przeszkadzaj mi,

bo taka rzecz byłaby obrzydliwością dla Astarte.

Ale jeśli ją otworzysz i jeśli mnie zaniepokoisz, obyś nie miał (żadnego potomstwa) wśród żyjących pod słońcem, ani nie zaznał spokoju (ze zmarłymi)".

Ta inskrypcja przypomina inne, zabrane z fenickich grobowców i trumien. Z żałosnych zapisów profanacji fenickich grobowców jasno wynika, że taka klątwa prawie nigdy nie działała. Ale w tym przypadku zadziałała. Kiedy otwarto sarkofag Tabnita, w środku leżał król Tabnit. Leżał rozciągnięty, niemal nienaruszony, na plecach na desce z sykomory z wyrzeźbionym wgłębieniem, stanowiącym miejsce spoczynku jego głowy. Jego ciało zostało przywiązane do tej deski liną przewleczoną przez sześć srebrnych pierścieni przymocowanych do deski. Dwa z pierścieni wciąż były na miejscu, a w trumnie wciąż znajdowały się kawałki liny. Zarówno ciało, jak i deska unosiły się w oleistej, brązowawej cieczy. Wreszcie nadarzyła się okazja, by osobiście dowiedzieć się czegoś o sekretach egipskiego i fenickiego balsamowania, ponieważ Tabnit był niezwykle dobrze zachowany. Był szczupłym, ale silnie umięśnionym mężczyzną o wzroście około 175 cm. Jego skóra była wciąż nienaruszona, miękka w dotyku i zdradzała, że przeszedł ospę. Miał duży, orli nos, wydatny podbródek i falujące, rudobrązowe włosy, które nosiły ślady farbowania. Nacięcie na klatce piersiowej miało na celu usunięcie żołądka. Brakowało oczu. Poza tym, poza fragmentami nosa, ust i klatki piersiowej, które zostały wystawione na działanie powietrza, jego ciało było w zadziwiająco dobrym stanie. Co jeszcze bardziej zaskakujące, narządy również były w dobrym stanie. Ten dziwny, oleisty płyn, plus ilość drobnego piasku, w którym częściowo zanurzone było ciało Tabnita, dobrze się zachowały. Hamdy Bey nadzorował ostrożne wytaczanie sarkofagu Tabnita przez wykopany przez siebie tunel, a następnie poszedł na lunch. Podczas jego nieobecności nadgorliwym członkom ekipy udało się przewrócić trumnę. Cały płyn wypłynął na ziemię i przepadł. Wraz z nim zniknął sekret zachowania Tabnita. Tabnit był synem sydońskiego króla Eszmunazara – inskrypcja na jego trumnie wyraźnie to wskazuje. Był on również ojcem innego Eszmunazara, który został pochowany w pobliżu, w innym czarnym bazaltowym sarkofagu, który obecnie znajduje się w Luwrze. Sarkofag drugiego Eszmunazara zawiera bardzo długi napis, który potwierdza pochodzenie od jego ojca, Tabnita. Zawiera on również interesującą informację, że jego matka, żona Tabnita, była również siostrą Tabnita, kapłanką Astarte. Oto kolejny silny dowód na ścisły związek między władzą kapłańską a królewską w Fenicji oraz na próby utrzymania jak największej jej części w rękach jednej rodziny. Dwóch Eszmunazarów i jeden Tabnit. Do listy królów sydońskich dodano trzy imiona, co daje łącznie 18 znanych nazwisk. Są one jednak rozsiane na przestrzeni tysiąca lat i po raz kolejny pokazują, jak skąpa jest nasza wiedza na temat szczegółów historii fenickich miast. Typowa sydońska antropoidalna trumna – ten marmurowy obiekt o egipskim kształcie i greckiej twarzy – nie wzbogaca tej historii, ponieważ nigdy nie nosiła żadnej inskrypcji. Była to po prostu podłużna bryła marmuru, o niejasnym kształcie ciała i ze zdejmowaną pokrywą. Była podniesiona u stóp, w stylu egipskim, a w niektórych przypadkach wyrzeźbiono tam prawdziwe stopy. Zazwyczaj twarz była do pewnego stopnia stylizowana, ale, jak pokazują przykłady na stronie 116, podejmowano próby portretowania. Patrząc na te spokojne, gładkie oblicza z wpatrzonymi oczami, dostrzegamy przebłyski osób, które pod nimi leżały. Ta indywidualność i wrażenie realizmu były kiedyś o wiele silniejsze niż teraz, ponieważ Fenicjanie – znów podążając za grecką tradycją – starannie malowali posągi. Na wielu z nich zachowały się ślady kolorów. Jedna w szczególności, odkopana w Sydonie, ma niezwykle dobrze zachowaną farbę. Włosy są ciemnorude, twarz ma odcień jasnej skóry, a usta są czerwone. Oczy zostały wykonane z wielką starannością: brązowa tęczówka i czarna źrenica, bardzo jasnoniebieskie białko oka, czerwona kropka w kąciku i pojedyncze rzęsy – starannie domalowane. Ten sarkofag był niepokojąco realistyczny w momencie znalezienia i stanowił perełkę wśród pamiętnego zbioru 11 antropoidalnych trumien odkopanych w sieci dwóch szybów grobowych w pobliżu Sydonu w 1901 roku. Chociaż prace w Sydonie były kontynuowane sporadycznie od tamtej

pory i dokonano wielu dalszych odkryć, nic nie może się równać z tym pojedynczym znaleziskiem ani ze spektakularnymi znaleziskami Tabnit-Alexander z 1887 roku. Ciekawostką ujawnioną podczas wykopalisk w Sydonie jest fakt, że Fenicjanie byli ekspertami w dziedzinie stomatologii. Górna szczęka kobiety znaleziona w jednym z sarkofagów miała dwa zęby innej osoby, starannie przymocowane do jej własnych złotym drutem. Nie jest jasne, czy zabieg miał charakter kosmetyczny (nowe były zębami przednimi), czy też miał dać jej coś do gryzienia. Jednak w przypadku mężczyzny znalezionego w innym sarkofagu utylitarny charakter jego zabiegu jest oczywisty (strona 119). Cierpiał on na paraliż i musiał zmierzyć się z utratą lub obluzowaniem sześciu zębów. Wszystkie były utrzymywane na miejscu za pomocą pojedynczego pasma złotego drutu, niezwykle zręcznie wplecionego pomiędzy i wokół sąsiednich, twardszych zębów. Ich właściciel nosił to urządzenie przez lata, ponieważ zęby są mocno starte, co świadczy o długotrwałym użytkowaniu. Chociaż moda na trumny antropoidalne kwitła na wschodzie, nigdy nie przyjęła się w Kartaginie i innych zachodnich miastach fenickich. W tych miejscach znaleziono jedynie kilka rozproszonych egzemplarzy. Kartagina poprowadziła szyb grobowy na zachód i go rozbudowała. Niektóre szyby na cmentarzyskach w Kartaginie i okolicach mają nawet 30 metrów głębokości i świadczą o wysiłkach, jakie podejmowali ludzie, aby zabezpieczyć swoje groby przed naruszeniem. W każdym z tych potężnych szybów znajdują się zazwyczaj tylko trzy lub cztery komory grobowe, co wskazuje, że nie były one przeznaczone do przechowywania dużej liczby zwłok. Nie jest jasne, gdzie i kiedy Fenicjanie po raz pierwszy przeszli na kremację – jako alternatywę dla tradycyjnego pochówku, czyli inhumacji. Starszą praktyką nadmorskich Kananejczyków, silnie inspirowaną przez Egipcjan, był pochówek. Kremacje zdają się pojawiać w okresie przewrotów i najazdów XII wieku p.n.e., ponieważ po tym czasie pojawiają się tu i ówdzie pojedyncze przypadki kremacji w całym Lewancie. Praktyka ta prawdopodobnie została przeniesiona na zachód do Kartaginy i tam wzmocniona przez kontakt z lokalnymi zwyczajami północnoafrykańskimi, ponieważ istnieje o wiele więcej dowodów kremacji w Fenicji Zachodniej niż kiedykolwiek w miejscach pochówku w Fenicji Wschodniej. Chociaż mieszkańcy Zachodu mogli pozostawać w tyle za twórcami sarkofagów, byli bardzo aktywnymi twórcami nagrobków, czyli stel. Stele są znane w całej Fenicji Wschodniej i odzwierciedlają długą tradycję prostowania trzonów wotywnych lub kamieni pamiątkowych różnego rodzaju. W Fenicji Zachodniej jest ich niezwykle dużo. Sam Motya wyprodukował ich setki; Kartagina tysiące. Stele występują w szerokiej gamie rozmiarów i kształtów, ale typowa jest szorstka, podłużna forma z piaskowca lub wapienia, czasami ze spiczastym wierzchołkiem, zazwyczaj z prymitywnie wyrzeźbionymi elementami dekoracyjnymi na powierzchni. Wiele kartagińskich stel przedstawia symbol bogini Tanit: trójkąt zwieńczony poziomą belką i okręgiem nad nią (strona 131). Te trzy elementy łatwo łączą się, sugerując postać ludzką ubraną w koszulę. Tanit najwyraźniej miała również pewien związek z księżycem, ponieważ jej symbol często wieńczy sierp księżyca. To, kim była Tanit i jak wkradła się do kartagińskiego panteonu, pozostaje zagadką. Kiedy tyryjska księżniczka Elisa uciekła, aby założyć Kartaginę, zabrała ze sobą arcykapłana bogini Astarte i 80 młodych dziewcząt. Odtąd kult Astarte, z lokalnymi modyfikacjami, mającymi na celu wchłonięcie imion i cech greckich i rzymskich bogów, które czynią fenicki panteon tak zagmatwanym, przetrwał w taki czy inny sposób przez całą historię Kartaginy. Tanit mogła nawet powrócić na wschód i trafić do panteonu miast wschodnich. W 1971 roku ładunek małych glinianych figurek Tanit został znaleziony rozrzucony na dnie morza, zaledwie milę od wybrzeża Izraela, w pobliżu starożytnego fenickiego miasta Akka. Statek, który je przewoził, zniknął. Izraelscy archeolodzy, którzy dokonali tego odkrycia, uważają, że statek płynął na wschód – być może z Kartaginy, serca kultu Tanit – i został zatopiony przez sztorm tuż przed dopłynięciem do bezpiecznego portu. Gdyby płynął na zachód, do Kartaginy, argumentują archeolodzy, nie zatonąłby tak blisko miejsca wypłynięcia; jego kapitan nigdy nie opuściłby portu macierzystego w obliczu burzy. Sam Baal został przywieziony ze wschodu do Kartaginy, ale pojawił się tam pod imieniem Baal Hammon, czyli „władca ołtarza wonności", odzwierciedlając ogromną ilość kadzidła ofiarowanego podczas jego rytuałów. Jego dokładny status w Kartaginie jest niejasny, ponieważ naczelnym bogiem

męskim miasta-matki Tyru był Melkart, który również został przeniesiony do Kartaginy i czczony tam przez wiele stuleci. Rzeczywiście, we wczesnych latach historii Kartaginy pobożna grupa podobno wracała do Tyru każdego roku z wizytą państwową w wyraźnym celu złożenia Kartagińskich hołdów Melkartowi w jego świątyni. Melkart zatem reprezentuje więzi ze starym reżimem w ojczyźnie i jest tym samym wyrazem politycznego konserwatyzmu w nowym zachodnim mieście. Był bogiem patronem starych rodów szlacheckich w Kartaginie, szczególnie Barkidów, od których pochodził szereg błyskotliwych generałów: Hamilkar Barkas, dwóch Hazdrubalów, Hannibal i Magon. Słychać słabe echa politycznych zmagań w Kartaginie, walk klasowych, wzlotów i upadków bogów, w imieniu których walczyły ze sobą różne frakcje. Na dłuższą metę starsza para – Melkart i Astarte – straciła popularność na rzecz Baala Hammona i Tanita. Stracili również coś ze swojej funkcji. Z czasem Tanit zajęła miejsce Astarte jako matka ziemia dla Kartagińczyków. Stała się małżonką Baala Hammona w znanej fenickiej trójcy ojca, matki i syna. Według Gilberta i Colette Charles-Picard, nagły wzrost supremacji Tanita można powiązać z katastrofalną klęską, jaką Kartagińczycy ponieśli pod Himerą w 480 r. p.n.e., gdy próbowali wyprzeć Greków z Sycylii. Ta odraza skierowała Kartaginę do wewnątrz, coraz bardziej ku temu, co orientalne i afrykańskie. W tej atmosferze Tanit zyskała na znaczeniu. Niektórzy uczeni uważają, że miała afrykańskie pochodzenie, a jej dojście do władzy odzwierciedlało położenie geograficzne Kartaginy: małej fenickiej enklawy, położonej pośród licznej rdzennej ludności Libii, Numidów i Berberów, nieuchronnie dotkniętej zarówno małżeństwami mieszanymi, jak i wpływem lokalnych wierzeń. Jakkolwiek by było, ogromna liczba kamieni wotywnych poświęconych świętej Tanit, znalezionych w Kartaginie po około 500 r. p.n.e., świadczy o jej dominacji od tamtego czasu. Ale ona z kolei miała swoje dni. Choć kartagińscy kapłani byli zdecydowani zachować czystość i odrębność swojej religii (nie wspominając o własnym autorytecie), okoliczności zmusiły ich do stopniowego ustępowania miejsca bogom greckim i rzymskim, którzy nie tylko byli niezwykle atrakcyjni sami w sobie, ale także reprezentowali standardy bardziej postępowego, elastycznego i interesującego społeczeństwa, z żywszymi formami sztuki i bardziej oświeconą polityką w zakresie produkcji i handlu – a ostatecznie, w przypadku bogów rzymskich, z przytłaczającą armią. Na wschodzie bogowie feniccy i fenicki styl życia zostały szybko pochłonięte przez bogów greckich i greckie zwyczaje. Za czasów Aleksandra Melkart był już w połowie Heraklesem, podobnie jak w Kartaginie. Baal Hammon, ostatni z okrutnych bożków, którym składano w ofierze niemowlęta, został wchłonięty przez rzymskiego Saturna. Matka Tanit stała się Matką Junoną. Po upadku Kartaginy w 146 r. p.n.e. Jego kapłani przetrwali jeszcze kilka pokoleń, coraz bardziej skupiając swoją uwagę na afrykańskim kontynencie. Przez jakiś czas utrzymywali swój język przy życiu wśród Numidów, ale tylko przez jakiś czas. Wielki bóg Baal, który przez tysiąc lat przemawiał z mosiężnym brzękiem w wielu miastach, upadł. Jego orszak kapłanów rozpłynął się w bezimicie. Język, którym go czczono, ucichł do szeptu, a potem do milczącego stanu.

Świątynia zbudowana dla króla Salomona

Biorąc pod uwagę, jak bardzo prorocy Izraela nienawidzili fenickiego boga Baala i wszystkich jego dzieł, ironią jest, że najlepszy opis fenickiej świątyni pochodzi ze Starego Testamentu. Dawid, wojownik, który zjednoczył Izrael około 1000 r. p.n.e., miał niewiele czasu na budowanie świątyń, ale jego syn Salomon był zdeterminowany, by wznieść wspaniałą świątynię ku chwale zarówno swojego kraju, jak i Boga. Niestety, jego ludowi brakowało niezbędnych umiejętności, dlatego Salomon zawarł z królem Tyru Hiramem umowę na zespół architektów, murarzy, cieśli i kowali, którzy, jak można było się spodziewać, zastosowali projekt powszechnie stosowany w tym regionie. Świątynia była wąską kamienną bryłą o ścianach o grubości 10 stóp (ok. 3 m). Biblia podaje jej wymiary w łokciach – co jest niewygodne dla uczonych, ponieważ istniały dwa różne standardy: łokieć zwykły (17 cali) i łokieć królewski (21 cali). Eksperci są obecnie zgodni co do tego, że stosowano łokieć królewski. Na tej

podstawie ustalono, że świątynia króla Salomona miała następujące przybliżone wymiary wewnętrzne: długość 135 stóp, szerokość 35 stóp, wysokość 50 stóp.

Wnętrze: Projekt zaczerpnięty z Biblii

Świątynia fenicka składała się z trzech części: przedsionka, następnie sali głównej, a na końcu sekretnego Miejsca Najświętszego. Ten podstawowy układ doskonale odpowiadał Salomonowi, ponieważ rytuały hebrajskie i fenickie miały wiele wspólnego, różniąc się głównie naciskiem Hebrajczyków na oddawanie czci jednemu Bogu, który wyzwolił ich z niewoli w Egipcie i znalazł im dom w Kanaanie. Rekonstrukcja na tych stronach, również oparta na Biblii, przedstawia mały przedsionek, czyli Ulam, po lewej stronie. Czynności świątynne odbywały się w sali głównej, czyli Hekal. Dwa razy dziennie – wcześnie rano i o zmierzchu – odprawiano nabożeństwa ofiarne: zwierzęta składano w ofierze na zewnątrz, a kadzidło palono w środku. Dziesięć trójnogów to lampy, których lampy zapalają kapłani pomocniczy. Arcykapłan zapala kadzidło na ołtarzu przed schodami prowadzącymi do Miejsca Najświętszego (na odwrocie). Pośrodku sali znajduje się niski stół z 12 małymi bochenkami chleba, po jednym dla każdego plemienia Izraela. Ściany Hekal wyłożone są cedrową boazerią, ozdobioną fenickimi skrzydlatymi sfinksami i motywami lotosu. Wyniosła sala, zapach cedru i kadzidła, bogato zdobione ściany, słabo oświetlone przez wysokie, wpuszczane w sufit okna – wszystko to składało się na tajemniczość i piękno świątynnej służby. Cześć potęgowało poczucie bliskiej obecności Boga – tuż za schodami i za drzwiami Miejsca Najświętszego.

Miejsce Najświętsze: Tron Bożej Obecności

Miejsce Najświętsze było pozbawionym okien, ciemnym sześcianem, również wyłożonym cedrem, ale mniej bogato zdobionym niż okazały Hekal. Wstęp do niego był dozwolony tylko raz w roku, w Dniu Przebłagania, kiedy to składał specjalną ofiarę krwi, prosząc Boga o oczyszczenie Jego ludu z grzechów. Ta rekonstrukcja opiera się na drugiej uderzającej różnicy między religią hebrajską a fenicką. Hebrajczycy nie wierzyli w bożki i chociaż obecność Boga przebywała w tym świętym miejscu, nie było tam Jego posągu ani wizerunku, jedynie mała skrzynia – uważana za tron Boży – w której przechowywano kamienne tablice Mojżesza z wyrytymi na nich Dziesięcioma Przykazaniami. Tronu Bożego (znanego jako Arka Przymierza, ponieważ symbolizował on pakt między Bogiem a Hebrajczykami, że będą czcić tylko Jego) strzegły dwa duże sfinksy, których rozpostarte skrzydła ocierały się o ściany i stykały się nad nimi. Wykonane z drewna oliwnego, miały 5 metrów wysokości i były inkrustowane złotem. Biblia nazywa je cherubinami. Nic nie wiadomo o tym, co działo się wewnątrz fenickiej wersji Miejsca Najświętszego, poza tym, że w pomieszczeniu znajdował się wizerunek, który Fenicjanie czcili. To właśnie tam prawdopodobnie przechowywano betyl, czyli święty kamień. Jednak kto wśród Fenicjan miał do niego dostęp, pozostaje tajemnicą.

VI. Rozkwit i upadek Kartaginy

Historia Zachodniej Fenicji to tak naprawdę historia Kartaginy. Niewiele wiadomo o większości miast i faktów handlowych, które Fenicjanie rozsiali po Morzu Śródziemnym. Kartagina jest jednak inna. Jej początki, choć owiane mitem, kryją w sobie pokłady faktów. Choć przez wieki separacji od Fenicji Wschodniej oddalały się one od niej, można wyczuć smak jej społeczeństwa. Jej historia, choć pełna luk, jest znana, ponieważ Kartagina stała się tak wielka i potężna, że jej konkurenci, Grecy i Rzymianie, stali się nią zafascynowani, pisali o niej i ostatecznie nauczyli się jej nienawidzić tak, jak nienawidzić może tylko najbardziej zaciekły rywal. Według legendy Kartagina została założona w 814 roku p.n.e. w wyniku walki o tron Tyru między królem Pigmalionem a jego siostrą Elissą. Elissę poślubił arcykapłana Archabosa, który był nie tylko jednym z najbogatszych ludzi w Tyrze, ale także jej wujem. Oto po raz

kolejny uporczywy ślad splotu władzy świeckiej i kapłańskiej – obu podtrzymywanych pieniędzmi – który przenika tkankę fenickiego życia. Nie wiadomo, czy Archabus, wspierany przez frakcję arystokratów, sam był ambitny, czy też został podjudzony przez ambitną żonę. Tak czy inaczej, król Pigmalion kazał zamordować Archabosa. Następnie wyruszył, by odzyskać jak najwięcej fortuny Archabosa. Na szczęście dla Elissy, która teraz bała się o własne życie, majątek jej męża został skonfiskowany. Ta okoliczność dała jej akurat tyle czasu – pod pretekstem odebrania go i przekazania bratu – by potajemnie wyposażyć flotę statków, załadować na pokład fortunę, zgarnąć grupę przerażonych arystokratycznych popleczników i uciec na Cypr. Tam Elisa wybrała kolejnego arcykapłana, tym razem poświęconego Astarte. Elisa zwerbowała również – lub zwerbowała – 80 dziewic, które, jak głosi legenda, miały służyć jako religijne prostytutki w świątyni Astarte, którą miała zbudować. Tak wzmocniona, wypłynęła do Kartaginy. Wybierając łatwy do obrony przylądek, Elisa przystąpiła do targowania się z miejscowymi libijskimi plemionami o jego zakup. Wiąże się z tym ciekawa historia. Plemiona zostały przekonane do zgody Elisy, aby kupiła tylko tyle ziemi, ile da się pokryć skórą wołową. Jednak, tnąc skórę na bardzo cienkie paski, Elisa była w stanie otoczyć spory obszar na wzgórzu i wokół niego, które ostatecznie stało się twierdzą miasta i ostatecznie zostało nazwane Byrsa. Jak mamy rozumieć tę historię? Po pierwsze, jest to opowieść Greków, którzy postrzegali Fenicjan jako przebiegłych i przebiegłych kupców: taki plan byłby całkowicie w stylu Elissy. Co więcej, jest to plan, który mogli wymyślić sami Grecy, i pobrzmiewa w nim echa niechętnego podziwu. Ich największy bohater, Odyseusz, był oszustem, który radził sobie raczej podstępem i kłamstwem niż siłą. Wreszcie, jest fakt, że byrsa to greckie słowo oznaczające „ukryć". Czy to wyjaśnia, dlaczego kartagińska cytadela nosi nazwę Byrsa? Czy może jest to późniejsza próba wyjaśnienia zbieżności z dobrą historią? Donald Harden zauważa, że byrsa może być również greckim tłumaczeniem semickiego słowa oznaczającego „twierdzę". Samo „Kartagina" pochodzi od dwóch fenickich słów: qart (miasto) i hadaszt (nowy). W każdym razie Elissa i jej mała grupa szlachciców z pewnością nie mieli łatwego życia pośród obcych – i to wrogich. Ich historia przez sto lat jest pustką, z wyjątkiem dwóch kolejnych historii, obie napisane znacznie później przez Rzymian. Pierwszą historię opowiada Wergiliusz w swoim poemacie epickim „Eneida". Tam Elissę, pod imieniem Dydona, ukazuje się jako piękna i zmysłowa królowa, która marnowała swoje dni w bogatym pałacu z młodym kochankiem — uciekinierem z Troi o imieniu Eneasz. Ale Eneasz znudził się nią i odszedł — więc Dydona popełniła samobójstwo. Wersja Wergiliusza jest czystym mitem; upadek Troi nastąpił około 400 lat przed założeniem Kartaginy. Co więcej, Dydona z pewnością nie miała pięknego pałacu, w którym mogłaby się marnować. Wcześni Kartagińczycy prawdopodobnie byli przez kilka lat bardzo biedni i bardzo zależni od kontaktów z Tyrem. Jednakże, jak się okaże, samobójstwo wielokrotnie uderzało w surową duszę życia Kartagińczyków. Nie było niczym niezwykłym dla Elissy, że się zabiła, a lepszy powód, dla którego to zrobiła, podaje rzymski historyk Justyn piszący kilkaset lat po fakcie. Według jego relacji, gdy Kartagina była jeszcze młoda i słaba, nieokrzesany i groźny wódz sąsiednich plemion zażądał od starszyzny miasta, aby dała mu za żonę piękną Elissę. Alternatywą było zniszczenie małej, borykającej się z problemami kolonii. To postawiło starszyznę w trudnej sytuacji: pewni odmowy, bali się przekazać to żądanie bezpośrednio swojej władczej królowej i równie niechętnie przekazywali jej odmowę wodzowi. Dzięki temu, co Justyn nazwał „kartagińską sztuczką", w końcu zdecydowali się poinformować ją, że sami zostali poproszeni o zamieszkanie z sąsiednimi plemionami, aby ich ucywilizować, ale bali się tego zrobić z powodu niebezpieczeństw i nędzy życia plemiennego. Przewidywalnie Elissa zganiła ich za to, że nie chcą promować dobrobytu miasta kosztem własnej skóry. Gdy tylko to powiedziała, starsi wyjawili jej prawdziwe żądanie sąsiedniego księcia, a Elissa została złapana przez przykład, który próbowała narzucić starszyźnie. Tak więc poświęciła trzy miesiące na przygotowanie dużego stosu pogrzebowego. W wyznaczonym dniu poświęciła kilka osób (Justin nie mówi, kim były), a następnie wspięła się na stos i zadźgała się. Czy Elissa-Dido faktycznie żyła? Czy założyła Kartaginę i, jeśli tak, to kiedy? Co do jej istnienia nie ma wątpliwości; Wiadomo, że była siostrą

króla Pigmaliona, a wszyscy klasyczni historycy zgadzają się, że siostra Pigmaliona była założycielką Kartaginy. Czy Elisa założyła miasto w panicznej ucieczce, czy też nowa kolonia była celowym krokiem w tyryjskim planie zdobycia przyczółka na zachodzie, poza zasięgiem asyryjskich ciemiężców, to inna sprawa. Wraz z otwieraniem się zachodu i rozkwitem handlu metalami, korzystne dla Tyru byłoby posiadanie silnej bazy wzdłuż szlaku handlowego, w połowie drogi do Hiszpanii. Jeśli chodzi o to, kiedy to nastąpiło, tożsamość Elissy dostarcza wskazówki. Była prawnuczką niesławnej Jezabel z Biblii, fenickiej księżniczki. Ponieważ wiadomo, że Jezabel żyła około 850 r. p.n.e., Elisa byłaby dojrzałą kobietą około 40 lat później, dobrze zdolną do podjęcia się wielkiego zadania założenia kolonii w Kartaginie. Dlatego tradycyjna data jej dokonania – 814 r. – prawdopodobnie jest poprawna dopiero za kilka lat. Nie współgra to jednak z kłopotliwym problemem datowania ceramiki fenickiej. Jak wspomniano, badania archeologiczne w Kartaginie nie dostarczyły nam niczego, co można by datować wcześniej niż około 735 r. p.n.e., a zatem wciąż pozostajemy z pozornym problemem uwzględnienia tej luki, wynoszącej prawie 80 lat. W tym przypadku pomocne mogą być prace Jamesa Pritcharda z Sarepty. Datowanie radiowęglowe obiektów mających 3000 lat lub mniej nie jest wystarczająco precyzyjne, aby precyzyjnie je oznaczyć. Błąd rzędu 50–100 lat jest nieunikniony. Pritchard uważa jednak, że ogromny zbiór odłamków ceramiki, które znalazł w Sarepcie, może w końcu dostarczyć precyzyjnego oznaczenia. Sekwencja kształtów i stylów Pritcharda jest tak rozległa i precyzyjna, że gdy tylko znajdzie „twardy" obiekt pasujący do jego ceramiki — na przykład egipską inskrypcję zawierającą imię króla, którego daty są znane — będzie wiedział, ile lat mają fragmenty ceramiki z Sarepty. Egipskie towary były przedmiotem handlu przez Fenicjan i mogły być przechowywane w pobliżu pieców, które znalazł Pritchard. Ponieważ Egipcjanie lubili rzeźbić imiona i historie rodzinne na niemal wszystkim, co wytworzyli, Pritchard uważa, że to tylko kwestia czasu, zanim znajdzie potrzebną mu kontrolę. Gdy to zostanie osiągnięte, może zająć się kolejną zagadką: problemem czerwonej masy. Czerwona masa odnosi się do rodzaju wykończenia ceramiki, który był szeroko stosowany w Sarepcie od bardzo dawna. To był sposób Fenicjan na zapewnienie nieporowatej powierzchni wnętrza garnka poprzez malowanie go wodnistą mieszanką niezwykle drobnej, czerwonawej gliny, a następnie użycie małego narzędzia lub kamyka do wygładzenia tej czerwonej masy na powierzchni garnka podczas obracania się go na kole garncarskim. Po uszczelnieniu surowej powierzchni gliny czerwoną masą garnek był wypalany w piecu i powstawał ze szkliwionym wnętrzem, które jest rozpoznawalne wszędzie. Chociaż nieporowate garnki były wytwarzane na długo przed pojawieniem się Fenicjan, konkretna czerwona masa, której używali, wydaje się być unikalnie fenicka. Tak więc teraz problemem jest ustalenie, gdzie i kiedy fenicka czerwona masa miała swój początek. Pojawia się w Kartaginie i innych zachodnich stanowiskach w dużych ilościach. Przypuszcza się, że była tam eksportowana z Fenicji Wschodniej. Jeśli okaże się to prawdą, a data pierwszego użycia na wschodzie okaże się wczesna i – wreszcie – jeśli starsze fenickie naczynia z czerwonej gliny w Sarepcie okażą się zgodne z tymi znalezionymi w Kartaginie, wówczas wszyscy eksperci z ulgą będą mogli się zgodzić, że Kartagina była (wreszcie na podstawie dowodów archeologicznych, a nie słabszych dowodów literackich, na których musieli się opierać w przeszłości) tak stara, jak głosi tradycja. Najsilniejsze i najbogatsze z wielu fenickich placówek na zachodzie. W wojnach, początkowo z Grekami, a później z Rzymianami, zjednoczyła swoich afrykańskich sąsiadów, prowadziła kampanie, utrzymywała dużą flotę wojenną i kierowała polityką handlową. Marzenia innych zachodnich miast fenickich o niezależnej przyszłości handlowej – podobne do tych, którymi cieszyły się miasta-matki na wschodzie – zostały ostatecznie zmiażdżone przez politykę przejęć Kartaginy, kierowanej przez kolejnych żądnych władzy generałów. Kartagina początkowo oferowała zjednoczony front antygrecki innym fenickim miastom i placówkom handlowym i pod tym sztandarem zbliżyła się do stworzenia silnego imperium, jak tylko Fenicjanie mogli. Było to wielkie osiągnięcie, choć nie zawsze udane. Kartagińczycy mieli dwa problemy, których nie mieli ich wschodni krewni, ale zyskali również nowe możliwości eksperymentowania w rządzeniu i rozwijania nowych rodzajów stosunków handlowych z sąsiadami. Historia Kartagińczyków była na ogół pełna przemocy, ich religia ponura i

okrutna, a rząd autokratyczny. Nie ufali swoim przywódcom i zabijali wielu z tych, którzy ich zawiedli. Ich sztuka była przeciętna. Mimo to, przez ponad 500 lat byli siłą, z którą należało się liczyć na Morzu Śródziemnym. Czasami kontrolowali znaczną część ówczesnego cywilizowanego świata. W rzeczywistości, czasami byli jedynym elementem cywilizującym w tym świecie. Ich dwoma szczególnymi problemami w ciągu kilkuset lat byli Grecy i rdzenni Afrykanie. Ci pierwsi dorównywali Kartagińczykom pod względem zdolności adaptacji, energii, inteligencji i umiejętności walki. Oba narody stały się zaciekłymi rywalami handlowymi i toczyły długie, nierozstrzygające wojny. Afrykanie stanowili inny rodzaj problemu. Żyli w ogromnej liczbie i w początkach istnienia miasta byli na tyle silni, że pobierali coroczną daninę za ziemie zajmowane przez lud Elissy. Jednak wraz ze wzrostem potęgi Kartaginy, jej terytorium również się powiększało, zajmując okoliczne tereny rolnicze. Było niezwykle żyzne, a arystokratyczne rodziny nabyły rozległe ziemie, które intensywnie uprawiały. W końcu przestały płacić libijski trybut. Pierwotni mieszkańcy zostali wypędzeni z ziemi, zatrudnieni jako robotnicy rolni lub trzymali się jako drobni rolnicy, obciążeni wysokimi podatkami. Nie przyznano im obywatelstwa kartagińskiego, byli traktowani z pogardą i prawdopodobnie bardzo źle. Stali się niewiarygodnym elementem społeczeństwa kartagińskiego. Będąc znacznie liczniejszymi niż Kartagińczycy, tubylcy stanowili stałe zagrożenie i kilkakrotnie wręcz się buntowali. Najsłynniejszy bunt miał miejsce tuż po przegranej Kartaginy w pierwszej z trzech zaciętych wojen z Rzymianami i obciążeni miażdżącą kontrybucją, która uniemożliwiła jej wypłacanie należności najemnikom: byłym niewolnikom, zbuntowanym Grekom, wywłaszczonym Sycylijczykom, twardym rekrutom z Hiszpanii – szumowinom z Morza Śródziemnego. W 241 r. p.n.e. Najemnicy zbuntowali się i zdołali wzniecić powstanie wśród ludności libijskiej. Nastąpiły trzy i pół roku chaotycznych walk partyzanckich, naznaczonych mrożącymi krew w żyłach okrucieństwami po obu stronach. Ostatecznie bunt został stłumiony, ale Kartagina była tak osłabiona, że nie mogła oprzeć się dalszej presji ze strony Rzymian, by oddali swoje posiadłości na Sardynii. Ale to wszystko wydarzyło się znacznie później. Wczesnymi wrogami Kartagińczyków byli Grecy, którzy zaczęli napływać na Sycylię zaledwie około 80 lat po założeniu Kartaginy. Grupa przybyła z Chalkis w 735 roku. Inna przybyła z Koryntu w 734 roku, a trzecia z Megary w 728 roku. W ciągu 50 lat greckie osady powstały na całej wschodniej i środkowej Sycylii, każda całkowicie niezależna od pozostałych, a także od Grecji kontynentalnej. Niewiele wiadomo o stosunkach grecko-kartagińskich w tym wczesnym okresie. Jednak wraz z rozprzestrzenianiem się greckich osad, Kartagina wkrótce zdecydowała, że muszą zostać powstrzymane. Kartagina zaczęła rozbudowywać osadę w Motyi, na zachodnim krańcu Sycylii, ostatecznie przekształcając ją w miasto otoczone murami. Później Kartagina zawarła również sojusz z Etruskami, ludem władającym potężnym królestwem w środkowej Italii. Dzięki ich współpracy Kartagina zdołała umocnić swoją obecność na Korsyce i przejąć kontrolę nad kilkoma nadmorskimi osadami na Sardynii. Stopniowo Kartagińczycy – wspierani przez sojusz z Etruskami – byli w stanie wywierać coraz większe wpływy na Sardynię i Korsykę. Oznaczało to, że szlaki na zachód do Hiszpanii, zarówno na północ, jak i na południe od Sycylii, znalazły się w rękach Kartagińczyków. Grecy zostali skutecznie odcięci od bogactw, jakie zapewniał handel z Hiszpanią, a Kartagińczycy mogli teraz poświęcić się monopolowi na metal w Hiszpanii. Robili to intensywnie i wzbogacili się, ale w niezdrowy sposób. Kartagina traktowała tę fontannę ze srebra i cyny podobnie, jak hiszpańscy konkwistadorzy kilka tysięcy lat później traktowali strumień złota spływający do nich z Nowego Świata. Obaj traktowali swoje odkrycia po prostu jako kopalnie, źródła skarbów, które można było tanio zdobyć i drogo sprzedać, aby finansować armie i wzbogacać arystokrację. Podobnie Kartagina początkowo niewiele robiła ze swoim bogactwem, jedynie umacniała pozycję szlachty i finansowała wojny, które przywódcy zamierzali prowadzić w ramach swojej polityki handlowej. Kartagina nie tyle handlowała i wytwarzała wszelkiego rodzaju wysokiej jakości towary handlowe (jak jej macierzyste miasto, Tyr), co hurtowo handlowała metalami, kością słoniową i innymi surowcami. Te, poprzez handel, ostatecznie wpadły w ręce konkurentów, którzy często wykorzystywali je w bardziej kreatywny sposób. Gdziekolwiek greckie lub egipskie towary stały na straganach obok

tych z Kartaginy, te pierwsze przyćmiewały te drugie. W ten sposób Kartagina musiała kontrolować swoje rynki nie poprzez doskonałość swoich produktów, ale siłą – poprzez zdolność do blokowania konkurencji. Jej klienci, nie mogąc dostać niczego lepszego, musieli zaakceptować szereg towarów niskiej jakości, które Kartagina oferowała. Gospodarka Kartaginy opierała się na ogromnej ilości, a nie na jakości, i zalewała Zachód swoimi produktami. Łatwo winić Kartaginę za brak lepszego eksperymentu imperialnego, ale tego rodzaju osądy są naiwne. Ludzie robią, co mogą, w granicach własnego doświadczenia, własnej kultury i w odpowiedzi na konkretne naciski zewnętrzne. Kartagińczycy odziedziczyli autorytarny, arystokratyczny styl życia, zdominowany przez sztywną religię. Ponieważ byli narażeni na naciski ze strony Greków, Kartagińczycy podjęli działania mające na celu ich powstrzymanie, wykorzystując przywództwo wynikające z ich tradycji. Najwcześniejsi władcy Kartaginy są nieznani. Istnieją wzmianki o królu Malchusie, ale imię to prawdopodobnie pochodzi od starego semickiego słowa oznaczającego króla lub pana i może odnosić się do tytułu, a nie do pojedynczej osoby. Pierwszym kartagińskim przywódcą, którego historia rozpoznała z imienia, był „król" Mago. W rzeczywistości Mago był generałem, głową bardzo potężnej i bogatej rodziny arystokratów. Odniósł zwycięstwa nad Grekami na Sycylii, a około 550 r. p.n.e. ustanowił dynastię przywódców wojskowych – Magonidów – która miała odgrywać znaczącą rolę w kartagińskich sprawach wojskowych przez około 150 lat. Mago mógł, ale nie musiał, być faktycznym przywódcą państwa kartagińskiego. Według większości źródeł kartagińscy generałowie byli wybierani i najwyraźniej służyli z woli rady rekrutowanej z niewielkiej grupy rodów szlacheckich. Rada ta, polityka kupiecka i mniej więcej kierowały sprawami kraju według własnych upodobań. Wątpliwe jest, aby Kartagina kiedykolwiek miała następców królów. Wydaje się, że ośrodki władzy stanowiły rodziny, które zaciekle ze sobą walczyły. To właśnie na tym tle wyłonił się Mago. Podobno prowadził agresywną politykę zagraniczną w Kartaginie, rozbudował flotę wojenną, zawarł sojusz wojskowy z Etruskami i stworzył pierwszą armię najemną w Kartaginie. Najemnicy byli koniecznością, ponieważ brakowało uczciwych Kartagińczyków, by stanowić więcej niż klasę oficerską. Ale najemnicy również byli bardzo kosztowni, podobnie jak utrzymanie odpowiedniej floty. Pieniądze pochodziły głównie z handlu metalami, który chroniła nowa siła militarna. Nowa polityka, wraz z izolacją kolonii od Tyru, nieuchronnie odciągnęła Kartaginę od tradycyjnej fenickiej postawy pokojowego kupca i przybrała rolę zatwardziałego imperialisty. Jeśli Kartagina miała być policjantem zachodniego imperium handlowego, musiała otrzymać za to wynagrodzenie. Ponieważ inne fenickie osady na zachodzie znalazły się pod dominacją Kartaginy, ostatecznie miały one niewielki lub żaden bezpośredni udział w handlu metalami i nie miały nic do powiedzenia na temat tego, kiedy i gdzie toczone będą wojny – poza tym, że oczekiwano od nich pomocy w ich prowadzeniu i finansowaniu. Wojen było mnóstwo. Początkowo kampanie generalnie odnosiły sukcesy i podnosiły rangę Magonidów, którzy, według francuskich historyków Colette i Gilberta Charlesa-Picarda, „zdołali otoczyć swoją władzę mistyczną aurą, grając na nacjonalizmie i fanatyzmie religijnym". Mistyka wymagała, aby sami generałowie byli wzorem wiernej wiary punickiej, co zresztą czynili. Co najmniej dwóch z nich popełniło samobójstwo na polu bitwy, gdy uświadomili sobie, że ich strona przegrała. Oto kolejny aspekt tej samej mrocznej odmiany ofiary przebłagalnej, która wymagała zabijania niemowląt, aby zmazać narodowe grzechy lub niepowodzenia. Przywództwo Magonidów, oprócz trwałości, miało jeszcze jeden atut. Reprezentowało całą Fenicję Zachodnią, a nie tylko jedno miasto. Te dwa czynniki pozwoliły Kartaginie na luksus spójnej – choć nie zawsze inteligentnej – polityki zagranicznej, czego Grecy nigdy nie osiągnęli przed Aleksandrem Wielkim. Grecy byli zazwyczaj swoimi najgorszymi wrogami. To właśnie ich chroniczna niezdolność do porozumienia – zwłaszcza na Sycylii – ostatecznie doprowadziła do bitwy między Magonidami Hamilkarem a Grekiem Gelonem pod Himerą w 480 r. p.n.e. Terrilos, również Grek, był sojusznikiem Kartagińczyków. Kiedy Gelon stał się zbyt agresywny i odnosił zbyt duże sukcesy, Terrilos zwrócił się do swojego kartagińskiego sojusznika, Hamilkara, o pomoc w obaleniu Gelona. Tak się złożyło, że bitwa ta miała miejsce w tym samym czasie, gdy Persowie – z pomocą flot ze wschodniej Fenicji – najeżdżali samą Grecję. Chociaż tradycyjne historie sugerują,

że Kartagina wiedziała o perskiej inwazji, niewiele jest powodów, by sądzić, że w jakikolwiek sposób wpłynęło to na Kartagińczyków. Bardziej prawdopodobne było, że Kartagińczycy chcieli uniemożliwić pojedynczej greckiej osadzie zdobycie zbyt dużej kontroli nad Sycylią. Tak czy inaczej, Kartagina udzieliła pomocy Terrilosowi, lecz poniosła druzgocącą klęskę w Himerze, greckim mieście niedaleko Palermo. Po klęsce kartagiński generał Hamilkar mógł zrobić tylko jedno: popełnił samobójstwo. Ocaleni zdołali wrócić do domu na rozbitych okrętach wojennych. Potęga Magonidów została zachwiana. Według Karola Pikardów, rywalizujące grupy arystokratów przejęły miasto i rządziły nim za pośrednictwem sądu. Oceniając swoją sytuację, nowi autokraci uznali Kartaginę za bankruta i niemal bezbronną i najwyraźniej postanowili wprowadzić zupełnie inną politykę. Wycofali się do swego rodzaju skorupy, zakazali importu wszystkich dóbr zagranicznych i skoncentrowali się na rozszerzaniu afrykańskich posiadłości Kartaginy i budowaniu jej zasobów. Robili tak przez 70 lat, a ruiny Kartaginy świadczą o tym długim programie oszczędności. Theresa wyraźnie zaznaczyła niedobór w tym okresie dóbr luksusowych, które wcześniej importowała szlachta. Zamiast tego zintensyfikowano handel z wewnętrzną Afryką. Szlaki karawan wiodły na południe przez Saharę do pewnych niezawodnych oaz, co zwiększało handel złotem, kością słoniową i niewolnikami. Rozwijano eksplorację morską i to właśnie w tym okresie dwaj admirałowie, Hannon i Himilkon, mogli odbyć swoje słynne wyprawy wzdłuż wybrzeża Afryki i do Brytanii {strony 12-13}. W tym okresie Rzymianie rozpoczęli swój wzrost. Jednak prawdziwym wrogiem byli nadal Grecy. W ciągu 70 lat, kiedy Kartagina zwróciła się do wewnątrz, Grecy byli okupowani przez jedną wojnę wewnętrzną po drugiej. Fale tych konfliktów między miastami-państwami dotarły aż do Syrakuz, głównej greckiej osady we wschodniej Sycylii i sojusznika Sparty w licznych krwawych bitwach, jakie miasto to stoczyło z Atenami. Do 410 r. p.n.e. Kartagińczycy zdali sobie sprawę, że Syrakuzy stają się potężną siłą na Sycylii. Po raz kolejny Kartagina dała się namówić, by pomóc jednemu greckiemu miastu – tym razem Segestie – pokonać inne, osłabiając w ten sposób potęgę Syrakuz. Przywódcą Kartaginy był generał o imieniu Hannibal. Nie jest on Hannibalem najlepiej znanym potomności, ale jednym z kilkunastu lub więcej słynnych generałów noszących to imię. (W kartagińskiej historii pojawia się również zdumiewająca grupa Hannosów, Hamilkarów, Hazdrubalów i Hamilkosów – niektórzy spokrewnieni, inni nie). W każdym razie, Hannibal wylądował ze swoimi armiami w pobliżu Motii i przez dziewięć dni szturmował pobliskie miasto Selinus. Po tym zwycięstwie do wojsk dołączyło wielu Sycylijczyków. Razem przypuściły atak na Himerę, to samo miasto, w którym dziadek Hannibala, Hamilkar, poniósł tak dotkliwą klęskę 70 lat wcześniej. Hannibal wygrał również tę bitwę i miał ponurą satysfakcję z pomszczenia śmierci dziadka, poświęcając 3000 pojmanych greckich żołnierzy. Po tym sukcesie Hannibal wrócił do Kartaginy, a jego armia została rozwiązana. Kilka lat później, będąc już w podeszłym wieku, został wezwany do poprowadzenia kolejnego ataku na Sycylię. Hannibal zmarł w 407 r. p.n.e., prawdopodobnie na dżumę, pozostawiając na czele armii swojego adiutanta i prawdopodobnie krewnego Himilkona. Nasza wiedza o tym, co działo się w ciągu następnych kilku lat, jest dość szczątkowa. Wiemy, że Kartagińczycy nadal byli aktywni na Sycylii i angażowali się w wewnętrzne spory greckich miast. Kluczową postacią Greków w tym okresie był Dionizjusz, wyjątkowo bezwzględny generał z Syrakuz. Gdy tylko Dionizjusz zdołał umocnić swoją pozycję wśród licznych greckich osad, zwrócił się przeciwko Kartagińczykom i uderzył prosto w siedzibę kartagińskiej potęgi na Sycylii: wyspę Motya. Sycylia to wyspa wulkaniczna zbudowana ze stromych, szarych skał opadających do morza, z zakurzonych, małych nadmorskich miasteczek i stromych dolin ukrytych wśród wzgórz. Można tak opisać znaczną część Sycylii, a to właśnie widać, wyruszając z Palermo w kierunku Motyi, maleńkiej wysepki położonej na samym zachodnim krańcu Sycylii. Tu gwałtowny sycylijski krajobraz ustępuje miejsca. Wzgórza opadają. Kamienne mury wznoszą się wzdłuż brzegu. Kamienne mola wystają w lagunę. Znajduje się tam opuszczony kamienny wiatrak – mnóstwo tu kamieni, wszystkie starannie obrobione, wiele z nich w dużych blokach, zużytych i starych. Naprzeciwko saliny – około pół mili dalej, unosząc się nisko na płytkiej zatoce – leży Motya. Z brzegu widać na niej tylko gaj drzew i nowoczesną włoską willę z

terakoty. Wiele z obrobionych kamieni na tym brzegu znajdowało się kiedyś na tej wyspie w formie fortyfikacji, wież, chodników i budynków. Więcej z nich pochodziło z punickich cmentarzy na pobliskim zboczu wzgórza. Wszystko to świadczy o dawno minionej energii i aktywności Motyi. Nic się tam teraz nie rusza. Mola i pola są całkowicie opustoszałe. Wody laguny zamuliły się i zarosły chwastami. Powierzchnia jest szklista i pusta. W 397 roku p.n.e., gdy Dionizjusz szturmował miasto, Motya była daleka od ciszy. Było to tętniące życiem miasto, całkowicie otoczone grubym murem, z zatoką pełną statków. To właśnie tę ruchliwą, najeżoną twierdzę Grecy uznali za konieczną do zniszczenia. Dionizjusz przyprowadził armię na brzeg, tuż na północ od wyspy, gdzie znajdował się cmentarz Motyan. Dziś, patrząc w dół, można dostrzec pozostałości grobli, którą wyspiarze zbudowali, aby połączyć swoją twierdzę z lądem. Dziś biegnie ona prosto jak sznurek około stopy pod powierzchnią, choć w kilku miejscach jest przerwana. Motyanie próbowali zniszczyć swoją groblę w ostatniej chwili, by się bronić. Ale dlaczego mieliby próbować, dlaczego mieliby czuć, że mogą odnieść sukces, dlaczego Dionizjusz miałby czuć, że musi ich zniszczyć? Wszystko to jest trudne do zrozumienia dla dzisiejszego turysty. Z lądu Motya wydaje się niewinna i bezbronna, tak zbędna do zniszczenia jak ogród. Ale wystarczy wypłynąć na wyspę, podążając krętym kanałem, który wciąż umożliwia łodziom rybackim wpływanie i wypływanie z laguny, a widok się zmienia. Kiedyś była to forteca, miniaturowa Troja, której zewnętrzne mury wznosiły się na 9 metrów. Korzenie tych murów wciąż tam są, otaczając wyspę. Grube kamienne konstrukcje były wzmacniane w odstępach jeszcze wyższymi kamiennymi wieżami. Najpotężniejsza z tych wież strzegła głównego wejścia do miasta. Znajdowała się tam ciężka, podwójna brama z kamienną barierą pośrodku, dzielącą dwukierunkową ulicę biegnącą w górę do miasta. Wewnątrz znajdowała się druga brama na wypadek, gdyby pierwsza nie wytrzymała, a wewnątrz niej trzecia, wszystkie nadwieszone przez te flankujące wieże, ustawione pod kątem, tak aby niszczycielski ogień mógł być skierowany w dół na każdego atakującego, który próbowałby przekroczyć groblę i szturmować zewnętrzną bramę. Stojąc na szczycie tego, co pozostało z murów Motyi — wyobrażając sobie siebie ustawionego 15 lub 20 stóp wyżej, dobrze zaopatrzonego w strzały, skulonego za szczeliną w kamiennym parapecie, z innymi mieszkańcami miasta podobnie rozmieszczonymi wzdłuż całego blanku, patrząc w dół na lagunę usianą kartagińskimi statkami — można się zastanawiać, jak Dionizjusz rozgryzł ten twardy orzech do zgryzienia. Według historyka Diodora, Dionizjusz przyprowadził własną flotę, aby pomóc swojej armii oczyścić Motyjczyków. Ale kiedy przybył i zobaczył, że grobla została zniszczona, on i jego armia udali się w głąb lądu, aby zdobyć inne punickie osady, pozostawiając załogę swojej floty do odbudowy grobli. Właśnie wrócił, by osobiście poprowadzić atak na Motję, gdy kartagińska flota, zaalarmowana o niebezpieczeństwie, nadciągnęła od strony wyspy zewnętrznej i w górę kanału Motję. Flota Dionizjusza wydawała się być uwięziona i zagubiona. Zmobilizował jednak wszystkie swoje wojska do wyczerpującego wysiłku przedzierania się przez błoto i chrapania w chwastach. Udało im się przepchnąć jego flotę przez płytki, przeciwległy brzeg laguny, przez kilka mielizn, a nawet przez koniec wyspy zewnętrznej i bezpiecznie wypłynąć na morze. Laguna była zbyt płytka, by kartagińskie statki mogły za nią podążyć. Zostali zmuszeni do wycofania się, pozostawiając oblężoną Motję własnemu losowi.

Maski do wypędzania złych duchów

Uśmiechnięte maski wykonane z terakoty odkryto w wielu grobowcach w Kartaginie i innych fenickich stanowiskach archeologicznych w zachodniej części Morza Śródziemnego. Kontakty handlowe Kartaginy z Afryką utwierdziły w przekonaniu, że maski te były inspirowane sąsiednimi kulturami, zwłaszcza że wiele z nich nosi ślady tatuaży. Teoria ta została jednak obalona przez odkrycie w 1960 roku maski z XIII wieku p.n.e. w Chasor, starym kananejskim mieście niedaleko Tyru, co dowodzi, że maski te były używane przed Kartaginą i że praktyka ta pierwotnie miała charakter wschodni. Maski są mniejsze od naturalnej wielkości – zbyt małe, aby je nosić – i najczęściej znajdują się w grobowcach.

Prawie wszyscy eksperci zgadzają się, że miały one chronić zmarłych poprzez odstraszanie złych duchów grymasem. Datowanie: 700-500 p.n.e.

Dionizjusz szybko zabrał się do pracy. Laguna, która przez wieki stanowiła tak użyteczne schronienie dla Motyjczyków, ujawniła teraz fatalną wadę. Była zbyt płytka, by powstrzymać nieubłagany napór machin oblężniczych wzdłuż grobli i pod mury Motyjczyków. To, co działo się pod tym murem, gdy machiny go rozwalały, zostało dość dokładnie wyjaśnione przez archeologów. Grecy rzeczywiście weszli na groblę, którą odbudowali, i przypuścili główny atak na bramę miejską. Znaleziono tam mnóstwo grotów strzał i włóczni, znacznie liczniejsze skupisko niż w jakiejkolwiek innej części wyspy, co świadczy o zaciekłych walkach toczących się przed bramą. Najwyraźniej Syrakuzanie przedarli się przez nią, by znaleźć się w przypominającym kasbę labiryncie solidnych, kilkupiętrowych domów, z których każdy był fortem. Motyjczycy wspięli się na płaskie dachy i przekradli się z jednego budynku do drugiego, by odeprzeć ewentualne nagromadzenie Greków poniżej. W rezultacie, mimo znacznej przewagi liczebnej, skazali najeźdźców na dni najkrwawszych walk w zaułkach, zanim opór został złamany. Motya mógł poddać się natychmiast, jak to często czyniły wschodnie miasta fenickie, i zapewne okazano by mu odrobinę litości. Fenicjanie jednak mieli w sobie ducha nieustępliwości. Skoro raz podjęli decyzję o oblężeniu, nie poddali się, nawet gdy ich sprawa była beznadziejna. Znowu rytualne samobójstwo – tym razem na masową skalę? Być może. Sydon ucierpiał straszliwie w następstwie jednego oblężenia, Tyr – trzech. Kartagina była broniona dosłownie do ostatniego człowieka. I tak samo, jak, jak się wydaje, Motya. Została całkowicie zmiażdżona. Najeźdźcy rozpętali tak wielką rzeź w zaułkach, że grecki dowódca mógł ją powstrzymać jedynie nakazując ocalałym wejście do świątyń i zabraniając swoim żołnierzom podążania za nimi. W rezultacie miasto zostało splądrowane ze wszystkich kosztowności i prawdopodobnie spalone. Dziś płaski teren w centrum wyspy, niegdyś zabudowany budynkami, jest winnicą. Jak wspomniano wcześniej, znaczna część starego kamienia została wywieziona na budowę pomostów na lądzie. To, co pozostało, znajduje się pod ziemią. Pług od czasu do czasu uderza w blok lub kolumnę. Stale odkrywane są fragmenty ceramiki, a niekiedy nawet całe wazony. Co jeszcze kryje się pod winnicą, tak naprawdę nie wiadomo, ponieważ w Motyi wciąż jest wiele do zrobienia. Jej systematyczną eksplorację rozpoczął około sto lat temu Anglik Joseph Whittaker, który ostatecznie kupił całą wyspę i napisał książkę o swoich wysiłkach na tym terenie. Prace prowadzą dziś włoscy archeolodzy Sabatino Moscati i Vincinzo Tusa, a także zespół z Uniwersytetu w Leeds w Anglii. Jednak fundusze są niewielkie, a prace postępują powoli. Mimo to, wiele się o Motyi dowiedzieliśmy. Przez wiele lat archeolodzy uważali Motję za miejsce „czyste" w tym sensie, że jego gruzy nie były wielokrotnie przewracane przez kolejne pokolenia mieszkańców. Tradycyjni historycy twierdzą, że po jej upadku pozostało niewielu, jeśli w ogóle, Motyjczyków, którzy mogliby je odbudować. Miasto zostało opuszczone, a ocaleni przenieśli się do innego kartagińskiego miasta, Lilybaeum, na pobliskim półwyspie. W ciągu ostatnich kilku lat uczeni doszli jednak do wniosku, że Motję ponownie zajęli – prawdopodobnie już w 396 r. p.n.e. Grecy i Rzymianie. W związku z tym nie można już klasyfikować wszystkich ruin jako kartagińskich. To, że Dionizjusz spalił Motję w 397 r. p.n.e., jest oczywiste po dużej ilości popiołu i zwęglonego drewna wśród ruin. Wiele odkrytych do tej pory budynków ma fundamenty i prawdopodobnie dolne kondygnacje z kamienia, z podłogami z kamienia lub tynku. Jednak osady popiołu sugerują, że górne kondygnacje były drewniane. Główne bramy miejskie prawdopodobnie również były drewniane; w murach znajdują się gniazda wskazujące miejsca, w których zawieszono zawiasy. W gruzach przy wejściu do miasta zachowały się stosy gwoździ i żużlu, dokładnie tam, gdzie by się znajdowały, gdyby bramy zostały wyważone, rozbite, a następnie doszczętnie spalone. Niedaleko głównej bramy znajduje się warsztat garncarski. Zachował się piec wraz z zapasem – rozłożonym do wyschnięcia – jeszcze nieszkliwionych, czerwonych garnków, które Motyanie wytwarzali w dużych ilościach. Zajmowali się również rybołówstwem, tkactwem i farbowaniem, wykorzystując do tego celu miejscowy mureks. Chociaż sieci i krosna, których używali,

dawno zniknęły, ciężarki używane jako ciężarki lub obciążniki do krosien pozostały. Znajdują się wszędzie w ruinach – tańsze z terakoty, lepsze z marmuru. W ciepłym powietrzu unosi się mnóstwo drobnych powiewów codziennego życia Motyan. Odkryto duże kamienne bębny. Początkowo sądzono, że to beczki na deszczówkę, ale później okazało się, że ich dna są wzmocnione cementem. Niektóre miały ślady żelaznych wyściółek. Najwyraźniej służyły do mielenia zboża. Z czasem usunięto gruz z głównej ulicy prowadzącej od zewnętrznej bramy. Ulica ma wyryte w nawierzchni koleiny, będące świadectwem stuleci podróży ciężko obciążonymi, skrzypiącymi wozami Motyan, których rozmiar można obliczyć, mierząc odległość między koleinami. Mniej zniszczone są liczne ciągi schodów prowadzące od murów do nabrzeża. Co najmniej jeden ciąg został zainstalowany tak krótko przed oblężeniem, że w ogóle nie zdążył się zetrzeć. Od tamtej pory pokryte gruzem i brudem, kamienne powierzchnie są tak samo kwadratowe i gładkie, jak w dniu, w którym wywieziono je z kamieniołomu. Wpływy greckie są wszędzie. Najwyraźniej między Grekami a Motyanami panował duży ruch. Tutaj, jak wszędzie indziej w świecie śródziemnomorskim, stare lokalne style nie mogły się równać z przytłaczającą atrakcyjnością greckich. Najlepiej zachowane fundamenty prywatnego domu mają mozaikową podłogę łączącą greckie i fenickie wzory oraz portyk w stylu greckim na zewnątrz. Wygląda na to, że Grecy również mieszkali na Motyi przed i po 397 r. p.n.e. – prawdopodobnie rzemieślnicy i kupcy, ale mieszkańcy na tyle stali, że mieli własne świątynie. Choć oba narody od dawna były wrogami, najwyraźniej utrzymywały między sobą znaczne kontakty. Z pewnością w Motii przebywali Grecy, gdy doszło do oblężenia, niektórzy prawdopodobnie tak niezręcznie uwięzieni, jak japońscy biznesmeni w Kalifornii na początku II wojny światowej. Jednak zaciekła nienawiść do greckiego sugeruje, że wielu z tych, którzy podobno pomagali w obronie Motii, było po prostu wrogami Dionizjusza i czuli się o wiele bezpieczniej z Motjami niż z nim. Po drugiej stronie wyspy Motjowie mieli drugie wejście do swojego otoczonego murem miasta. Była to brama morska. Zamiast wychodzić na ulicę, prowadziła ona, poprzez brukowany rów lub kanał, do prostokątnego stawu, który Motjowie wycięli ze swojej małej wyspy. Jego brukowane ściany zostały teraz starannie odkryte, a nagromadzony muł usunięty. Dziś wygląda jak duży basen o długości nieco poniżej 52 metrów i głębokości około 3 metrów. Mogło to być cothon: sztuczny basen do naprawy i zaopatrywania statków, podobny do tych znalezionych w Kartaginie, ale znacznie mniejszy i w lepszym stanie zachowania. (Nie wszyscy zgadzają się z tą interpretacją; niektórzy specjaliści uważają, że cothon był używany jako zbiornik, w którym zarybiano ryby — być może w celu wykorzystania jako gotowy zapas żywności). W gruzach w Motya znajduje się duża liczba stel, tych prostych nagrobków lub małych pamiątkowych szybów, które były znakiem rozpoznawczym wiary punickiej. Sam cmentarz na wyspie został zlokalizowany i potwierdza, że wczesni Motyanie palili swoich zmarłych. Później, gdy albo cmentarz na wyspie stał się zbyt zatłoczony lub gdy Motya stała się wystarczająco silna, aby to zrobić, cmentarz został przeniesiony na stały ląd, a kremacja została porzucona na rzecz inhumacji. Ale na wyspie, najprawdopodobniej po to, by zaoszczędzić miejsce, niemal wszystkie groby, które do tej pory odnaleziono – w jednym, dość zatłoczonym miejscu – zawierały kilka urn z ludzkimi prochami. Motyanie najwyraźniej mieli powiązania z wcześniejszymi, bardziej prymitywnymi ludami. Nie jest jasne, czy ich podbili, odepchnęli, czy też polubownie się z nimi zjednoczyli. Przejęli jednak niektóre zwyczaje pogrzebowe od tych wcześniejszych ludów, które zdają się być wciąż jedną nogą w epoce kamienia łupanego, ponieważ niektóre narzędzia i broń umieszczane w tych najstarszych grobach były wykonane z obrobionego krzemienia. Ci poprzednicy, choć potrafili wytwarzać gliniane garnki, nie udoskonalili tego rzemiosła. W grobach znajdują się naczynia o wyjątkowo prymitywnej naturze, formowane ręcznie, a nie na kole garncarskim. Te proste, niewielkie fragmenty prostszej kultury są niezwykle interesujące, gdyż sugerują, jak Kartagińczycy potrafili tak skutecznie eksploatować swoje rynki przez tak długi czas. Można przypuszczać, że wiele ludów, z którymi się zetknęli – na wyspach zachodniej części Morza Śródziemnego, w Hiszpanii, w Afryce i wzdłuż wybrzeża Atlantyku – było podobnie zacofanych technologicznie. Kartagiński gliniany garnek, jakkolwiek gorszy w porównaniu z tym wykonanym w Atenach, na Krecie czy w Egipcie, wciąż

wydawałby się cudem symetrii dla człowieka, który nigdy wcześniej nie widział czegoś podobnego i dlatego z radością oddawał o wiele cenniejszy materiał, aby go zdobyć. W 1919 roku na wyspie Motya, niedaleko pierwszego, odkryto kolejny cmentarz. Urny były tu bardzo małe, większość z nich nie miała więcej niż 30 cm wysokości. Otwierano je kolejno i, podobnie jak urny w Kartaginie, zawierały prochy jedynie bardzo młodych – zwierząt i ludzkich niemowląt. Nie był to zwykły cmentarz, gdzie chowano zmarłych, lecz miejsce święte, Tophet, gdzie żywe młode składano w ofierze z pierworodnego – lub, w zastępstwie pierworodnego, ze zwierzęcia. To na razie wszystko, co można powiedzieć o Motii. Jej nagły koniec jako kartagińskiej osady w 397 r. p.n.e. czyni ją fascynującym miejscem do odwiedzenia, pod wieloma względami bardziej fascynującym niż dwa kartagińskie miasta, które przetrwały na Sycylii: Panormus (dzisiejsze Palermo) i Lilybaeum (dzisiejsza Marsala), dwie bazy, z których Kartagina kontynuowała walkę z Grekami o kontrolę nad Sycylią. Bitwa ta trwała z różnymi wzlotami i upadkami przez kolejne stulecie, a żadna ze stron nie była w stanie uzyskać zdecydowanej przewagi nad drugą przez dłuższy czas. Dla Kartaginy był to okres rosnącej potęgi i dobrobytu. Miasto zostało upiększone i rozbudowane. Pod jej kontrolą znalazł się coraz większy fragment afrykańskiego zaplecza. Do czasu III wojny punickiej, która doprowadziła do upadku miasta, Kartagina była najeżdżana zaledwie kilka razy. Jej kampanie toczyły się za granicą i nie była narażona na powtarzające się grabieże i grabieże, które nękały wiele innych starożytnych państw. Pomimo tych zalet, sytuacja Kartaginy wcale nie była tak spokojna, jak być powinna. Wojny sycylijskie, choć prowadzone z dala od ojczyzny, dawały się jednak we znaki. Armia najemna zawsze mocno obciążała skarb państwa, a zatem prokuratorzy wojenni, generałowie i admirałowie, którzy dowodzili kampaniami, byli coraz bardziej krytykowani za niezdolność do odnoszenia trwałych zwycięstw. Bycie generałem Kartaginy, choć mogło być niezwykle zyskowne, nigdy nie było synekurą. Teraz stało się coraz bardziej ryzykowne. Wrodzoną wrogość Kartagińczyków wobec każdego, kto stawał się zbyt potężny lub odnosił zbyt wielkie sukcesy, wzmacniała wrogość dworu, czyli Rady 104. Ta grupa ograniczonych, zazdrosnych arystokratów kupieckich była nieprzejednana, szybko kwestionowała decyzje swoich dowódców, szybko odwoływała ich do Kartaginy na rozprawę przy pierwszym sygnale porażki. Z biegiem czasu rada stawała się coraz bardziej surowa. Do wybuchu pierwszej wojny z Rzymem w 264 r. p.n.e. praca kartagińskiego dowódcy polowego stała się wręcz śmiercionośna. Według legendy, jeden dowódca wojskowy został ukrzyżowany za to, że dał się pojmać w niespodziewanym ataku. Inny stracił miasto i został ukarany wysoką grzywną. Trzeci został ukrzyżowany za poniesienie klęski na morzu. Generał imieniem Hazdrubal został ukrzyżowany za to, że nie zdobył Palermo, a inny, imieniem Hannibal, został ukrzyżowany przez własnych żołnierzy po porażce na polu bitwy. W takich okolicznościach, dlaczego ktokolwiek chciał zostać generałem? Oczywiście, dla bogactwa, honoru i pozycji społecznej. Mogły jednak istnieć głębsze przyczyny. Wielu spośród ludzi wybranych na dowódców wojskowych Kartaginy to zagorzali jastrzębie, z długoletnią pasją do dowodzenia i marzeniem o potędze. Rada nie wahała się wykorzystać ich do realizacji merkantylnych celów swoich członków, pewna swojej zdolności do utrzymania ich w ryzach. Generałowie ze swojej strony rywalizowali o dowództwo, mając nadzieję, że uda im się nadal wygrywać i w ten sposób utrzymać łaski rady. W nieuniknionej atmosferze wzajemnej podejrzliwości prowadzenie konsekwentnej polityki zagranicznej stało się trudne. Niepowodzenie Kartaginy w znalezieniu lepszego rozwiązania problemu delegowania władzy – i zaufania – swoim generałom częściowo wyjaśnia, dlaczego nie udało im się wyprzeć Greków z Sycylii, nawet gdy cała Grecja była beznadziejnie podzielona w chaosie po śmierci Aleksandra Wielkiego. Ostateczny grecki spazm na Sycylii został opanowany jedynie dzięki pomocy wojsk rzymskich, a Kartagina nagle stanęła twarzą w twarz z nowym, jeszcze groźniejszym wrogiem. Po raz pierwszy ujawniła się zasadnicza słabość Kartaginy: potęga Rzymu opierała się na nieruchomościach: przez wiele dziesięcioleci znaczna część Italii została solidnie zespolona podbojami lub traktatami w jedną całość polityczną – bronioną przez liczną i silną armię obywatelską. Podstawowa potęga Kartaginy opierała się na pieniądzach – pieniądzach, którymi płacono innym za walkę za nich. Poza terenami rolniczymi bezpośrednio

otaczającymi Kartaginę (i rojącymi się od niezadowolonych nieobywateli drugiej kategorii), imperium nie posiadało żadnej własności poza faktoriami handlowymi. Jego głównym celem było bogactwo, a nie imperialne marzenia. Wojnę traktowało jako kolejne narzędzie w pogoni za bogactwem i było skłonne inwestować w najemników, tak jak w każdy inny rodzaj towarów, gdy uważało, że są oni potrzebni do zapewnienia stałego przepływu pieniędzy. Chociaż Kartagina zachowywała się w sposób imperialny, często zachowując się tak, jakby kontrolowała imperium, tak naprawdę kontrolowała handel. Mieszkańcy Afryki Północnej, których Kartagińczycy traktowali tak arogancko przez tak długi czas, nigdy nie byli pod ścisłą kontrolą. Podobnie jak inne miasta punickie na zachodzie. Nominalnie podporządkowani Kartaginie, nigdy nie byli jej „częścią". Rządzili sami, zgarniając wszelkie okruchy handlu, jakie mogli. Z powodu długotrwałego niezadowolenia z rozmiaru tych okruchów, niektórzy z nich zdezerterowali, gdy nadszedł konflikt z Rzymem. Doszło do niego, jak można było przewidzieć, na Sycylii po serii drobnych sporów o kontrolę nad tą kluczową wyspą. W 264 r. p.n.e. wybuchła wojna. Ciągnęła się ponad 20 lat i zakończyła się upokarzającą dla Kartaginy klęską morską. Rzymianie rozpoczęli wojnę bez żadnej wiedzy o strategii morskiej i bez floty; musieli posłużyć się zdobytą galerą jako modelem do budowy własnych eskadr. Rzymianie jednak szybko osiągnęli parytet z Kartagińczykami i od tego czasu byli z pewnością równi im na morzu. Kiedy Rzymianie w końcu wygrali pierwszą wojnę punicką, wypędzili Kartagińczyków z Sycylii i przez 20 lat pobierali od nich oszałamiającą daninę w srebrze. To właśnie niezdolność Kartaginy do płacenia zarówno daniny, jak i pieniędzy należnych najemnikom doprowadziła do buntu. Człowiekiem, który ostatecznie stłumił bunt, był twardy i błyskotliwy generał starej daty. Tym człowiekiem był Hamilkar Barkas, założyciel tzw. dynastii Barcydów. Zniesmaczony skorpionową atmosferą polityczną w kraju, pragnąc osiągnąć choć trochę władzy, jaką cieszyli się jego przodkowie, prawdopodobnie świadomy, że jeśli pozostanie w Kartaginie, prawdopodobnie nigdy nie uwolni się od opresyjnej i zazdrosnej ręki rady, Hamilkar Barkas podjął śmiałą decyzję o powrocie do Hiszpanii, gdzie dowodził wojskami, i tam spróbował stworzyć dla siebie ośrodek władzy. Uczynił to w 237 r. p.n.e. wraz ze swoim dziewięcioletnim synem Hannibalem, żądając od chłopca przysięgi, że przez całe życie będzie dążył do zniszczenia Rzymu. Barkidzi – pięciu z nich: Hamilkar; jego zięć Hazdrubal; oraz jego trzej synowie: Hannibal, Mago i kolejny Hazdrubal – byli niezwykłymi ludźmi. Dzięki ogromnej ambicji i niewiarygodnej energii, zdołali wydostać się z ciasnej, kupieckiej skorupy, która krępowała kartagińskich autokratów. Dostrzegli konieczność połączenia merkantylizmu z konsekwentną polityką militarną i polityczną. Szybko wykroili dla siebie duże, prywatne lenno, obejmujące niemal całą południową połowę Hiszpanii, znacznie większe terytorium niż sama Kartagina. Podporządkowali sobie rdzennych Iberów i stworzyli małą, ale niezwykle zdolną armię najemną, finansowaną z hiszpańskich kopalni, które teraz kontrolowali i których wydobycie zwiększyli. Rzymska rekompensata została spłacona. Założono drugą stolicę, Nową Kartaginę. To miasto w Hiszpanii stało się niezależną bazą władzy, o której władanie Hamilkar od dawna marzył. Hiszpańskie przedsięwzięcie było już ugruntowane, zanim Hamilkar zginął w bitwie w 229 r. p.n.e. Jego zięć, Hazdrubal, rozbudował je, ale został zamordowany przez rozwścieczonego członka plemienia w 221 r. p.n.e. Hannibal odziedziczył władzę w wieku 25 lat, szkolony do tej roli od dzieciństwa. Był kolejnym Aleksandrem i nieskończenie pomysłowy. Do naszych czasów przetrwało wiele opowieści o tym konkretnym Hannibalu. Jedna z nich mówi, że nosił ze sobą różnorodne peruki i mundury w różnych kolorach, aby móc iść w dowolne miejsce bitwy, nie narażając się na namierzenie przez wrogiego strzelca wyborowego. Ustawiał szeregi słoni w wartkich rzekach, aby ich ciała uspokajały wody i umożliwiały ludziom, koniom i taborom przeprawę przez miejsca, w których w przeciwnym razie zostaliby porwani. Podobno rozkazał swoim żołnierzom użyć wrzącego octu (prawdopodobnie kwaśnego wina) do rozłupywania skał wysoko w Alpach, tworząc w ten sposób wąską ścieżkę w dół stromego zbocza, które było beznadziejnie śliskie i oblodzone. Hannibal miał iście aleksandryjską wizję imperium. Większość mieszkańców północnych Włoch, Francji i Hiszpanii należała do ogromnej, skłóconej, półcywilizowanej konfederacji plemion znanych jako Celtowie. Pomysł Hannibala, który

podporządkował sobie wiele hiszpańskich plemion i stworzył z nich potężną armię, polegał na zjednoczeniu wszystkich plemion do powszechnego powstania przeciwko Rzymianom. Po zmiażdżeniu Rzymu zamierzał przekształcić cały zachodni obszar Morza Śródziemnego w imperium kartagińskie, którym planował rządzić z Kartaginy. Aby zrealizować ten plan, musiał oczywiście rozprawić się bezpośrednio z Rzymianami. Stanowiło to ogromne wyzwanie militarne: jak miał się do nich dostać? A gdyby mu się to udało, jak miałby ich pokonać? Mieli znakomitą reputację jako wojownicy i dużą flotę. Ostatnim razem zmiażdżyli armie i floty Kartaginy. Aby zrównoważyć te wcześniejsze osiągnięcia, Hannibal miał ogromne zaufanie do swoich talentów jako generała i do jakości swojej armii, dobrze zaprawionej kilkuletnimi aktywnymi kampaniami w Hiszpanii. Działając w polu, z dala od przeszkód ze strony rządu Kartaginy – jako jedyny dowódca zdolny do prowadzenia własnej polityki w dobrych i złych czasach – czuł, że może wygrać. Wiedział również, że będzie musiał stawić czoła rzymskim generałom wybieranym w głosowaniu publicznym na konkretne kampanie, a następnie odwoływanym i zastępowanym przez innych wybieranych w następnym roku. Rzymskie dowództwo było politycznym przysmakiem – zazwyczaj przyznawanym arystokratom; niewielu z tych generałów politycznych miało jakiekolwiek doświadczenie wojskowe. Ostatecznie Hannibal zaproponował walkę nie na Sycylii, nie na odległym krańcu Italii, nie na morzu, ale w samym państwie rzymskim, gdzie niewątpliwie zaszkodziłoby to Rzymianom najbardziej. Nie tracąc czasu, zdobył Saguntum, chronione przez Rzymian miasto we wschodniej Hiszpanii, a następnie skierował się lądem do Rzymu, walcząc lub grając na zwłokę z napotkanymi po drodze plemionami. Dokonał niesamowitego wyczynu, przeprawiając armię – ze słoniami – przez Alpy jesienią 218 roku p.n.e., przez śnieżyce, wyjące wichury i deszcz ze śniegiem, podczas gdy krnąbrni górale toczyli na niego głazy w wąskich wąwozach. Większość jego słoni padła z zimna i głodu w górach, a jego armia była w opłakanym stanie, gdy dotarła do Bolonii, gdzie spędził zimę i zwerbował nowe oddziały. Wiosną Hannibal ponownie został zaatakowany przez armię rzymską i wygrał pierwszą z serii mistrzowskich bitew, stanowiących klasykę strategii wojskowej do dziś. Wiedząc, że rzymscy generałowie są pochopni i niedoświadczeni, wszyscy pałający chęcią zostania bohaterami, przebiegle wciągał ich w pułapkę za pułapką i unicestwiał całe armie. Przez większą część dwóch lat przemierzał wrogi kraj, żyjąc z ziemi, nieustannie walcząc, i doprowadził Rzymian na skraj klęski, zanim opamiętali się na tyle, by powierzyć dowództwo nad siłami polowymi przebiegłemu staremu generałowi imieniem Fabiusz. Fabiusz, zwany „Kunktatorem", Opóźniaczem, rozumiał, że główną słabością generała Hannibala było to, że im dłużej pozostawał w Italii, tym bardziej jego armia prawdopodobnie skurczyłaby się z powodu chorób, dezercji i ofiar. Nie otrzymywała odpowiedniego wsparcia z Kartaginy; zatem, gdyby udało się ją utrzymać w ciągłym stanie nękania, ale nigdy nie angażować w walkę na dużą skalę, w końcu wyczerpałaby się i musiałaby odejść. Fabiusz wcielił tę strategię w życie. Hannibal, zdesperowany walką, machał przed Fabiuszem każdą przynętą, jaka przyszła mu do głowy. Maszerował tam i z powrotem, zostawiając obóz bez obrony, wystawiając kuszące oddziały na pożarcie. Bezskutecznie. Fabiusz obserwował kurczenie się zapasów Hannibala, jednocześnie poświęcając większość swojej energii na powstrzymywanie zaciekłej frakcji w Rzymie, która piętnowała go za tchórzostwo. Ostatecznie Rzym zastąpił Fabiusza próżnym demagogiem Warronem, który objął dowództwo nad armią pod Kannami i w ciągu kilku dni poniósł katastrofalną klęskę. Strategia, którą propagował Fabiusz, została pospiesznie przywrócona. Przez kolejne wyczerpujące, krwawe lata Hannibalowi udało się utrzymać siebie lub siły zbrojne w Italii, walcząc przez większość czasu. Zdobył wiele ważnych miast italskich – niektóre szturmem, inne dezercją mieszkańców. Jednak powoli jego inicjatywa chyliła się ku upadkowi. Im więcej terytorium italskiego kontrolował, tym więcej wysiłku musiał wkładać w utrzymanie tej kontroli. Tymczasem Rzymianie przenieśli wojnę do Hiszpanii. Ta niezwykle ważna prowincja, z której Hannibal czerpał ludzi i pieniądze, pogrążyła się w chaosie. Stała się kolejnym miejscem, o które musiał się martwić, ponieważ zasoby były coraz bardziej ograniczone. Jego brat Hazdrubal zginął, a potem jego brat Mago. Obaj dobrze mu służyli jako generałowie. W miarę trwania wojny wyłonił się w końcu rzymski generał, który dorównywał

Hannibalowi. Nazywał się Publiusz Korneliusz Scypion, syn innego wybitnego rzymskiego generała o tym samym imieniu. Po kilku zwycięstwach w Hiszpanii Scypion wrócił do domu i ogłosił swój plan przeniesienia wojny do Afryki. Dwa lata później jego armia odniosła druzgocące zwycięstwo nad lokalną armią kartagińską. W panice Kartagińczycy wezwali Hannibala. Po powrocie do domu, posiwiały geniusz wojskowy był na tyle bystry, by zdać sobie sprawę, że jest znacznie słabszy ogniowo, i szukał możliwości negocjacji ze Scypionem w nadziei na zawarcie traktatu pokojowego. Ich spotkanie, niezależnie od tego, czy jest zgodne z prawdą historyczną, czy nie, zostało dramatycznie opisane przez rzymskiego historyka Liwiusza: „Trzymając swoich zbrojnych w pewnej odległości, wodzowie, każdy z jednym tłumaczem, spotkali się, będąc nie tylko największymi w swojej epoce, ale równymi każdemu królowi lub dowódcy wszystkich narodów w całej historii przed ich narodzinami. Przez chwilę milczeli, patrząc na siebie i niemal oniemiali z wzajemnego podziwu. Wtedy Hannibal przemówił pierwszy: „Jeśli los przeznaczył, że ja, który pierwszy wypowiedziałem wojnę narodowi rzymskiemu i który tak często miałem zwycięstwo niemal w zasięgu ręki, powinienem wystąpić z prośbą o pokój, raduję się, że los dał mi ciebie, a nie nikogo innego, do kogo mógłbym wnieść moją sprawę. Także dla was, pośród waszych licznych wyróżnień, nie najmniejszym zaszczytem będzie to, że Hannibal, któremu bogowie dali zwycięstwo nad tak wieloma rzymskimi generałami, poddał się wam, a wy zakończyliście tę wojnę, która zapisał się w pamięci najpierw waszymi klęskami, a potem naszymi. ... Dlatego też dyskutujemy o warunkach pokoju, póki szczęście wam sprzyja — sytuacja dla nas niezwykle złowroga, podczas gdy wy nie mogliście się o nic lepszego modlić. „Co do mnie, wiek w końcu mnie nauczył, wracając jako starzec do mojego rodzinnego miasta, z którego wyruszyłem jako chłopiec, że sukces i porażka w końcu tak mnie wyszkoliły, że wolę podążać za rozumem niż za przypadkiem. W twoim przypadku obawiam się zarówno o twoją młodość, jak i o twój nieprzerwany sukces. […] Niełatwo jest człowiekowi, którego los nigdy nie zawiódł, ważyć niepewne szanse. […] Największe szczęście to zawsze najmniej godne zaufania. W twoich sprzyjających okolicznościach, w naszej niepewnej sytuacji, pokój, jeśli go udzielisz, przyniesie ci honor i chwałę; dla nas, którzy go żądamy, jest on raczej konieczny niż honorowy. Lepszy i bezpieczniejszy jest pewny pokój niż spodziewane zwycięstwo. Jedno jest w twojej mocy, drugie w rękach bogów. Nie poddawaj sukcesu tylu lat próbie jednej godziny". Hannibal kontynuował, mówiąc, że Kartagińczycy oddadzą całą Sycylię, całą Hiszpanię i całą Sardynię, a także wszelkie mniejsze wyspy. leżących pomiędzy, i odtąd mieli ograniczyć się do wybrzeża Afryki. Jego przemowa była błyskotliwa, ale według Liwiusza, Scypiona wcale nie poruszyła. Kiedy Hannibal skończył mówić, Scypion zaczął. „Przygotujcie się do wojny" – powiedział bez ogródek rzymski generał – „skoro nie potrafiliście znieść pokoju". Obaj spotkali się następnego ranka w pobliżu miasta Zama, leżącego w głębi lądu. Hannibal został pokonany, a druga wojna punicka dobiegła końca. Przegrana w wojnie paraliżowała ambicje Kartaginy. Uwięzieni na wąskim pasie wybrzeża Afryki, niemogący prowadzić wojny na mocy traktatu z Rzymem, pozbawieni bogactw Hiszpanii, dzięki którym mogliby odbudować potencjał handlowy, flota spalona z rozkazu Rzymian, ich terytorium zredukowane do małego gospodarstwa na wsi bezpośrednio wokół stolicy, ledwo zdolni do zebrania ogromnego rocznego odszkodowania za szkody wojenne, Kartagińczycy zostali osaczeni na własnym podwórku jeszcze poważniejszym problemem. Wcześniej, gdy losy wojny wciąż wisiały na włosku, Rzymianie zwerbowali pomoc libijskiego wodza plemiennego, Masynissę, aby wzniecić niepokoje w Afryce Północnej. Koniec wojny zastał go na czele pustynnego królestwa, a jego poddanymi byli liczni drapieżni, grasujący plemiona. Zgodnie z warunkami traktatu pokojowego z Rzymianami, Kartagińczycy przysięgli, że nie podniosą broni przeciwko Masynissie ani nikomu innemu w Afryce. Przez ponad cztery dekady Kartagińczycy przestrzegali tego zapisu traktatu pokojowego. Wielokrotnie przedstawiciel Rzymu był potrzebny do mediacji w sporach. Tymczasem Masynissę cechowała coraz większa śmiałość i chciwość. Jego najazdy i podgryzanie w końcu sprowokowały Kartagińczyków do odwetu. To wystarczyło Rzymianom. Zazdrośni nawet o najsłabsze próby odzyskania Kartaginy, ponownie ją zaatakowali. W 149 r. p.n.e. ostatnie ze wszystkich wielkich oblężeń, jakie przeżyli Fenicjanie na wschodzie i zachodzie, miało miejsce w Kartaginie . Zimą 147-146

r. p.n.e. mieszkańcy zabarykadowali się na swoim półwyspie za labiryntem murów i rowów obronnych. Przez kilka miesięcy odpierali Rzymian, powoli wciskając się w coraz mniejszy obwód. Głodni i bez nadziei, walczyli jednak dalej. W końcu zostali uwięzieni w fortyfikacjach na szczycie wzgórza Byrsa, gdzie Elisa założyła swoją cytadelę około 667 lat wcześniej. Na szczycie wzgórza znajdowała się duża świątynia Eshmuna. Na samym końcu garstka ocalałych podpaliła świątynię, stłoczyła się w środku i spłonęła żywcem. Ciekawe, że pomimo wszystkich gwałtownych śmierci, jakie miały miejsce pomiędzy nimi – morderstw politycznych, ukrzyżowań generałów, barbarzyńskiego traktowania niewolników i pośledniejszych ludzi, straszliwych okrucieństw wojny najemników, rytualnej masowej rzezi jeńców wojennych, ofiary z niewiadomej liczby niemowląt w hołdzie Baalowi – zarówno początek, jak i koniec Kartaginy, powinny być naznaczone samozniszczeniem. Podobnie jak założycielka Kartaginy, Elisa, ostatni ocalali mieszkańcy miasta popełnili zbiorowe samobójstwo, czy to z rozpaczy, czy w ostatecznym akcie uznania dla swoich ognistych bogów. Kartagina była pod wieloma względami mrocznym miejscem, a jej koniec wydaje się pasować do jej historii.